

TAJEMNICZA AKCJA W INTERECIE

Blokada portalu dwutygodnika „Najwyższy Czas!”
– powrót cenzury przewencyjnej?

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 8/515 20–26 LUTEGO 2023

CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Kto wysadził
gazociąg Nord Stream?



Coraz bardziej groteskowa
Platforma Obywatelska

Wydanie specjalne
– w pierwszą rocznicę inwazji Rosji na Ukrainę

WOJNA NASZA CZY NIE NASZA?

Piszą: Semka, Ziemkiewicz, Warzecha, Golonka



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 500 egzemplarzy

epressa.pl/2657c66137



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Akademia NBP podjęła współpracę z Akademią Kopernikańską.

Efektom współpracy będzie realizacja specjalnego programu edukacyjnego w zakresie bankowości centralnej oraz dorobku naukowego Mikołaja Kopernika i innych ekonomistów upamiętnionych monetami i banknotami kolekcjonerskimi NBP.



Zobacz wyjątkowy banknot kolekcjonerski *Mikołaj Kopernik*.

Dowiedz się więcej o inicjatywach edukacyjnych Narodowego Banku Polskiego podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego w dniach 19–21 lutego 2023 r. w Toruniu.

Patroni medialni:

obserwator
finansowy.pl



BANK I KREDYT
BANK & CREDIT

Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bez dobrych odpowiedzi

Od inwazji Rosji na Ukrainę minął rok. A mimo to nie sposób przewidzieć, jak zakończy się ta najkrwawsza od lat wojna w Europie. Tym bardziej że do tej pory przyjęta przez Zachód, w tym przypadku głównie przez Stany Zjednoczone, strategia przyniosła, można powiedzieć, ograniczone efekty. Oparta była ona na dwóch zasadach: wprowadzaniu kolejnych sankcji, które miały zdusić Rosję gospodarczo i militarnie (zakaz dostępu do nowoczesnych technologii), oraz na dostarczaniu coraz to większych zasobów uzbrojenia Ukrainie. Jednocześnie Amerykanie zadeklarowali, że nie wyślą na front własnych żołnierzy: wojnę mają prowadzić sami Ukraińcy. Czy takie podejście przyniosło sukcesy? Trudno o dobrą odpowiedź.

Można twierdzić, i jest w tym dużo racji, że rosyjskie niepowodzenia militarne, znaczne straty ludzkie, a także brak kontroli nad włączonymi prawem kaduka regionami Ukrainy to sukces Zachodu. Zapewne gdyby nie dostawy broni i gdyby nie sankcje, Rosjanie już teraz mogliby cieszyć się z podboju. Ponadto można się pytać o cenę takiej polityki. Czy samo odsunięcie w czasie tego, co nieuchronne, to powód do radości? Wszystko zależy od tego, jak ocenia się potencjał Rosji. Jego oszacowanie jest zaś bardzo trudne, bo od samego początku konfliktu zdani jesteśmy praktycznie na dostęp do informacji podawanych przez jedną, ukraińską, stronę wojny, ewentualnie na doniesienia różnych zachodnich ośrodków analitycznych. Niektóre z nich są zresztą związane z instytucjami wywiadowczymi, co sprawia, że mają lepszy dostęp

do źródeł, ale zarazem utrudnia przyjęcie, że podają obiektywne fakty. Nie wiadomo zatem, czy np. faktycznie morale poborowych Rosjan jest aż tak niskie, że marzą o ucieczce z frontu i z własnego państwa, czy też, przeciwnie, wojna plus propaganda wzmocniły imperialny nacjonalizm i gotowość do ofiar. Nie wiadomo, jakie są zasoby broni agresora.

Na pewno nie zrealizował się scenariusz tych, którzy twierdzili, że nałożenie na Rosję kolejnych sankcji spowoduje jej upadek gospodarczy. Być może trzeba więcej czasu, a być może jest tak, jak mówili pesymiści. Według nich zajmująca jedną szóstą powierzchni Ziemi i dysponująca ogromnymi złożami metali oraz surowcami Rosja jest w znacznym stopniu samowystarczalna. Nie jest to Kuba, którą można było skutecznie odciąć. Optymiści twierdzą, że prędzej czy później Rosja się załamie, pesymiści wskazują, powołując się na doświadczenia historyczne, że jest to mało prawdopodobne. Zauważają słusznie, że by tak się stało, należałoby Rosję całkiem izolować. Tymczasem wbrew powszechnej w Polsce opinii, zgodnie z którą Rosję potępia cały świat, Kreml może liczyć na pomoc nie tylko takich państw jak Iran czy Korea Północna, lecz także na przychyłność Chin, Indii, Brazylii, nawet Pakistanu czy Arabii Saudyjskiej oraz na neutralność Turcji.

Co zatem czeka nas w przyszłości? Większość polskich polityków i publicystów wciąż wierzy w coś, co nazywa zwycięstwem. Chociaż różnie je definiują, można przyjąć, że polegałoby ono na tym, iż Moskwa przestanie być liczącym się mocarstwem, że zostanie

zmuszona do wycofania się z ziem ukraińskich zajętych nie tylko po 24 lutego 2022 r., lecz także po roku 2014, czyli także z Krymu, Doniecka i Ługańska. Niektórzy dodają, że pociągałoby to wewnętrzny rozpad państwa, może odsunięcie od władzy Putina. Ostatnio w modzie jest debata na temat miejsca, do którego miałby zbiec dyktator. Szczerze mówiąc, uważam te pomysły za mrzonki. Jak miałoby się to dokonać? Mówimy przecież o państwie dysponującym wciąż ogromnym potencjałem nuklearnym i konwencjonalnym. Czy gdyby ten scenariusz był bliski realizacji, np. wskutek nadzwyczajnie sprawnej i potężnej ofensywy ukraińskiej, na co zresztą się nie zanoszą, to czy Moskwa nie sięgnęłaby po najbardziej drastyczne środki?

Dlatego bardziej prawdopodobny jest inny wynik, a mianowicie swego rodzaju wariant koreański. Rosja zatrzyma niektóre zajęte przez siebie ziemie, Ukraina ocaleje, ale w stanie okrojonym. Z tego punktu widzenia opłaca się wspierać militarnie Ukrainę: im będzie silniejsza, tym lepszą będzie miała kartę przetargową. Jak to w życiu jednak bywa, nie ma nic za darmo. Poważną wadą tej taktyki jest ryzyko rozlania się konfliktu na pozostałe państwa. Im dłużej trwa wojna, im więcej strat pociąga, tym łatwiej wyobrazić sobie, że straci się nad nią kontrolę. Skutków konfliktu na pełną skalę nie da się przewidzieć.

Z tego powodu tak trudno mi zrozumieć optymizm polskich komentatorów i polityków: naród, który jak żaden inny w Europie był doświadczony przez ostatnią wojnę i jej przerażające skutki, powinien być bardziej, a nie mniej ostrożny od pozostałych. ©



TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
**PRZYKRE PRZEBUDZENIE
Z MIŁEGO SNU**
Ukraińcy walczą za nas

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GŁÓWNY BŁĄD ZACHODU

22 ŁUKASZ WARZECHA
POKÓJ MUSI NADEJŚĆ

25 WOJCIECH GOŁONKA
WE MGLE WOJNY NA WYNISZCZENIE

KRAJ

28 TOMASZ ROWIŃSKI
WYŁĄCZANIE WOLNOŚCI SŁOWA
Uderzenie w media

31 JAN FIEDORCZUK
GROTESKOWA PLATFORMA

34 TERESA STYLIŃSKA
**OSOBY UCZNIOWSKIE,
CZYLI GENDEROWA NOWOMOWA**

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
SPRZEDAWCY MARZEŃ

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
ENERGETYKI NIE DLA DZIECI?

KULTURA

40 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ARTYSTA STULECIA
Genialny Donatello

51 PIOTR GOCIEK
WICHRY NOWOCZESNOŚCI

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 ROZMOWA Z BARTŁOJEM RADZIEJWSKIM
FORTECA ZACHODU
Zbyt wiele romantyzmu,
za mało pragmatycznego realizmu

64 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TĘCZOWA MISJA FRANCISZKA

HISTORIA

66 SEBASTIAN LIGARSKI
PFIZER NA CELOWNIKU SŁUŻB
Jak PRL wykradał technologie
wytwarzania leków

70 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
**BIĄŁO-CZERWONI
NA DACHU ŚWIATA**

ŚWIAT

72 PIOTR WŁOCZYK
BAŁTYCKA ZAGADKA
Kto wysadził Nord Stream? Artykuł
amerykańskiego dziennikarza śledczego
i znaki zapytania

76 MACIEJ PIECZYŃSKI
RĘKA MOSKWY W TBILISI

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
OPINIA WARTA MILIARDY
Przełom w sprawie frankowiczów?

82 JAKUB WOZIŃSKI
**TWÓJ DOM
Z EKOPASZPORTEM**

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (69), PRZYBYLSKI (75),
GABRYEL, WARZECHA (81), KOMUDA (86), POSPIESZALSKI, KARWELIS (87), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), ROSZKOWSKI (89), CEJROWSKI (90)

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (dłubka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Contributor/Getty Images, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Z rosyjskiego deszczu pod chińską rynną”, Jakub Wozinski, „DRZ” nr 2/2023

Szanowni Państwo, artykuł Jakuba Wozńskiego „Z rosyjskiego deszczu pod chińską rynną” jest bardzo użyteczny, ale wymaga sprostowań. To bardzo dobrze, że Autor wskazuje na związek między „polityką klimatyczną” UE a sytuacją gospodarczą Chin, jednak artykuł byłby bardziej przekonujący, gdyby pokazywał związki między „ekologiczno-” „środowiskami na Zachodzie a chińskimi firmami kontrolowanymi przez Pekin albo gdyby wyjaśniał drogę Chin Ludowych do opanowania technologii pozyskiwania metali niezbędnych do produkcji „zielonej energii”. Wszystko to ukazuje książka Guillaume’a Pitrona „Wojna o metale



rzadkie. Ukryte oblicze transformacji energetycznej i cyfrowej”, prezentowana przez samego autora podczas ubiegłorocznego XXXI Forum Ekonomicznego w Karpaczu (recenzja w 36. tomie „Przeglądu Geopolitycznego”, gdzie znajduje się też artykuł rozwijający tę tematykę). Wywiad z francuskim autorem znajduje się w 37. tomie wspomnianego kwartalnika, dostępny jest także w internecie: youtube.com/watch?v=5m2Ka6j-7gQ.

Jakub Wozinski niezbyt jasno pisze o materiałach stosowanych do produkcji paneli fotowoltaicznych, turbin wiatrowych i baterii samochodowych. Panele produkuje się nie z polisilikonu, tylko z polikrzemu, czyli krzemu hutniczego przetworzonego w trakcie skomplikowanych procesów technologicznych, wymagających m.in. zastosowania wielkich ilości kwasów

i innych toksycznych substancji, zrzucanych następnie do chińskich rzek i gleb. Magnesy do turbin wiatrowych wymagają neodymu lub samaru, czyli metali z grupy tzw. metali ziem rzadkich. Ich pozyskiwanie również jest bardzo skomplikowane technologicznie i również wiąże się z wielką ilością trucizn emitowanych do wód, gleby i powietrza. Podobnie jest z surowcami do wyrobu baterii (w celu uzyskania lepszej orientacji w zakresie pozyskiwania surowców górniczych odsyłam do mojej książki „Regiony świata. Geografia i geopolityka”).

W artykule Jakuba Wozńskiego brakuje jasnego stwierdzenia, że tzw. zielona energia nie ma nic wspólnego z ekologią i nie przyczyni się do zmniejszenia emisji zanieczyszczeń! I nie chodzi tu o emisję dwutlenku węgla, który w atmosferze jest niezbędny, aby mogła się odbywać fotosynteza, ale o emisję silnie toksycznych substancji skutecznie i trwale niszczących Ziemię. Tak przynajmniej myśli Guillaume Pitron – jeden z ekspertów Komisji Europejskiej, który miejsca wytwarzania metali ziem rzadkich, np. Bayan Obo w Mongolii Wewnętrznej, widział na własne oczy. Powinni się dowiedzieć o tym wszyscy wrażliwi ekologicznie ludzie, opowiadający się za transformacją energetyczną, która stanowi pętlę, którą Europa, za sprawą Timmermansa i jemu podobnych, sama zakłada na swoją szyję.

Witold Wilczyński,
emerytowany profesor

Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie,
redaktor naczelny „Przeglądu Geopolitycznego”

Od autora

Szanowny Panie, bardzo dziękuję za ciekawe uzupełnienie mojego tekstu. Ukazanie związku między środowiskami „ekologicznymi” a chińskimi firmami i państwem oraz przedstawienie argumentacji przeciwko tzw. zielonej energii wymagałoby w zasadzie napisania osobnych tekstów, a mój służył jedynie prezentacji tego, jak bardzo Państwo Środka zdominowały produkcję i dostawy w kluczowych obszarach forsowanej obecnie zielonej rewolucji. W pełni zgadzam się z Pańską opinią, że dokonując transformacji energetycznej w obecnym kształcie, Europa sama zakłada sobie na szyję pętlę. Szkoda tylko, że wraz z nią czyni to również Polska.

Pozdrawiam serdecznie
Jakub Wozinski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Robaki was wyzwolą

Koledzy misjonarze zawsze zachwalali robaki, więc jak zobaczyłem zadymę, że teraz będziemy je jeść, to pobiegłem do sklepu. I nic z tego. Robaków nie ma. A na poważnie, nikt nas przecież do jedzenia ich nie zmusza. To zgoda na dystrybucję, a nie przymus spożycia – tak z informacji o dopuszczeniu przez Komisję Europejską mąki z owadów żartuje sobie jeden z publicystów. I rzeczywiście dziś, gdy jest to jeszcze jakaś ciekawostka, można sobie żartować z przeczulenia prawników, którzy znaleźli sobie kolejny temat do straszenia unijnym spiskiem. A ja nieśmiało wyznam, że jakoś to przeczulenie rozumiem. Bo ludzie obserwują zjawiska społeczne i potrafią sobie dopowiedzieć, jak przebiegają pewne procesy.

Gdyby jeszcze 40 lat temu ktoś przekonywał, że w sporcie zawodowym biologiczni mężczyźni podający się za kobiety będą rywalizować i wygrywać z biologicznymi kobietami, to wielu powiedziało, że jest to wizja niemożliwa do realizacji. Zjawisko przeforsowania

tę, co nazwano „prawami osób LGBT”, pokazuje, że takie zmiany są tylko kwestią odpowiedniej socjotechniki. Tym bardziej że – jak wskazał jeden z internautów – prawdopodobnie na opakowaniu żywności nie będzie wypisane ogromnymi literami, że jest tu wsad mąki ze świerszczy, tylko pojawi się enigmatyczny napis, np. „białko pochodzenia innego – 6 proc.”.

Ujawnione niedawno zalecenia gremium zrzeszającego miasta wyczulone na przyszłość klimatu proponują, aby rocznie każdy miał prawo do spożycia 16 kg mięsa, zakupu ośmiu sztuk odzieży i odbycia jednej podróży lotniczej na dwa lata. Politycy PO, którzy czują drastyczność takich propozycji, próbują zmienić to w żart. Ale już Sylwia Spurek mówi wprost: 100-procentowa weganizacja jest konieczna, a sektor hodowlany trzeba odesłać do historii. I grzmi: „Populiści przypuścili historyczny atak, a opozycja nie ma odwagi przyznać, że bez tych działań nie zatrzymamy katastrofy klimatycznej”. Kto w tym sporze ma większe szanse na przeforsowanie swoich

racji? Pani Spurek czy zachowawczy politycy z PO? Przecież wojownicza europosłanka może wskazywać, że Platforma kiedyś uchylała się też od poparcia aborcji na żądanie, a teraz już zgodnie popiera ten postulat.

A teraz weźmy przykład Komisji Europejskiej. Jeżeli np. za kilka lat zostaną przeforsowane obowiązujące kwoty dodawania mąki ze świerszczy do wypieków, to przecież na przykładzie obecnego sporu Brukseli z polskim rządem możemy sobie wyobrazić zablokowanie wypłaty kwot unijnych dla krajów, które przed obowiązkowym wsadem robaczywej mąki będą się wzdrygać. Chodzi o pewien mechanizm narzucania zmian społecznych. A czy dotyczyć będzie sporu o polskie sądownictwo czy mąki ze świerszcza, to tylko kwestia aktualnej polityki. Mechanizmy nacisku i zmuszania ludzi do rzeczy, na które nie mają ochoty, pozostają te same. A zawsze można wyobrazić sobie kolejnego papieża, np. Franciszka II, który wyjaśni, że akceptacja mąki ze świerszczy jest dowodem na chrześcijańskie rozumienie wyzwania ekologii. ©



FOT. U.S. NAVY COVER IMAGES/EAST NEWS

BIDEN, CHINY I TAJEMNICZE UFO

Wciąż nie ma pewności, czym dokładnie były zestrzelone przez amerykańskie wojsko obiekty – przyznał na konferencji prasowej prezydent USA Joe Biden. Wyjaśnił, że z ustaleń wywiadu wynika, że zestrzelone niedawno trzy niezidentyfikowane obiekty powietrzne „prawdopodobnie należały do prywatnych firm i instytucji naukowych”. Przywódca Ameryki oznajmił także, że nie zamierza przeproszać Pekinu za zestrzelenie chińskiego balonu. (jap) ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Informacja kreatywna

To, że lewicowo-liberalne media nie stronią od bezczelnego kłamstwa, nie jest niczym nowym, ale warto zwrócić uwagę na innowacyjne sposoby, jakie przy tym stosują. Ostatni tydzień przyniósł dwa takie wypadki. Pierwszym było ogłoszenie przez tygodnik „Newsweek” na okładce sensacji, że PiS sfałszował wybory. Drugim: wrzucenie do obiegu przez TVN długo rezonującej potem w mediach i polityce opowieści o skandalu, że jakoby zgwałcona 14-latką tułała się od szpitala do szpitala po całym Podlasiu i wszędzie odmawiano jej legalnej aborcji przez „klauzulę sumienia”.

Sensacje „Newsweeka” wyszydził tego samego dnia wywodzący się z PO socjolog, a za nim inni, wyka-

zując na prostych liczbach, że nic się w nich nie trzyma kupy. Żywoć opowieści o rzekomym cierpieniu zadanym przez PiS ofierze gwałtu był dłuższy: dopiero kontrola Rzecznika Praw Pacjenta wykazała, że nic podobnego nie miało miejsca, a jedyny odnotowany przypadek dotyczył 24-latkę, która terminacji ciąży dokonała bez żadnego problemu nazajutrz po otrzymaniu legalizującego to kwitu z prokuratury.

Co najważniejsze: „Newsweek” oparł się na bezkrytycznie powtarzanych opowieściach człowieka, który mieszka w Norwegii, może więc pleść dowolne bzdury i rzucać oszczerstwa, bo w kraju, który przyznał azyl prawomocnie skazanemu oszustomi „monitorującemu” polski rasizm, nie ma możliwości skutecz-

nie pociągnąć go do odpowiedzialności. A TVN swe kłamstwa osłonił formułą: „nie podajemy żadnych szczegółów, żeby nie narażać ofiary na dodatkowe cierpienia”.

Tą metodą można wpuścić w obieg medialny dowolną brednię. Cóż – poza etyką, której nie mają – przeszkodzi lewicowo-liberalnym mediom zamieścić rozmowę z panem ukrywającym się na wyspach Pitcairn, który opowie, jak organizował dla działaczy PiS pedofilskie orgie? A cóż przeszkodzi im odpalić story o zgwałceniu przez działacza PiS dziecka, bez wskazywania, którego i kiedy, by chronić je przed jeszcze większym cierpieniem? Do wyborów osiem miesięcy, ale przygotowania do kampanii już idą na całego. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Jak wywraca się historię

Marszałek Chrzanowski przestrzegał nas zawsze, że jeszcze przyjdzie nam walczyć nie tylko z ateistyczną lewicą, lecz także z pogańską prawicą. Nie bardzo mi się w to chciało wierzyć, tym bardziej że pisarze typu Alaina de Benoist uchodzili wtedy raczej za ekscentryków. I nawet gdy jeden z czołowych amerykańskich neokonserwatystów, Robert Kaplan, zaproponował, byśmy „dla prowadzenia przyszłych wojen” zmienili etykę z chrześcijańskiej na pogańską, też nie brałem tego poważnie. A teraz idee te wędrują pod strzechy.

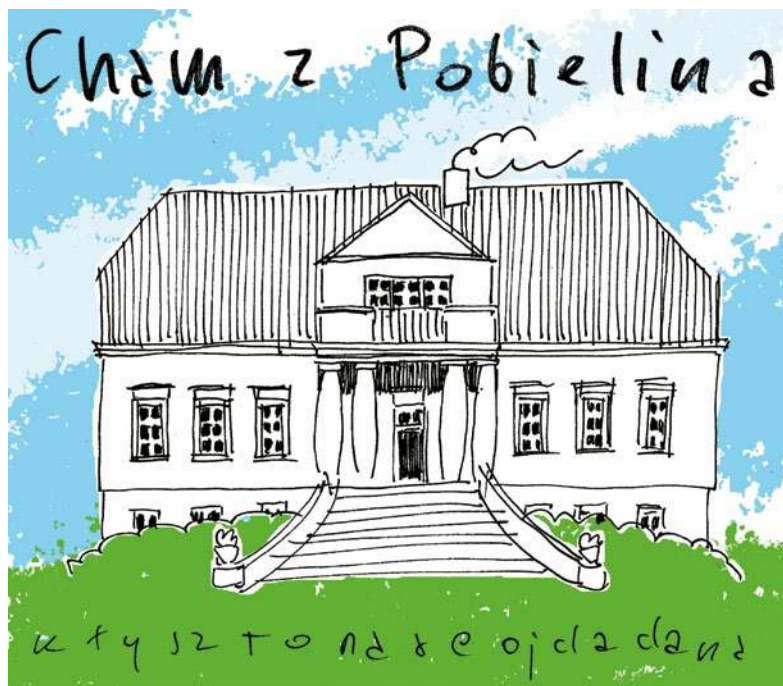
Serialowy cykl „Wikingowie” i „Wikingowie: Walhalla” to nie

tylko zajadła antychrześcijańska propaganda, w której nordyccy nadludzie są wspaniali, nawet gdy mordują, a chrześcijanie – odrażający w swej słabości, nawet gdy są mordowani. To także imponująca apoteoza pogaństwa. Ofiary składane z ludzi nie mają nic wspólnego z kolektywnym gwałtem, są wzniosłe, co jeszcze podkreśla piękna i nastrojowa muzyka. I oczywiście – „Wikingowie” to również pop-nietzscheański pamflet na chrystianizację. Miotani resentymentem chrześcijańscy podludzie, gdy zyskują siłę, stają się nie tylko brutalni, lecz także perwersyjnie okrutni. A żeby ich (czyli nasz) obraz zohydzić najbardziej – najgorzse cechy chrześcijaństwa skupia

w sobie Święty Olaf, norweski król, męczennik, bohater chrześcijańskiej Skandynawii.

A jak było naprawdę? Wybitni historycy wikingów – profesorowie P.G. Foote i D.M. Wilson – wyjaśniają, że ewangelizacja postępowała, bo „mogła ukoić żal po stracie bliskich i niewinnych”, a „najbardziej rzucającym się w oczy darem chrześcijaństwa dla Północy stało się rozbudzenie uczuciałości w życiu twardej ludzkiej, których przedtem uczono jedynie podziwu i potępienia, ale nie współczucia”. No, ale tę właśnie etykę, jak dziś nam radzą, czas już porzucić. Byśmy mogli lepiej prowadzić nadchodzące wojny. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

0 grach i zabawach ludu włoskiego



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

12 lutego nad ranem zakończył się festiwal piosenki włoskiej w San Remo, wraz z najważniejszymi meczami futbolowymi najliczniej oglądana impreza we włoskiej telewizji.

Publiczność obok piosenek wysłuchała antyfaszystowskiego monologu Roberta Begniniego, bo – jak wiadomo (z postępowych źródeł) – wraz z Giorgią Meloni do Italii wrócił faszyzm. Najpopularniejsza blogerka modowa, Chiara Ferragni, obnażyła się częściowo w imię walki z przemocą wobec kobiet. Natomiast całkowicie obnażył się pewien komik, choć nie wiadomo, w jakiej sprawie. Raper Fedez wezwał premier Meloni do legalizacji lekkich narkotyków. Potem w ramach wsparcia dla LGBTQ+ wraz z innym artystą

raperem na estradzie symulowali akt homoseksualny i pocałowali się z pasją. Znaczący twierdzą, że również z językiem. Niejaki Blanco (19 lat) tak się wściekł na brak dźwięku w słuchawkach, że wrzeszcząc, zdemolował kwietną scenografię na estradzie. Natomiast jedna z najlepszych siatkarek świata, Paola Egonu, córka nigeryjskich imigrantów, powiedziała Włochom, że są rasistami, choć tu i ówdzie zdarzają się wyjątki.

Jeśli chodzi o imprezy towarzyszące i konkurencyjne, to w San Remo odbył się również Festiwal Rozbrojeniowy. Nosili ruskie flagi, protestowali przeciw prezydentowi Zełenskiemu, zbrojeniu Ukrainy i imperializmowi NATO.

Pisarz Francesco Merlo na łamach postępowej „La Repubblica”

zawyrokował z entuzjazmem, że w tym roku w San Remo odrodził się włoski ruch oporu przeciw faszyzmowi i lada chwila ruszy nowy marsz na Rzym.

Komentatorzy przyjęli te występy jako grę wstępnią przed superistotnymi wyborami w regionach Lacjum ze stolicą w Rzymie i Lombardia (12–13 lutego), w których mieszka 25 proc. populacji wytwarzającej jedną trzecią włoskiego PKB. W cuglach absolutną większością głosów wygrała je prawica, bijąc postępców o 25 i 20 punktów procentowych. W sieci pojawiły się memy: „Giorgia Meloni dzięki je organizatorom festiwalu w San Remo za wsparcie” oraz „Lewica śpiewa w San Remo, a prawica w Lacjum i w Lombardii”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Główne wydanie serwisu informacyjnego
z najważniejszymi informacjami z kraju i ze świata.
Podsumuj dzień z Telewizją Republika.



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

„ŻUL”, ALE PARYSKI

Pani Maja Bohosiewicz wybrała się z mężem do Paryża. Cała eskapada nie miałaby jednak najmniejszego sensu, gdyby nie była obszernie relacjonowana na Instagramie. – Słuchajcie, tu nawet żul na ulicy, taki normalny pijak, wygląda normalnie. Pił wino czerwone z butelki, a nie jakąś Sofię, a wygląd miał jak u nas filmowiec w Polsce, jakby się urwał ze szkoły filmowej. Kamery mu tylko brakowało – ekscytowała się Maja. Rzecz jasna, udostępniła wizerunek niczego nieświadomego mężczyzny, który spokojnie

i śpiewał w białej pościeli przy Luwrze i po prostu zrobił na mnie ogromne wrażenie swoją elegancją – podkreśliła Bohosiewicz. Wiecie państwo, jak to się nazywa? Gaszenie pożaru benzyną.

SZKODA CZŁOWIEKA

Maja jest ekspertką w tej dyscyplinie. Postanowiła bowiem zabrać głos w sprawie afery wokół Nicole Sochacki-Wójcickiej vel „Mamy Ginekolog”, która swoją niby niegroźną wypowiedzią przy malowaniu paznokci prawdopodobnie skopała sobie karierę medyczną. W telegraficznym skrócie – Mama G. przyznała, że jako rezydentka w państwowym szpitalu przyjmuje poza kolejką koleżanki i rodzinę. Dodała, że to norma. Co więcej, Nicole przekonywała, że to świetny sposób na „skrócenie kolejek”. Szef ośrodka zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji, podobnie NFZ. A co ma do tego Maja Bohosiewicz? Ano to, że jako rasowa celebrytka nie podaruje sobie żadnej okazji, aby się wypowiedzieć. Pewnie chciała pomóc znajomej z Insta, ale wyszło odwrotnie. – Nie znam się z „Mamą Ginekolog”, niekoniecznie obserwuję, nie mój klimat. Natomiast jest mi bardzo, bardzo przykro jako człowiekowi za to, co ją spotkało. Oidium jest tak ogromne, niewspółmierne do przewinienia – przekonywała Majka w jednym z wywiadów. To jednak nie koniec wywodów. – Ja uważam, że takie halo powinno być, jakby zadzwońiła pacjentka i powiedziała: „Nicole, wyczuwam coś, czego wczoraj nie było! To pilne!”. A „Mama Ginekolog” by powiedziała: „Sorry bejbe, ale już spadam na chatę robić rosół, także bujaj się w kolejkę” – podsumowała. No to ten, afery nie ma, można się rozejść.

ODKLEJKA DODY

Sprawa Nicole Sochacki-Wójcickiej i jej, delikatnie pisząc, nepotycznego podejścia do pełnionej funkcji pokazała, jak mocno oderwana od rzeczywistości jest nasza celebrytosfera. Zamiast potępić przyjmowanie znajomych poza kolejnością albo przynajmniej milczeć, jedna po drugiej panie, których jednym

z głównych zajęć jest pozowanie na ściankach, bez krępacji pokazują reszcie kobiet mentalny środkowy palec. Bo jak inaczej ocenić wypowiedzi takie jak np. pani Dody? – A kogo lekarz nie wpuszczał bez kolejki? Każdego z nas ktoś wpuścił bez kolejki – skomentowała Rabczewska. Piszącej te słowa np. żaden lekarz bez kolejki do gabinetu nie wpuścił, ale widocznie gdzieś w życiu popełniłam błąd. Szejm on mi.

KULINARNE
DRAMATY
MŁYNARSKIEJ
AGATY

To wszystko nie ma jednak najmniejszego znaczenia wobec dramatu, jaki spotkał Agatę Młynarską. Dziennikarka wybrała się do bistro w warszawskim Centrum Kultury Łowicka, aby spożyć domowy obiad. – Wbiłam tutaj i zamówiłam sobie mintaja, ziemniaki, kapustę kiszoną, kapuśniak i pięć naleśników, które chcę zabrać. Zdecydowanie spadła mi korona z głowy. Zapłaciłam 105 zł. Jest to paragon grozy – poinformowała instagramowych obserwatorów. Młynarska nie zostawiła na knajpie suchej nitki. – W lekkim szoku jestem. Zjadłam lekko tłustawy kapuśniak, chyba odgrzewany w mikrofalówce, z ewidentnie mrożoną marchewką, do tego ziemniaki, jadłam takie w szkolnej stołówce, trzy kawałki mintaja i pyszną skądinąd surówkę – pomstowała gwiazda. – Jeden błąd, cherlawy, gumowaty naleśnik: 15 zł. Nie chciałam z nadzieniem, a nie miałam czasu, żeby usmażyć rano dla Różyczki. Pomyślałam: są naleśniki, to kupię. Ale to jest biznes, tam jest chyba jakiś potencjał. Magdo Gessler, wskocz tu do tego kultowego miejsca i zrób tu porządek. Takie danie nie powinno tyle kosztować – zaapelowała Agata. Normalny człowiek, jeśli jest niezadowolony z restauracji, to do niej po prostu nie wraca. Celebryta robi za to wielką dramę w Internecie. Im większe ego, tym większa drama. ©



FOT. MATEL SZ JADELSKI/EAST NEWS

szczył jakiś napój z charakterystycznej, ciemnozielonej butelki. Gwiazda uznała chyba, że przesadziła, więc szybko dokonała „sprostowania”. – I od razu chciałam zrobić sprostowanie, że to nie filmowcy w Polsce wyglądają źle, tylko żule w Paryżu wyglądają stylowo – stwierdziła. Celebryci nie wiedzą często, kiedy skończyć, i niestety wywód Mai trwał dalej. Tłumaczyła, że „nie miała nic złego na myśli”. – Zostałam pouczona. Nie można, nie powinno się mówić na osoby dotknięte kryzysem bezdomności per żul – to nieeleganckie i bardzo przepraszam. Nie miałam nic złego na myśli, pan był radosny, uśmiechnięty. Popijał wineczko



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ruszył już podobno system do rozliczania i wysyłania zeznań podatkowych. To znaczy ruszył tak, jak można byłoby się spodziewać po pisowskim projekcie: wolno, ociężale, zawieszając się – normalnie jak 30-letni passat B5 pod górkę za Jasłem.

To znaczy: tak słyszeliśmy. My z niego nie korzystamy i nie będziemy korzystać. To kwestia sumienia i już Wam wyjaśniamy dlaczego: otóż, jak sama nazwa wskazuje, należy złożyć „zeznanie” podatkowe. A tak się, nomen omen, składa, iż nie mamy zamiaru niczego zeznawać pisowskiemu aparatowi przemocy, tym bardziej tego, jakie są nasze przychody z korpo i innych działalności.

Nie zrozumcie nas źle – podatki są słuszne, w każdym innym ustroju płacilibyśmy je niezwykle chętnie, a może i nawet więcej niż od nas by oczekiwano. Nie chcemy jednak przykładać ręki do fundowania pisowskich inwestycji, a jak już opozycja wygra wybory i weźmie się za rozliczanie, to tym bardziej nie chcemy zostać rozliczeni jako ci, którzy wspierali pis swoją podatkową sumiennością.

Szkoda tylko, że jeśli sami tego zeznania nie wysłamy, to ono się wtedy wysł samo, automatycznie. Taki autodonos, co nie? Typowa cecha wszystkich totalitaryzmów. Ale cóż, przynajmniej będziemy mieć czyste sumienie, iż nie przyłożyliśmy do tego ręki.

Prezes Orlenu Obajtek ogłosił niedawno, iż w okolicach małego ośrodka Biłgoraj na Lubelszczyźnie odkryto bogate złoża gazu ziemnego.

A zatem czekać tylko na facetów z łopatami, którzy się zaraz rzuca do wydobywania gazu, aby budować multienergetyczne imperium tej części Europy.

W ogóle naszym zdaniem to jest po prostu okradanie ziemi. Wszelka działalność polegająca na wydobywaniu,

Strasznie irytują nas te wąskie horyzonty i brak otwarcia się na postępy.

Jak tam, kochani, obchodziliście w korpo w tym roku grawitacyjnie uposażony czwartek? Z tego, co wiemy, to w bardziej tradycyjnych miejscach pracy osoby zatrudnione wciąż są faszzerowane przez pracodawców pączkami – pewnie po to, iżby miały więcej kalorii, więcej siły i ciężiej pracowały.

Nowy z Tarnowa też miał takie zamiary. Przychodzimy w czwartek do korpo, a tam wszystkie dostępne blaty uginają się pod ciężarem pączków z różnymi nadzieniami, polewami, o różnych kształtach i z różnymi nadzieniami.

No, kochani, gdyby nie nasza silna wola, to byłoby naprawdę źle. Zjedliśmy tylko po cztery.

Ale jak już zjedliśmy, to nie mieliśmy siły na żadne pracowanie, braliśmy tylko leki na zgagę i w pół

leżąc na biurkach, zauważyliśmy, iż tyle lat minęło, a Nowy nadal nie nauczył się mówić „grawitacyjnie uposażony” czwartek, tylko ciągle gada, iż jest on „tłusty”.

Postanowiliśmy więc, iż za rok bierzemy się porządnie za dekonstrukcję, żadnych pączków, tylko sałatka z jarumu i inne wegeprzysmaki, no chyba że Nowy znów nas tak sprytnie podejrze jak w tym roku, wtedy może być ciężko. ©©



wykopywaniu, wyciąganiu czegoś spod powierzchni ziemi na wierzch to jest przestępstwo na naturze, iż nie mamy żadnego prawa, aby tak robić.

A tymczasem przychodzą biali heteroseksualni mężczyźni ze swoimi wielkimi wiertłami, maszynami, koparkami i... yyy, no czego tam się jeszcze używa po polibudzie, i biorą, jakby to było ich.

Naszym zdaniem powinniśmy odejść od takiego postępowania, zwłaszcza że, kochani, gaz...? Serio? W XXI w., kiedy odkryliśmy już możliwości nowych źródeł energii, ciągle ktoś potrzebuje gazu?

PODSŁUCHANE

Może się uda

Borys, ty z tą wariatką gadałeś?
Z kim, Donek? Z babcią Kasią, znaczy?

No a z kim? Myślisz, że ona nie skrewi?

No wiesz, ona jest trochę... niestabilna, że tak powiem. Ale chyba nie.

Dobra. Czyli jeszcze raz: tutaj, narysowałem na karteczce, ominie kordon, wyjdzie tą bramą i rzuci się przed konwój Bidena. Spałuj ją, myślisz?

No a jak? Będą myśleli, że to zamachowiec jakiś.

OK, to dobrze, niech Biden zobaczy brutalność reżimu. Tylko ten transparent żeby miała czas pokazać.
Może się uda.

Ale niech po angielsku będzie poprawnie.
Właśnie... Bo ja nie wiem, jak przetłumaczyć „Precz z Kaczorem dyktatorem”, żeby się rymowało.
© © **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Korupcja, recesja, inflacja. Walentynki Kaczyńskiego”.

DONALD TUSK, były premier, szef PO,
na Twitterze

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Przez cały miniony tydzień trwały rozpaczliwe próby wczesania się przedstawicieli Eine Totalopposition na spotkanie z niejakim Wujkiem Joe, z zawodu prezydentem USA. Wujek Joe Biden przyjeżdża do Polski aż na trzy dni i opozycja argumentuje, że powinien znaleźć czas na spotkanie, podczas którego miejscowa elita postępową oświeci go na temat zbrodni PiS. Na razie jedynym terminem, w którym przewidziano udział polityków innych niż ze Zjednoczonej Prawicy, jest ogólny spęd wszystkich w Arkadach Kubickiego, gdzie Wujek Joe będzie przemawiał.

Starania trwają, telefony, e-maile i faksy się grzeją (nie uwierzylibyście, w ilu miejscach jeszcze są faksy). Eine Totalopposition bije na alarm, że wąsko ukierunkowane rozmowy Wujka Joe w Polsce mogą być odebrane jako poparcie dla tej partii przed jesiennymi wyborami. No właśnie. Starania jednak trwają i kiedy oddawaliśmy numer do druku, w opozycji jeszcze tliła się nadzieja, że uda się z Joe przynajmniej pstryknąć fotkę.

Nieba Eine Totalopposition chciałby przychylić ambasador Brzezinski, któremu zdecydowanie bliżej do Michnika, Tuska czy Trzaskowskiego. Problem w tym, że Biały Dom aktualną opozycję uważa za sprzyjającą Niemcom. A w tym sezonie w Waszyngtonie pikelhauby są uważane za wyjątkowo niemodne. Do tego stopnia, że Wujek Joe już drugi raz w ciągu roku odwiedzi Warszawę i będzie w niej przebywał aż trzy dni. Na wypad do pobliskiego Berlina czasu do tej pory nie znalazł.

Amerykanie nie są jednak ludźmi okrutnymi. W ramach nagrody pocieszenia do Niemiec wysłali protezę w postaci Kamali Harris. Ale nie do Berlina, tylko do Monachium. I nie specjalnie do Niemców, ale na imprezę międzynarodową, którą jest doroczna konferencja bezpieczeństwa. Na wszelki wypadek przypominamy, że w 1938 r. na konferencję w Monachium nie byli proszeni jankesi. Wpadli do Niemiec dopiero kilka lat później, już tak konkretnie. Ale ważna rzecz: Wujek Joe Biden jest



może z innej partii niż Donald Trump, lecz mimo to kontynuuje jego tradycję. Trump przez całą kadencję nie znalazł nawet chwilkę, by wpaść do Berlina. A do Warszawy – owszem. Ostatnim prezydentem, który zstąpił nad Szprewę, był Barack Obama.

Jeśli ktoś uważa, że stosunki polsko-niemieckie są w opłakanym stanie, to powinien być zairżnięty do willi Zawrat w ubiegłym tygodniu. Nie wiecie, co to willa Zawrat? To taki dom bez oficjalnego adresu, mieszczący się na warszawskim Mokotowie. Tak zwane pomieszczenia recepcyjne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kiedyś rozmowy w tej willi z udziałem Kiszczaka i Wałęsy zaprowadziły nas do Magdaleny. W ubiegłym tygodniu gościła tam Nancy Faeser, szefowa resortu spraw wewnętrznych naszych niemieckich przyjaciół. Pierwotnie planowano, że zostanie podjęta w Belwederze, jednak prezydentowi urzędnicy krzyknęły taką cenę za wynajem, że postawiono na własny obiekt.

Krótko o szczegółach wizyty. Minister Faeser została powitana z taką szarmanckością, na jaką stać wobec kobiet tylko Polaków. Żadne tematy drażliwe się nie pojawiły. Co więcej, niemiecka minister wyraziła nawet zrozumienie dla budowy płotu na białoruskiej i ruskiej granicy. To akurat nas nie dziwi. Gdyby nie ten płot, to Niemcy dawno padliby pod naporem uchodźców. I to nie takich jak pracujący uczciwie Ukraińcy.

Ale tych, których kusi wizja, że można żyć, nie pracując.

Ze świata. Jeden gość imieniem Pascal z władz regionalnych Brukseli chlapanął dziennikarzom, że urzędnicy instytucji unijnych często zażywają narkotyki. Jak sprawa wyszła na jaw, to się chłop wycofał, obwieszczać, że żartował. Cóż, słyszeliśmy, że i wśród europosłów też bywa białe, choć jednak przeważają zwolennicy tradycyjnych rozrywek, znaczy win oraz destylatów. No chyba że wśród jaśniepanów oczywiście. Żartowaliśmy.

Żartów ciąg dalszy. Rośnie lista świadków opowiadających, jak pewien jaśniepan z europarlamentu zwykł w ponurym nastroju opuszczać oficjalne spotkania, by udać się do toalety, a następnie powrócić w bardzo radosnym, energetycznym nastroju. Tak, wiemy, opróżnienie pęcherza poprawia humor. Ale nie aż tak. Żartowaliśmy.

Kontynuujemy żarty. Jak może wiecie, sąd prawomocnie orzekł, że w Polsce można bezkarnie kogokolwiek nazywać „mordercą” lub „maszyną bez mózgu”. No bo jeśli zdaniem sądu taka aktoreczka vel szansonistka może jechać po Straży Granicznej, to chyba po zwykłych ludziach każdy może. A może i po niezwykłych. Jak politycy Eine Totalopposition albo nawet sędziowie z nietykanej nadzwyczajnej kasty. Żartowaliśmy. Musimy podkreślić. Bo inaczej okaże się zaraz, że nie można niektórych nazywać aktoreczkami albo szansonistkami.

Podsumowując niezwykle żartobliwy tydzień: okazało się, że w Polsce można bezkarnie atakować policjantów (jak Babcia Kasia), lżyć Straż Graniczną (jak Babcia Kurdej) oraz łącać w żywe oczy, przypisując jednemu premierowi słowa innego premiera (jak Babcia Platforma Obywatelska). Widome dowody na to, że żyjemy w opresyjnym reżimie PiS, piętrzą się pod niebiosami.

Żeby nikt nie mówił, że zapominamy o czerwonych braciach. O nie, śledzimy z uwagą ich aktywność. Nawet taką lokalną. Na przykład w mieście Łodzi niejaki Tomasz Treła zorganizował

konfę prasową pod alarmistycznym tytułem „650 dni bez europejskich pieniędzy!” (tak, w oryginalnym tytule jest wykrzyknik). Po co te krzyki, pośle Treła? Przecież polska lewica wytrzymała kiedyś bez europejskich pieniędzy nawet 45 lat. Od roku 1944 do 1989. Co innego rosyjskie pieniądze. Aha, tylko wtedy one się nazywały „sowieckie”.

Ataki np. Radek Sknerus Sikorski ma od groma pieniędzy europejskich, lecz mu to nie wystarcza, więc bierze arabskie. Może powinien zorganizować własną konfę pod tytułem „Dajcie mi jeszcze jakieś inne pieniądze!” (tak, koniecznie postulujemy wykrzyknik). Doprawdy, nie wiemy, po co mu tyle. Dom już ma, lata za darmo, na utrzymanie gospodarstwa zarabia sławniejsza żona. Ani chybi Radek zbiera na mauzoleum. Własne. Proponujemy, oczywiście, kształt piramidy. I sfinksa. Z czyją twarzą? Kto tam ostatnio najgłupiej bronił Sknerusa? O, już wiemy – sfinksa z twarzą Kierwińskiego.

Na razie zamiast pomiarów działki pod mauzoleum Radka Sknerusa Sikorskiego zajmuje korespondencja z dziennikarzami. Ponieważ mało mu fukania na polskich dziennikarzy na Twitterze, rozszerzył swą działalność na skalę europejską. Dlatego napisał do dziennikarki POLITICO, która ośmieliła się pytać o Radkową kasę od Arabów, że jest „bohaterką polskich nacjonalistów”. Dziennikarka poskarżyła się Transparency International. Niesłusznie. Powinna być zaszczycona, a nie obrażona. W końcu Radek nie użył wobec niej języka zarezerwowanego dla Polek, które w zależności od humoru, nazywa „buremi sukami”, „biurwami, które trzeba prze....dolić”, „wariatkami”, względnie posiadaczkami „zatłuszczonych łbów”.

Z ciekawością odnotowujemy wypowiedź europosłanki Sylwii Spurek, która głośno mówi to, co inni na lewicy ukrywają w programach. Otóż Spurek ogłosiła, że potrzebna jest „stuprocentowa weganizacja”. A jak ktoś nie będzie chciał? Cóż, to trudno. Jako zwolennicy steków

i drobiu mamy pomysł na inne podejście do weganizacji. Otóż zaledwie 25 lat świetlnych od Ziemi znajduje się gwiazda Wega. I jej układ planetarny. Weźcie, kochani, całą kasę od Sorosa, Bezosa i Gatesa, i zbudujcie sobie raketę na Węgę. A tam – nowe lepsze społeczeństwo. Jak mawiał Jacek Kuroń: zamiast palić komitety, zakładajcie własne. My zostaniemy tutaj, z naszym drobiem i ze stekami.

Życie towarzyskie. Jeden z wieczorów karnawału pewien Pan G. spędził ostatnio na Balu Osobistości Wyobrażonych organizowanym przez PIW. Warunek wstępu był następujący: przebrać się za tytuł książki, bohatera lub cytat. Było ciekawie: pewien przyszły ambasador, sporo szyszek z mediów. Maciej Pieczyński bronił honoru redakcji „Do Rzeczy” przebrany za księdza Robaka. A Pan G. – za „Trzy zimy” Miłosza. Tak, to jest możliwe. Największą atrakcją imprezy był szef PIW, owinięty zieloną materią i kwiatkami, dzierżący w dłoni bejsbola. On przebrał się za cytat: „dziecielina pała”. ©©

REKLAMA

Przesławny Mordimer Madderdin

ku chwale Pana i ucieście gawiedzi

POWRACA!

M iasto Weilburg zatrzęsło bramy i ogłosiło kwarantannę. W obrębie pilnie strzeżonych murów zamknięto ludzi chorujących i umierających na zarazę. Ale nawet po tych, którzy wymknęli się epidemii, śmierć gotowa jest sięgnąć z innych powodów...



PREMIERA
22 LUTEGO
2023





STRACH I TOKSYNY W EAST PALESTINE

Mieszkańcy stanów Ohio oraz Pensylwanii skarżą się na skutki katastrofy kolejowej, podczas której wykołeił się pociąg z toksycznymi chemikaliami. Biały Dom zdecydował w czwartek o wysłaniu w ten rejon specjalnej misji, mającej pomóc w walce ze skutkami zdarzenia, podczas którego wykołeiło się 50 ze 150 wagonów. Część z nich przewoziła niebezpieczne dla zdrowia, toksyczne substancje, takie jak chlorek winylu, czyli bezbarwny, toksyczny gaz, który wykorzystuje się np. do produkcji polimeru PVC.

Na miejscu rozmieszczane są również federalne zespoły zdrowotne. Mimo że od wypadku minęły już dwa tygodnie, a władze zapewniają, że jakość powietrza i wody pitnej nie odbiega od normy, to doniesienia o śniętych rybach i niewyjaśnionych zgonach zwierząt hodowlanych budzą spory strach. Wiele osób skarży się bowiem na bóle głowy, gardła czy pieczenie oczu. Gubernator Ohio Mike DeWine zaapelował więc, aby osoby mieszkające najbliżej miejsca katastrofy piły jednak tylko wodę butelkowaną. Najbardziej zaniepokojeni są mieszkańcy East Palestine, którzy, cytowani m.in. przez BBC, wprost mówią o katastrofie kolejowej: „nasz Czarnobyl”. (jap) © ©

FOT. GENE J. PUSKAS/AP/EAST NEWS



Przykre przebudzenie z miłego snu

Takich wojen jak ta, która toczy się na Ukrainie, miało już nie być. Długotrwałe walki o Bachmut czy Mariupol budzą skojarzenia z walkami o Stalingrad czy Charków w 1943 r. I znów widzimy, jak rosyjscy dowódcy wysyłają na śmierć kolejne bataliony żołnierzy, szafując krwią swoich podwładnych. I znów zobaczyliśmy masowe groby ofiar sołdeckiego zwyródnienia. Najemników spod znaku Grupy Wagnera za brak odwagi każe się egzekucjami przy użyciu młota kowalskiego.

W naturze cywilizacji zachodniej leży tendencja do idealizmu i optymizmu. Pierwsze zniknęły złudzenia o tym, że inne cywilizacje, na czele z islamską, przejmą zachodni wzorec ładu liberalnego. Tu gorzkim przebudzeniem był 11 września 2001 r., kiedy to Al-Kaida uderzyła w Stany



Piotr Semka

Rosyjskiego niedźwiedzia można pokonać, ale tylko wtedy, kiedy nie będzie się go jednocześnie dokarmiać. Powinniśmy wspierać Ukrainę w walce o integralność terytorialną. Oznacza to chęć odzyskania wszystkich terytoriów ukraińskich według granicy z 2014 r., z Krymem włącznie

Zjednoczone. Teraz Rosja udowadnia nam, że próby przemodelowania tego państwa na „kraj jak każdy inny” się nie udały. Wszyscy ci, którzy wskazywali, że recydywa sowieckiej symboliki i rehabilitacja stalinowskiego imperializmu muszą mieć swoje upiorne konsekwencje, mogą dziś triumfować. Na szczęście tej recydywie ide-

ologii spod znaku sierpa i młota, zmieszanej z wielkorosyjską patyną, przeciwstawiła się wola Ukraińców, by obronić swoją wolność. Państwo ukraińskie nie było i nie jest ideałem, ale wzięło na siebie ciężar obrony Europy przed zaborczością Kremla w podobny sposób, jak uczyniła to Polska w sierpniu 1920 r.

Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak i prezydent Andrzej Duda po spotkaniu z instruktorami szkolącymi ukraińskich żołnierzy na czołgach Leopard 2A4 w Bazie Wojskowej Świętoszów w zachodniej Polsce, 13 lutego 2023 r. FOT. W. RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS



procesem postępującym. Mołdawia nie odegrała żadnej znaczącej roli w wyposażeniu Ukrainy w broń, a mołdawscy żołnierze nie uczestniczą w walkach z armią rosyjską. A jednak strategiczny zamiar otoczenia Ukrainy od zachodu skłonił Rosjan do opracowania planów obalenia rządu w tym kraju.

To oznacza, że wszelkie złudzenia na temat możliwości pozostawiania neutralnym w tym konflikcie są iluzją. Tak jak Rosjanie mogą uważać, że zwasalizowanie Mołdawii jest niezbędne do odniesienia zwycięstwa nad Ukrainą, dokładnie tak samo mogą uznać, że bez wasalizacji Polski ich okręg kaliningradzki nie będzie bezpieczny. A Białoruś Łukaszenki nie będzie bezpieczna, jeśli dla odmiany nie zhołduje się Litwy; Estonia z kolei może np. jawić się Rosjanom jako zbyt niebezpieczna dla Petersburga – drugiego miasta we wskrzeszonym rosyjskim imperium.

WNIOSEK DRUGI

Kolejny raz musieliśmy sobie uświadomić, że Europa nie jest w stanie sprostać rosyjskim atawizmom zaborczości bez pomocy Stanów Zjednoczonych. Dziesiątki lat gładzenia o europejskiej armii były przykrywką dla rozpaczliwego stanu wyposażenia Bundeswehry czy niezdolności Francji do tego, by szybko udzielić pomocy walczącym o przetrwanie Ukraińcom.

Francuskie i niemieckie wojska zapadły w drzemkę, uczestnicząc jedynie w stosunkowo mało groźnych interwencjach w Afryce. Wielką maszynę logistyki i militarnego know-how po stronie Zachodu posiada jedynie Ameryka. W tym sensie intuicja Polski, która zawsze starała się równoważyć nadzieję na pomoc ze strony krajów europejskich specjalnymi relacjami z Waszyngtonem, okazała się trafna.

WNIOSEK TRZECI

Patriotyzm ma znaczenie. Ukraińcy nie zatrzymaliby rosyjskiego walca, gdyby nie byli świadomymi patriotami. Symbole ukraińskiego patriotyzmu mogą niekiedy nas konfundować. Sięganie po postać Symona Petlury może nas radować, wskrzeszanie pamięci Stepana Bandery może nas słusznie oburzać. Ale bez ukraińskich własnych wzorców stojących

w opozycji do rosyjskiej ideologii „braterstwa słowiańskiego” opór faktycznie trwający od 2014 r. nie byłby możliwy.

Dziś raz jeszcze przychodzi mi na myśl spór sprzed ponad siedmiu lat o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Lansowana przez ekipę Pawła Machcewicza wizja drugiej wojny światowej – spowodowanej czystą ideologią, a nie antagonizmami narodowymi – była wizją, która nie przystawała i nie przystaje do analizy ideologicznego wymiaru konfliktu na Ukrainie. Tak samo Ukraińcy nie zdołaliby zatrzymać Rosjan, gdyby ich kraj był zdominowany przez ideologię pacyfizmu, która na Zachodzie jest o wiele silniejsza.

W tym sensie ponurym memento jest dla nas pytanie, czy młodzi Polacy byłiby w stanie walczyć z podobną odwagą w razie zagrożenia naszych granic. Zachowanie wielu celebrytów, którzy absolutnie nie widzieli szerszego wymiaru zagrożenia związanego z naporem imigrantów z terenu Białorusi do Polski, pokazuje, że idealizm potrafi zaślepić nawet w sytuacji, gdy atak przeprowadzany jest z kraju o ewidentnych cechach postkomunistycznych. Gdyby w Polsce wznowiony został pobór przymusowy, przekonaliśmy się, jak bardzo gotowość do wyrzeczeń jest masowa. Reakcje pewnego celebryty na otrzymanie karty mobilizacyjnej pokazują, że mogłoby być bardzo różnie. To dla nas materiał do poważnych przemyśleń.

WNIOSEK CZWARTY

W sytuacji kryzysowej niezwykle ważna jest jakość przywództwa. I pod tym względem polski rząd Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ostatnich 12 miesięcy zdał egzamin. A tak naprawdę okres testu należy rozciągnąć jeszcze na drugą połowę 2021 r., kiedy to zdaliśmy egzamin z reakcji na próby zalania Polski imigrantami z Trzeciego Świata, przybywającymi na Białoruś specjalnym mostem powietrznym z Bagdadu czy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Polska podjęła bardzo ryzykowną decyzję przekazania Ukrainie wszystkich posiadanych czołgów wyprodukowanych w epoce sowieckiej i była to reakcja szybka i trafna. Teraz potrafimy mobilizować Europę do dostarczania armii ukraińskiej coraz bardziej zaawansowanego uzbrojenia. Taka mądra hojność przynosi dodatkowy bonus

Czy to wojna nasza czy nie nasza? Nasza w sensie politycznego interesu wspierania Ukraińców po to, aby sowiecki walec zatrzymywany został na terenie Donbasu, a nie na linii Bugu. Jak słusznie wskazał niedawno szef naszej dyplomacji Zbigniew Rau: „Dotychczas to my walczyliśmy o siebie i innych, dziś jest inaczej. Ukraińcy walczą za nas”.

Jakie wnioski można wyciągnąć z 12 miesięcy konfliktu, który toczy się na naszym progu?

WNIOSEK PIERWSZY

Ujawnione niedawno przez prezydenta Mołdawii plany destabilizacji tego kraju ze strony Rosji zostały pośrednio potwierdzone przez amerykańskiego szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego. To pokazuje, że rosyjska agresja jest

■ w postaci zwiększenia determinacji armii Ukraińców do obrony swego kraju.

WNIOSEK PIĄTY

Przeistoczenie się Rosji z państwa budzącego wątpliwości, ale jednak mieszczącego się jakoś w standardach zachodnich, w agresywnego potwora zmusza do zmiany myślenia o wyzwaniach dla bezpieczeństwa Polski w perspektywie dekad. Nawet jeśli dojdzie do zawarcia pokoju i wojna za naszą wschodnią granicą dobiegnie końca, to przyzwyczaić się musimy do długiego okresu bardzo dużej mobilizacji naszych sił obronnych, ponieważ nie wiadomo, kiedy apetyty imperialne Rosji powrócą. Rosja jest zbyt duża, by ktoś mógł ją okupować, reedukować, tak jak to było z Niemcami po wojnie. Dopóki Rosja nie wykaże jakichkolwiek tendencji do demokratyzacji, dopóty groźba kolejnej fali rewindykacji i rewanzizmu będzie wisiała nam nad głową. I jakoś musimy z tym żyć.

Powtórmy raz jeszcze. Tym bardziej w naszym interesie jest, by strefa przewidywalności geostrategicznej przebiegała jak najdalej na wschód. Ale wymaga to

niemieckiej uciec od dramatu graniczenia z agresywnym blokiem sowieckim.

Rosja w przewidywalnej przyszłości będzie posiadała gigantyczny atut w postaci broni jądrowej. Ale jeśli chcemy zostać wolnymi ludźmi, to w jakimś sensie sytuacja państw frontowych – Finlandii, Szwecji, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii – znowu zacznie przypominać sytuację Izraela. Kraju, który od 75 lat musi cały czas brać pod uwagę możliwość ataku ze strony państw arabskich. Ta wrogość raz jest mniejsza, raz większa, ale Izraelczycy musieli się nauczyć żyć w jej cieniu i dostosować do tego zagrożenia niemal wszystkie aspekty funkcjonowania swojego państwa.

WNIOSEK SZÓSTY

Skoro znajdujemy się znowu w świecie zimnej wojny, to wyciągamy wnioski z doświadczeń Zachodu w tamtym czasie. Rosyjskiego niedźwiedzia można pokonać, ale tylko wtedy, kiedy nie będzie się go jednocześnie dokarmiać. I dlatego tyle zastrzeżeń budzi wśród wielu Polaków postawa Węgier, które korzystają na polaryzacji, utrzymując specjalne relacje

riach mądrego realizmu. Ale nie zmienia to faktu, że takie zachowania obniżają wiarygodność czy to Budapesztu, czy Wiednia, czy wreszcie wciąż aspirującej do Unii Europejskiej Republiki Serbii. Za honory, którymi otaczani są przybysze z Węgier w Moskwie czy Mińsku, płacą najwyższą cenę Ukraińcy umierający w okopach w walce z Wagnerowcami.

Tyle wniosków z ostatniego roku walk na Wschodzie. Jaki jest dla Polski optymalny koniec tej wojny? Najważniejsze dla nas jest utrzymanie niepodległej Ukrainy. To ona jest dla nas naturalną barierą przed zakusami Kremla. I dopóki Wołodymyr Zełenski walczy na czele swojego państwa, dopóty powinniśmy mu pomagać na tyle, na ile możemy, i tak długo, jak potrafimy. To Ukraińcy najlepiej wiedzą, jaki jest kres ich możliwości. Zaraz po nich najwięcej wiedzy na ten temat mają Amerykanie. Ale ci też mają swoje globalne interesy, które mogą, ale nie muszą być tożsame z interesem ukraińskim.

Powinniśmy wspierać Ukrainę w walce o swoją integralność terytorialną. Oznacza to chęć odzyskania wszystkich terytoriów ukraińskich według granicy z 2014 r., z Krymem włącznie.

Rosjanie na razie odrzucają wszelkie propozycje pokojowe Kijowa, które nie akceptują zaboru przez Rosję czterech obwodów Ukrainy. To Ukraińcy będą musieli zdecydować, czy mają siłę walczyć o pełne odzyskanie wszystkich swoich terytoriów. My powinniśmy uszanować ich decyzje, a także bronić ich, gdyby w Waszyngtonie zwyciężył ten nurt w myśleniu dyplomatów departamentu stanu, który uznaje np. rosyjskie zarzuty, że Zachód, współpracując wojskowo z Ukrainą, miał rzekomo pchnąć Putina do obecnej agresji. Przyjmować tej zatrutej postsowieckiej logiki nie można. To Ukraińcy ponoszą cały ciężar ofiary krwi. Dlatego szanujemy ich ocenę sytuacji. Ale jeśli ta ocena oznacza prowadzenie dalszej wojny z Rosją, to dalej okazujemy im pomoc. Nie angażujemy się bezpośrednio w militarny konflikt, ale starajmy się dostarczyć naszym sąsiadom najbardziej zaawansowaną broń. W ciągu 12 miesięcy tej wojny życie oddały setki tysięcy Ukraińców. To jednak jest jakieś zobowiązanie. W największym stopniu zobowiązuje ono władze Ukrainy, ale też jest jakimś zobowiązaniem dla narodów Zachodu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przeistoczenie się Rosji z państwa budzącego wątpliwości, ale jednak mieszczącego się jakoś w standardach zachodnich, w agresywnego potwora zmusza do zmiany myślenia o wyzwaniach dla bezpieczeństwa Polski w perspektywie dekad

jeszcze zmierzania się psychicznie z sytuacją możliwej nowej, zimnej wojny. Nawet jeżeli wojna Ukrainy z Rosją zakończy się jakimś traktatem pokojowym – jeśli utrzyma się u władzy nurt postkomunistyczno-szowinistyczno-wielkorusyjski – to trzeba być gotowym do kolejnego rewanzystowskiego ataku. Psychologia wielu ludzi wychowanych w ideałach wiecznego pokojowego rozwoju, bardziej skupiona na problemach klimatycznych niż na przygotowywaniu obrony przed rosyjskim atakiem, będzie się z realiami takiego życia w zagrożeniu wadzić. Dokładnie tak samo jak w latach 80., gdy niemieccy pacyfiści nie byli w stanie wytrzymać grozy sowieckich rakiet skierowanych na zachodnie stolice i próbowali żądaniami wycofania amerykańskich rakiet Pershing z ziemi

handlowe z Rosją, a jak się ostatnio okazało – także z Białorusią. Wizyta w Mińsku szefa dyplomacji węgierskiej, Pétera Szijjártó, odbyła się w momencie, kiedy polskiego dziennikarza Andrzeja Poczobuta skazano na wyjątkowo surowy wyrok więzienia. Wiadomo, że w sytuacji, gdy większość państw Zachodu wprowadziła sankcje wobec Rosji i Białorusi, każdy, kto jest członkiem NATO i Unii Europejskiej, a odwiedza wschodnich dyktatorów, będzie tam przyjmowany z wyjątkowymi honorami. Bo każda wizyta – czy to Orbána czy Szijjártó – na dworach wschodnich satrapów będzie służyła im do głoszenia świata, że wcale nie są wyizolowani.

Taka swoista jazda na gapę musi być oceniana bardzo krytycznie. Jak każdy egoizm, łatwo ją przedstawiać w katego-



Główny błąd Zachodu

Rok trwania wojny na Ukrainie to, jak się okazało, w wypadku części liderów opinii wystarczająco długo, żeby zacząć zapominać o spawach, które powinny być dla każdego oczywiste – i bezpośrednio po brutalnej napaści upadającego rosyjskiego imperium na wymykającą się spod jego wpływu Ukrainę przez jakiś czas były. Wynika to z tego, że Rosja, po roku ponoszenia na froncie ciężkich, ale dla jej władz możliwych do przyjęcia porażek, zdołała się nieco pozbierać, oczyścić swe struktury siłowe z najbardziej je paraliżujących patologii, podciągnąć rezerwy i przygotować nowe ofensywy. Nie tylko ofensywę militarną, lecz także informacyjną. Tu również, po



Rafał A. Ziemkiewicz

Pasywność przyjętej wobec Rosji linii, powodująca niedostateczne wspieranie wysiłku wojennego Ukrainy, a nie wspieranie go samo w sobie, jest powodem eskalowania konfliktu i jego przedłużania się

miażdżącej przegranej w pierwszych miesiącach, zdołała Rosja odzyskać wiele terenu, zasiewając w krajach, które postrzega jako wrogów, swoje narracje i skutecznie odwracając pojęcia.

Ktokolwiek czytał wielkiego chińskiego stratega sprzed tysięcy lat, Sun Tzu,

wie, że narzucenie przeciwnikowi swojego sposobu myślenia jest czynnikiem zwycięstwa nie mniej istotnym niż osiągnięcie przewagi w liczbie i uzbrojeniu wojsk. Rosjanie czytają go od pokoleń – jego „Sztuka wojny”, nieprzekraczalny wykład wschodniej chytryści ■

■ i bezwzględności w dążeniu do zniszczenia wroga, jest obowiązkową lekturą we wszystkich tamtejszych akademiach wojskowych i dyplomatycznych.

KIEDYŚ HITLER, DZISIAJ PUTIN

Wydaje się sprawą oczywistą, że wyłączną winę za rozpętanie wojny ponosi agresor. Ale agresor mimo to stara się swoją winę zrelatywizować i przekonać postronnych, że został sprowokowany. Kiedyś agentura wpływu Hitlera zdołała przekonać sporą część Zachodu, że winę za wojnę ponoszą Polacy, bo nie chcieli opuścić niemieckiego Gdańska i dyskryminowali mniejszość niemiecką. Współcześnie agentura rosyjska upowszechnia na wszelkie możliwe sposoby tezę, że

Jeśli przyjąć za dobrą monetę to fundamentalne kłamstwo, że winny wojny nie jest ten, kto napadł na niezagrożającego mu sąsiada, ale ten, kto chce się wyzwolić spod imperialnej dominacji, i ten, kto mu w obronie swych praw pomaga, to logiczną konsekwencją jest wniosek, że w takim razie to Ameryka ma w ręku klucz do zakończenia wojny. Gdyby nie wspierała ona Ukrainy i gdyby nie wymuszała wsparcia jej na innych krajach, ta ostatnia nie miałaby sił do dłuższego stawiania oporu i rosyjska flaga dawno już powiewałaby nad Kijowem – ergo, wojna by się zakończyła, a rozlew krwi przeniosłby się z otwartych pól bitewnych do katowni i „obozów filtracyjnych”, gdzie łatwiej byłoby światu go nie zauważać.

Zachód, zaskoczony skalą oporu Ukrainy i nieudolnością agresora, przyjął, podobnie jak w latach zimnej wojny, że istnieje pewna – niedaleka, sądzono chyba – granica, której osiągnięcie spowoduje, że Kreml się opamięta

przynajmniej część winy za krwawy konflikt na wschodzie ponoszą Ukraina, która nie ukrywała swych ambicji włączenia się w struktury wojskowe Zachodu, oraz Stany Zjednoczone, które ją zbroiły i pomagały w zorganizowaniu skutecznych, nowoczesnych sił zbrojnych.

Jest to oczywiście odrzucenie zasady samostanowienia narodów na rzecz zasady wymuszania na mniejszych narodach podporządkowania się imperialnym interesom mocarstw. Jakkolwiek absurdalne jest dowodzenie, że gwałtowi winna jest ofiara, bo nie chciała się oddać po dobroci – to, co Rosja, tak jak wcześniej Związek Sowiecki, głosi otwarcie, Zachód często przyjmował do wiadomości milcząco, szukając w dwubiegunowym świecie „zimnej wojny” jakiegoś sposobu współżycia z agresywną bestią, rządzącą drugą połową świata. Fundamentalna teza Putinowskiej propagandy, mocą „pamięci materiału”, znajduje więc w pewnych kręgach Zachodu zrozumienie: no tak, Rosja ma przecież swoje interesy, więc trzeba je uszanować, żeby móc sobie ułożyć z nią pokojowe stosunki. Rządy Niemiec i Francji przytakują tu Kremlowi zupełnie otwarcie.

Kolejnym logicznym krokiem w tym systemacie Putinowskich kłamstw jest nazwanie wsparcia dla Ukrainy „eskalowaniem” wojny. To już iście orwellowskie odwrócenie pojęć: zwiększanie możliwości obronnych Ukrainy to „eskalowanie” wojny, ponieważ zmusza się w ten sposób Rosję do zwiększania wysiłku bojowego. Z tego z kolei wynika logicznie, że pomaganie Ukrainie doprowadzić musi do „pełnoskalowej” wojny światowej, bo jeśli świat uniemożliwi Rosji pokonanie Kijowa w wojnie konwencjonalnej, to tym samym będzie ona „zmuszona” sięgnąć po broń jądrową.

Pozwolą państwu, że w tekście z założenia poświęconym podsumowaniu dotychczasowego przebiegu wojny, a nie przewidywaniom jej dalszego przebiegu poprzestanę na naszkicowaniu tylko tych głównych linii rosyjskiej propagandy. Oczywiście prowadzące ją ośrodki z podstawowych fałszów wyciągają więcej logicznych konsekwencji i, umiejętnie ubierając je w pozory „realizmu”, zatruwają nimi zachodnią, także polską, debatę publiczną (to się zresztą nawet tak właśnie w fachowym języku wojny informacyjnej nazywa – „intoksykacja”).

Sądzę, że tu właśnie mamy do czynienia z największym zwycięstwem Rosji, umożliwiającym jej kontynuowanie agresji i nową ofensywę. Zgodnie ze swoim doświadczeniem, zdobytym w trakcie zimnej wojny, po części dzięki znajomości myślowych nawyków i słabości Zachodu, po części dzięki ich pogłębianiu za pomocą rozbudowanych siatek wpływu na wroga elity i opinię publiczną, zdołali Rosjanie ograniczyć strategię USA do paradygmatu, który w czasach konfrontacji z ZSSR nazywano „elastycznym reagowaniem”. A może przeceniam ich wpływy – wystarczającym powodem do przyjęcia takiej strategii mógł być dla decyzyjnych polityków lęk przed inercją własnej opinii publicznej. Tak czy owak, to właśnie pasywność przyjętej wobec Rosji linii, powodująca niedostateczne wspieranie wysiłku wojennego Ukrainy, a nie wspieranie go samo w sobie, jest powodem eskalowania konfliktu i jego przedłużania się.

ZADAĆ CIOS

Mówiąc krótko, Zachód, zaskoczony skalą oporu Ukrainy i nieudolnością agresora, przyjął, podobnie jak w latach zimnej wojny, że istnieje pewna – niedaleka, sądzono chyba – granica, której osiągnięcie spowoduje, że Kreml się opamięta. Uznano więc, że wystarczy wspierać obronę Ukrainy, ale w miarę możliwości uniemożliwiać jej kontruderzenie – a bez kontruderzenia i odzyskania anektowanych przez Moskwę ziem nie jest możliwe zwycięstwo. Przekazywano Ukraincom broń, ale tylko taką, którą nie mogą oni sięgnąć rdzennego rosyjskiego terytorium. Po prostu kazano im walczyć z jedną ręką za plecami. Putinowi zaś wysłano jasny przekaz: Jeśli będziesz eskalować napaść, to my będziemy zwiększać wsparcie dla obrony. Wycofaj się, rozpocznij deeskalację, to i my będziemy swój udział w wojnie ograniczać.

Zachodowi wydawało się, że w ten sposób daje Putinowi możliwość wycofania się z twarzą. W istocie zaś powiedział mu: Nic ci z naszej strony nie grozi. W najgorszym wypadku stracisz setki tysięcy żołnierzy, dziesiątki tysięcy wozów bojowych oraz miliardy rubli i zrujnujesz swój kraj, wtrącając go w jeszcze głębsze zacofanie, ale poza tym pozostaniesz z tym, co masz, albo, to już naprawdę w najgorszym razie, z tym, co miałeś do lutego 2023 r.

To nie jest perspektywa, która by rządczych na Kremlu przerażała i kazała przekalkulować ryzyko wojny na nowo. Przeciwnie – „piekła nie ma”, Putin mobilizuje więc i pcha na Ukrainę kolejne setki tysięcy „mobików” w muzealnych czołgach z czasów sowieckich w poczuciu bezpieczeństwa: jeśli mi się uda, to dobrze, jeśli nie, to tragedii nie będzie.

Można tylko marzyć o kimś pokroju Ronalda Reagana – ten umiałby Putina nastraszyć, tak jak swego czasu nastraszył i zmusił do kapitulacji Sowietów („Podpisałem dekret o delegalizacji ZSRS, rakiety są już od pięciu minut w drodze” – ta niby omyłkowa „próba mikrofonu” była, według ekspertów, jednym z najskuteczniejszych aktów wojny psychologicznej w dziejach).

Tak czy owak, dopóki założenie „nie posuniemy się pierwszy dalej, niż robi to Putin, i nie damy tego zrobić Ukrainie” obowiązuje, dopóty wojna trwać będzie tak długo, jak długo Rosja nie wyczerpie całkowicie swych zasobów. A choć nie są to, wbrew temu, co usiłuje wmówić światu Rosja, zasoby niewyczerpane, to jednak jeszcze na kilka lat kontynuowania obecnej agresji wystarczą.

Możliwe, że błędnie odczytuję przyczyny takiego postępowania USA i Zachodu. Możliwe, że wykorzystanie ofiarności Ukraińców do wykrzawienia Rosji jest strategią bardziej przemyślaną. Niewykluczone, że Zachód bardziej niż Rosji imperialnej boi się Rosji upadłej, rozległych, ogarniętych anarchią i chaosem dzikich pól pomiędzy Europą a Azją. Zachodni przywódcy rozumują podobnie jak George Bush senior w czasie pierwszej wojny w Zatoce Perskiej, kiedy to pozwolił osłabionemu reżimowi Saddama Husajna przetrwać. Może nikt nie zauważył, że była to decyzja błędna, i wojnę i tak trzeba było dokończyć kilkanaście lat później.

Ograniczenie celów Zachodu tylko do powstrzymania Putina, bez ambicji zadania mu ciosu (niekoniecznie od razu pełnoskalowego ataku wojskowego – jest wiele pośrednich form agresji, co sam Putin światu uświadomił), ma także tę wadę, że dostarcza paliwa tym, którzy głoszają w krajach sojuszniczych (a i w samej Ameryce, ale to osobny temat) ubierane w szaty „dbania o własne interesy” hasła izolacjonistyczne. Najsilniej zaznacza się to, jak już pisałem, w Niemczech i we Francji, stawiających sobie w sposób sła-

Jest jakąś groźną aberracją wmawianie Polakom, że możemy kierować się zasadą „nasza chata z kraja”, naśladować politykę Orbána i zabezpieczyć swoje interesy w oderwaniu od rezultatu wojny na Ukrainie

bo ukrywany za cel „trzymanie otwartych drzwi” do powrotu do dobrych stosunków z Rosją. Rządy tych krajów zakładają, że Rosji pokonać się nie da (co nie jest prawdą, w pierwszej wojnie światowej została ona pokonana, za sprawą wysłanego przez Skandynawię pociągu z rewolucjonistami), a jedynym możliwym zakończeniem wojny będzie jakiś rozejm, oparty na ustępstwach wykrwawionej i zmęczonej Ukrainy. Wtedy pojawią się miliardy na odbudowę zniszczonego kraju, a te miliardy wezmą ci, którym pozwoli odbudowywać Ukrainę wciąż rozdająca karty w regionie Moskwa (i mają to być właśnie Niemcy i Francja). W sytuacji chwiejnego rozejmu na Ukrainie zepchniętej w stan tymczasowości i pozbawionej realnych gwarancji bezpieczeństwa (taki będzie niewątpliwie rosyjski warunek rozejmu) nikt bowiem nie zaangażuje poważnych środków bez cichych gwarancji Moskwy i zapewne równie cichego podziałkowania się z nią – w czym wspomniane państwa mają i doświadczenie, i know-how.

TO NASZA WOJNA!

Nie muszę chyba udowadniać, bo pisałem o tym wielokrotnie, że taki scenariusz zakończenia konfliktu byłby dla Polski historyczną tragedią, nieuchronnie prowadząc do realizacji neobismarcowskiego układu, w którym nie byłoby geostrategicznej przestrzeni na suwerenną Polskę. Rozejm na Ukrainie na warunkach Rosji, taki, jakiego oczekują liderzy UE, oznaczałby bowiem nieuchronną marginalizację nas jako skolonizowanej i wyzyskiwanej prowincji Niemieckiego Państwa Europejskiego.

Wymagałoby to jednak zgody USA, a więc całkowitej zmiany w ich obecnym strategicznym myśleniu. Nie można oczywiście wykluczyć, że coś takiego się w USA, wskutek ich wewnętrznych kłopotów, stanie, ale uważam to za skrajnie mało prawdopodobne, bo zgoda na oddanie Europy Środkowej pod zarząd niemiecko-rosyjski oznaczałaby

koniec mocarstwowości Ameryki. Tak czy owak, nie mamy w tej sytuacji innego wyjścia niż dołożyć wszelkich starań, aby ukraiński opór był maksymalnie wspierany, a amerykańska determinacja w powstrzymaniu Rosji nie słabła.

Jest jakąś groźną aberracją wmawianie Polakom, że możemy kierować się zasadą „nasza chata z kraja”, naśladować politykę Orbána i zabezpieczyć swoje interesy w oderwaniu od rezultatu wojny na Ukrainie. Mówiąc krótko i brutalnie: dla Polski jest lepiej, żeby nasze czołgi płonęły w tej chwili pod Kijowem z Ukraińcami w środku niż „trzymane na własne potrzeby” miałyby za jakiś czas płonąć pod Warszawą z załogami polskimi. Demagogia zwolenników tego drugiego rozwiązania opiera się bowiem na całkowitym „chciewstwie”, na irracjonalnym założeniu, że zaspokoiwszy swoje apetyty na obszarze postsowieckim, Rosja wyczerpie swe ambicje i zasoby. Takiej opcji nie ma.

Orbán mógł przyjąć rosyjską ofertę stania się krajem, w wypadku zwycięskiego dla Kremla rozejmu, satelickim, bo taką ofertę dostał. Dla Polski Rosja nie ma żadnej innej oferty niż „ma was nie być”. Nikt tego w Rosji nie ukrywa: dopóki istnieje niepodległa Polska, dopóty Moskwa nie będzie mogła bezpiecznie odbudować imperium. Dodajmy, że rymuje się to ze świadomością Berlina, że dopóki Polska nie zostanie pozbawiona podmiotowości, dopóty Niemcy nie będą mogły bezpiecznie zbudować swej dominacji nad Starym Kontynentem. Świadomość tych dwóch politycznych presji, nienowych w naszej geopolityce, pozwala zrozumieć, że tylko zupełnie nowy podział geopolityczny, z silną, podmiotową Europą Środkową, o który walczy dziś Ukraina, mając w tym wsparcie amerykańskie, daje Polsce szansę zachowania suwerennego bytu, bezpieczeństwa i budowy dostatku. Właśnie dlatego, czy ktokolwiek tego chce czy nie, jest to jak najbardziej nasza wojna, o nas i o naszą przyszłość.



Łukasz Warzecha

Interes narodowy Ukrainy nie jest tożsamy z interesem Polski. Pora, byśmy zaczęli to zauważać

Przez rok wojny Polska poniosła gigantyczne koszty, pośrednie i bezpośrednie. Oddała Ukrainie ogromną część własnego sprzętu wojskowego, którego na razie nic nie zastąpiło. Nasze bezpieczeństwo jest obecnie na znacznie niższym poziomie, niż było przed wybuchem wojny. Stając się hubem transportowym dla większości idącego na Ukrainę sprzętu, a także mniej lub bardziej oficjalnym ośrodkiem szkolenia ukraińskich żołnierzy, wystawiliśmy się świadomie „na strzał”. Korzyści z tego płynących specjalnie nie widać. Wolność słowa jest coraz bardziej zagrożona, a rządzący całkiem już otwarcie wprowadzają elementy cenzury, posługując się wojną jako pretekstem. Niektóre z tych skutków były nie do uniknięcia, ale duża ich część wynika z fatalnego kursu, jaki przyjęliśmy. Wszystko to w zamian za zyski czysto hipotetyczne, niepewne i mogące się nigdy nie zrealizować. Część z nich to oczywiste fantasmagorie wzmożonych polityków i publicystów.

BEZALTERNATYWNOŚĆ

Sposób myślenia elity władzy od 24 lutego odznacza się bezalternatywnością: postawiliśmy wszystko na jedną kartę, biorąc pod uwagę tylko jeden, najkorzystniejszy dla nas wariant rozwoju wypadków. Najkrócej mówiąc: musimy wspierać Ukrainę nawet kosztem własnego bezpieczeństwa, o gospodarce i pomyślności obywateli nie wspominając, bo to zapewni jej zwycięstwo (jakkolwiek je rozumiemy) nad Rosją, a z tego zwycięstwa wyniknie dla Polski kilka dobrych rzeczy. Po pierwsze – utracona zostanie groźba rosyjskiej agresji na nasz kraj. Po drugie – Polska jako awangarda w tej wojnie zarobi punkty i w Kijowie, i w Waszyngtonie. Dzięki tym punktom wzmocniony zostanie jeszcze bardziej nasz związek z USA, co przełoży się na zwiększenie amerykańskiego zaangażowania w naszym kraju, a to z kolei – na



Pokój musi

wzrost bezpieczeństwa. Po trzecie – nasze przymierze z Kijowem pozwoli zamieść pod dywan kłopotliwe wątki z przeszłości i na bazie wojennego braterstwa powstanie nowa jakość w Europie Środkowej, a Polska będzie oczywiście odgrywała wiodącą rolę. To pozwoli nam znacząco wzmocnić swoją pozycję w UE i wybawi nas jednocześnie z wielu kłopotów, których obecnie przysparza członkostwo.

Ta konstrukcja wydaje się tak infantylna i w tak ogromnym stopniu nie uwzględnia bardzo licznych potencjalnych

problemów, zwrotów akcji czy alternatywnych scenariuszy lub po prostu w takim stopniu ignoruje rzeczywistość, że wydaje się aż nieprawdopodobna jako podstawa polityki poważnego państwa w tak niebezpiecznym momencie. A jednak z wypowiedzi i działań rządu oraz pana prezydenta po prostu nie da się wyekstraktować nic innego. Taką też wersję wydarzeń i rozwoju sytuacji od 24 lutego pompują media właściwie z obu stron sceny politycznej, jedynie różnie rozkładając akcenty. Do niedawna pod takim



nadejść

podejściem wydawała się też podpisywać zdecydowana większość polskiej opinii publicznej, aczkolwiek w ostatnim czasie zaczął się powolny, acz wyraźny zwrot ku większemu sceptycyzmowi.

Gdzie zatem tkwią wady takiego rozumowania? Przede wszystkim obowiązkowy triumfalizm, obecny od samego początku konfliktu, wielokrotnie się skompromitował. Od rozpoczęcia wojny minął rok. W ciągu tego roku Putin miał 10 razy umrzeć lub paść ofiarą zamachu, Rosjanom miała się wielokrotnie skończyć

amunicja, miały wybuchnąć niezliczone bunt w samej Rosji, miało jej zabraknąć poborowych, miała się zapaść pod ciężarem zachodnich sankcji. Bez trudu można w sieci znaleźć wypowiedzi „ekspertów”, którzy w marcu ubiegłego roku twierdzili, że wojna rozstrzygnie się – oczywiście na korzyść Ukrainy – w ciągu tygodnia czy dwóch. Nic takiego nie nastąpiło. Rosja nie zrealizowała wprawdzie swojego pierwotnego planu szybkiego zajęcia Kijowa i obalenia Wołodymyra Zełenskiego, a także jest bardzo daleko od upadku

i to raczej Ukraińcy mają dziś na froncie problemy. W tej chwili nie ma przesłanek, by sądzić, że zrealizuje się którykolwiek z katastrofalnych dla Moskwy scenariuszy. Zresztą nawet upadek Putina niewiele by zmienił, a być może oznaczałby wręcz zmianę na gorsze.

Fundamentalnie błędnym założeniem polskiej strategii jest przyjęcie, że skutkiem tego konfliktu może być całkowite pokonanie Rosji – które to pojęcie nie zostaje zresztą jasno określone. Można jednak wnioskować z niektórych buńczucznych wypowiedzi polskich polityków, że ma to oznaczać wyparcie jej ze wszystkich okupowanych terytoriów, z Krymem włącznie. Miałoby to również skutkować trwałym (czyli przynajmniej na kilkadziesiąt lat) pozbawieniem Rosji zdolności do prowadzenia jakichkolwiek działań zaczepnych czy ekspansji terytorialnej. To są założenia po prostu całkowicie nierealne.

ROSJI NIE DA SIĘ POKONAĆ

W styczniu RAND Corporation, jeden z najważniejszych amerykańskich think tanków, w dodatku – co ważne – współfinansowany przez rząd USA, wydał niezwykle ciekawy raport zatytułowany „Avoiding a Long War: U.S. Policy and the Trajectory of the Russia-Ukraine Conflict” („Unikanie długiej wojny. Amerykańska polityka i trajektoria konfliktu rosyjsko-ukraińskiego”). Amerykańskie think tanki to ekstraklasa pracy analitycznej, więc dobrze byłoby, gdyby ten materiał spróbowali przeczytać i przemyśleć polscy decydenci, choćby po to, żeby zobaczyć, jak na chłodno powinno się analizować możliwe scenariusze wydarzeń oraz wynikające z nich koszty i zyski.

Nie ma tu miejsca, aby ów raport streszczać – jest to ok. 25 stron bardzo mocno nasyconych treścią. Dość, że rozważając korzyści i koszty z przedłużania się konfliktu, analitycy RAND dochodzą do jednoznacznego wniosku: że dla Waszyngtonu ciągnący się konflikt niesie o wiele większe straty i rosnące ryzyko niż jego możliwie szybkie zakończenie. Wśród minusów analitycy wymieniają konieczność nieustannego finansowego wspierania państwa ukraińskiego, które bez zakończenia działań wojennych nie będzie w stanie stanąć na własnych nogach, rosnące z każdym tygodniem ryzyko eskalacji, także całkowicie

przypadkowej i niekontrolowanej, czy wyczerpujące się zasoby sprzętu wojkowego na Zachodzie. A to tylko niektóre czynniki.

Konkluzja raportu RAND jest uderzająca, ponieważ w Polsce za stwierdzenie, że przedłużanie się wojny nie jest dla nas korzystne, niemal z automatu zostaje się uznany za „rezonatora rosyjskiej propagandy”. Bierze się to z mylnego przekonania, że z samej kontynuacji wojny wyniknie tylko jeden możliwy rezultat: osłabienie Rosji, prowadzące do jej ostatecznej całkowitej kapitulacji. Brzmi tu wciąż w uszach zadziwiająca relacja pana prezydenta Andrzeja Dudy z jego spotkania z panem prezydentem Zełenskim, przekazana podczas spotkania z Polonią w Rydze. Andrzej Duda relacjonował – jak to powiedział swojemu ukraińskiemu odpowiednikowi – że „kiedy już Rosjanie przyjdą na kolanach błagać o pokój”, powinien im zaofiarować podpisanie go w Perejesławiu (nawiązując do ugody perejesławskiej, która poddała Ukrainę Rosji w 1654 r.).

Jak słusznie zauważają analitycy RAND, wariant całkowitego pokonania Rosji, czyli realizacji mrzonek dużej części naszej elity, jest nieprawdopodobny, bo musiałby to być wynik wojny totalnej i bezwarunkowej kapitulacji. Krótko mówiąc – mogłoby to nastąpić jedynie w wyniku koszarnej w skutkach trzeciej wojny światowej, najpewniej z użyciem broni jądrowej. W każdej innej sytuacji Rosja zachowa przynajmniej część swoich zdolności do prowadzenia agresji. I z tym po prostu trzeba się pogodzić oraz przed tym zabezpieczyć. Tu zauważyć trzeba, że nie jest najlepszym sposobem przygotowania się na taki wariant rozwoju sytuacji oddawanie na wypródkę swojego uzbrojenia Ukrainie. Szczególnie że na sprzęt, który ma je zastąpić, będziemy musieli czekać, a wprowadzenie go do jednostek i wyszkolenie żołnierzy to kolejne długie miesiące, jeśli nie lata.

Mało tego, w którymś momencie konflikt będzie musiał się zakończyć jakiegoś typu kompromisem – czy będzie to rozejm, być może zadziwiająco trwały, czy też układ polityczny. Wypieranie tego ze świadomości jest zwyczajnie dziecinne. Jak piszą analitycy RAND, w tej chwili obie strony są na etapie przekonania, że na kontynuowaniu walki więcej zyskują, niż tracą. Po stronie ukraińskiej to przekonanie bie-

W Polsce za stwierdzenie, że przedłużanie się wojny nie jest korzystne, zostaje się uznany za „rezonatora rosyjskiej propagandy”

rze się z najpewniej błędnego przeświadczenia o gotowości Zachodu do udzielania praktycznie niewyczerpanej pomocy. Po stronie Rosji – z przekonania, że kontynuacja działań i problemów gospodarczych Zachodu, wynikających z wojny, skłoni go w końcu do rewizji swojej polityki i ograniczenia pomocy dla Ukrainy.

Żeby te rachuby się zmieniły, Kijów musiałby dostać klarowny sygnał, że pomoc nie jest nieskończona, a nawet może być w jakimś stopniu uzależniona od gotowości do kompromisu terytorialnego. Zarazem musiałby dostać w jakiejś formie gwarancje, że jeśli zgodzi się na ustępstwa, pójdzie za tym ochrona ostatecznego stanu terytorialnego posiadania państwa ukraińskiego. Rosja z kolei musiałaby zobaczyć marchewkę – np. obietnicę złagodzenia sankcji w razie otwartości na rozmowy pokojowe i zawarcia porozumienia związanego z wycofaniem się z jakiejś części obecnie okupowanych terytoriów. Trzeba jednak być realistą: Rosja nie zaakceptuje nigdy utraty Krymu, a najpewniej i Donbasu. Jednak dla Ukrainy i tak najważniejsze jest zachowanie dostępu do dróg morskich, a odzyskanie terenów praktycznie zrównanych z ziemią nie tylko może nie przynieść korzyści, lecz także nawet Kijów osłabić. Będą to przecież terytoria, które trzeba będzie odbudowywać praktycznie od zera, a do tego – bronić.

Patrząc na obecną sytuację, można założyć, że prędzej Ukrainie niż Rosji znacznie się palić grunt pod nogami, a więc to Kijów szybciej niż Moskwa dostrzeże korzyść z zawarciem pokoju. Polska na taki wariant rozwoju wypadków jest kompletnie nieprzygotowana.

NIEMCY BĘDĄ GWARANTEM

Poza złudzeniami dotyczącymi rozgromienia Rosji są też inne. W Europie powojennej wciąż największą siłą finansową

i gospodarczą będą mieli Niemcy i to oni najpewniej zostaną wybrani i przez Kijów, i przez Stany Zjednoczone jako główny gwarant postawienia Ukrainy na nogi. Oczywiście nie za darmo. Polska z Niemcami po prostu nie ma czym konkurować, a nasze własne wskaźniki gospodarcze są coraz słabsze. Berlin już zaczął zmieniać kurs, także w sprawie uzbrojenia, co może wskazywać na jakiś rodzaj układu, może na razie dopiero planowanego, w sprawie powojennej sytuacji.

Prezydent Zełenski traktuje Polskę pragmatycznie, czyli tak, jak na to pozwalamy. Celem jego drugiej podróży od rozpoczęcia wojny nie była Warszawa, ale Bruksela, Londyn i Paryż. W tym ostatnim mieście zjadł kolację z prezydentem Macronem i kanclerzem Scholzem. Z prezydentem Andrzejem Dudą spotkał się znów w przelocie, w jakimś podrzędnym VIP-owskim saloniku w Rzeszowie. Na odczepnego. Zestawmy to teraz z opowieściami o tym, jakie rzekomo niesamowicie kluczowe miejsce zajmuje Polska w nowym europejskim układzie. Przecież prezydent Ukrainy spotyka się z tymi, od których faktycznie może coś uzyskać i o których poparcie warto z jego punktu widzenia zabiegać. Polska zaś daje wszystko bez stawiania jakichkolwiek warunków. Ze spotkania w Paryżu niejako sami się więc wykluczaliśmy. Ewentualny przyjazd Wołodymyra Zełenskiego do Warszawy w najbliższych dniach będzie wynikał z obecności Joe Bidena. I tylko z tego.

W podsumowaniu swojego raportu analitycy RAND Corporation piszą, że dyskusja w USA skupiona jest przesadnie na jednej tylko z – jak to określają – trajektorii konfliktu: kontroli nad terytorium. To ważne dla Ukrainy – stwierdzają – ale już niekoniecznie dla USA. Z punktu widzenia Waszyngtonu ważniejsze jest, aby konflikt zakończył się w przewidywalnym czasie, oczywiście przy jak najlepszym wyniku dla Kijowa, ale to nie może być priorytet.

Pora, żebyśmy w Polsce porzucili szkodliwe mocarstwowe złudzenia, przypominające tromtadację z 1939 r., i zaczęli myśleć w kategoriach zimnej, realistycznej kalkulacji, biorąc pod uwagę także te mniej korzystne lub wprost ryzykowne dla nas warianty rozwoju sytuacji. Oraz dostrzegając jasno, że interes Ukrainy nie jest równy interesowi Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

We mgle wojny na wyniszczenie



W wojnie na Ukrainie natężenie walk artyleryjnych jest ogromne

FOT. LIBKOS/AP/EAST NEWS

Być może kojarzą państwo film wojenny Mela Gibsona z 2002 r. „Byliśmy żołnierzami”, relacjonujący w hollywoodzkim stylu pierwszą lądową bitwę w czasie wojny wietnamskiej, bitwę w dolinie Ia Drang. Paradoksem było to, że po tych kilkudniowych krwawych walkach, które zakończyły się sukcesem wojsk amerykańskich (choć nie bez poważnych strat), generalicja po obu stronach doszła do wniosku, że jest w stanie wygrać wojnę, byle zaangażować odpowiednie środki.

Amerykanie byli wręcz upojeni swą siłą ognia z ziemi i z powietrza miazdzącą piechotę Ludowej Armii Wietnamskiej. Z kolei Wietnamczycy doszli do wniosku, że są w stanie pokonać Amerykanów, byle zapłacić bardzo wysoką daninę krwi swych bojowników – cenę, którą wietnamscy komuniści byli skorzy



Wojciech Golonka

Nasz region może czekać perspektywa ciągnącej się latami wojny, w której Polska, wraz ze swym wsparciem materialno-logistycznym i finansowym, będzie jednym z warunków hipotetycznego zwycięstwa Ukrainy

zapłacić. I rzeczywiście, mimo kolosalnych strat przeszło miliona żołnierzy (przy niecałych 60 tys. ofiar po stronie amerykańskiej) tę wojnę na wyniszczenie summa summarum wygrali komuniści.

Mniejsza z tym, jakie Amerykanie popełnili błędy: wspominam ten fakt w kontekście pierwszej rocznicy rosyjskiej inwazji na Ukrainę właśnie

dlatego, że wojna rosyjsko-ukraińska, która przez ten rok rozkręciła się na dobre, stała się już oficjalnie wojną na wyniszczenie o niespodziewanej skali; zatem podobnie jak w 1965 r. generalicja z obu stron doszła do wniosku, że jest w stanie, pod pewnymi warunkami, taką właśnie wojnę na wyniszczenie wygrać. Oznacza to, że nasz region może czekać perspektywa ciągnącej się latami wojny

– przypomnijmy, że wojna wietnamska trwała aż 10 lat – w której Polska, wraz ze swym wsparciem materialno-logistycznym, a także finansowym, będzie jednym z warunków hipotetycznego zwycięstwa Ukrainy.

Nie ma wątpliwości – patrząc na deklaracje z obu stron, a przede wszystkim na czyny – że wojna na Ukrainie stała się praktycznie „totalną” wojną na wzajemne wyniszczenie. Nie tyle nawet „obu stron”, ile wielu stron – bo NATO realnie jest i nie jest zarazem stroną tego konfliktu, a samo NATO, jak wiadomo, złożone jest z państw członkowskich niemających bynajmniej jednolitego podejścia do tej wojny, by wspomnieć tylko skrajnie przeciwne postawy dwóch państw największych armii NATO-wskich, USA i Turcji, czy dwóch przyjaznych wobec siebie państw, Polski i Węgier.

W rzeczy samej, ze strony kluczowych NATO-wskich partnerów Ukrainy mowa jest o długiej drodze do zwycięstwa. Szef połączonych sztabów amerykańskiej armii gen. Mark Milley mówił nawet niedawno, że w 2023 r. Ukraina nie dokona przełomu na polu bitwy – uwarunkowanego dalszym wsparciem militarnym, które, choć przybiera kolosalne rozmiary, i tak nie odpowiada w pełni potrzebom sił ukraińskich, nie tylko do wyparcia sił rosyjskich, lecz także do zatrzymania ich pochodu na wschodzie kraju.

Jak wskazał w październiku ubiegłego roku gen. Christopher Cavoli, dowódca amerykańskich i połączonych NATO-wskich sił zbrojnych w Europie, na szwedzkiej konferencji ds. bezpieczeństwa w Sälen: „Skala, skala, skala, skala. Skala tej wojny jest niesamowita. [...] Skala tej wojny jest bez proporcji wobec całego naszego dotychczasowego sposobu myślenia, ale taka jest rzeczywistość i trzeba się z nią zmierzyć”. Amerykański wojskowy jako przykład podawał liczbę ukraińskich brygad zaangażowanych w walce, liczbę utraconych przez Rosję czołgów (2000), a przede wszystkim natężenie walk artyleryjskich, w których Rosjanie używają od początku wojny średnio 20 tys. pocisków dziennie (obecnie jest to trzy razy więcej).

Właśnie wobec tej skali dramatycznie wybrzmiewają w ostatnich dniach słowa prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego, że obecne

Po obu stronach konfliktu widzimy zmasowane akcje wojny informacyjnej.

Mają podtrzymać wiarę w zwycięstwo i podkopać morale przeciwnika

dostarczanie uzbrojenia na Ukrainę jest warunkiem sine qua non jej przetrwania tu i teraz, niezależnie więc od samej perspektywy zwycięstwa. Z dostawami sprzętu jest jednak bardzo poważny problem, ponieważ zużycie zapasów z magazynów krajowych NATO-wskich jest szybsze, znaczenie szybsze niż obecne możliwości jego uzupełnienia przez produkcję, o finansach nie wspominając. Stąd nawoływanie gen. Cavolego we wspomnianym przemówieniu w Szwecji: „Zdolność produkcyjna pozostaje niezbędna, absolutnie niezbędna. Zdrowa i elastyczna baza przemysłu obronnego jest tak samo ważna dla NATO-wskiej doktryny odstraszenia i obrony, jak gotowe do użycia siły zbrojne”.

Cavolemu wtóruje od miesięcy sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg, nawołujący do uruchomienia zachodniego przemysłu zbrojeniowego na znacznie większą skalę i mówiący o logistycznej walce z czasem. W ostateczności jest to apel o przestawienie się na gospodarkę wojenną, co Rosja, po impasie swej ofensywy w pierwszych miesiącach wojny, zdążyła już uczynić. Ale zachodnim rządóm nieprędko do podobnego wysiłku finansowego w dobie inflacji i niezadowolonych społecznych, w kontekście gospodarek już i tak nadwyrężonych epoką covidowych restrykcji. Owszem, nowe budżety dla ministerstw obrony we Francji czy w Niemczech są oszałamiające, ale chodzi o zainwestowanie pieniędzy w modernizację i rozbudowę własnych sił zbrojnych, nie zaś w przestawienie gospodarki w tryb wojenny i produkowanie sprzętu na masowy eksport, w dodatku za darmo.

WOJNA INFORMACYJNA

Tymczasem dostawom coraz bardziej zaawansowanych rodzajów broni i kolejnych fal mobilizacji poborowych

towarzyszą, po obu stronach, niemniej zaawansowane i masowe akcje wojny informacyjnej. Te z jednej strony mają podtrzymać w każdym obozie i u swych sojuszników wiarę w zwycięstwo, z drugiej podkopać morale przeciwnika i osłabić poparcie jego partnerów.

Pułkownik Markus Reisner z Terezeńskiej Akademii Wojennej nazwał ostatnio tę sytuację „mgłą wojny”, która ma uniemożliwić prawdziwą ocenę sytuacji. Reisner miał przede wszystkim na myśli działania prorosyjskich źródeł informacyjnych w Internecie, ale podał też inny przykład błędów zachodniej narracji, które deprecjonowały wartość rosyjskich zdolności bojowych: „Zachodzi założenie, że siły zbrojne Federacji Rosyjskiej są systematycznie niekompetentne, nieodwołalnie skorumpowane, ich broń jest nieskuteczna i niegodna zaufania, a same siły zbrojne są niezdolne do adaptacji. Ta narracja jest niebezpieczna, zarówno dlatego, że jest błędna, jak i dlatego, że wpaja samozadowolenie”.

Ten sam austriacki wojskowy, omawiając początek bitwy o Donbas, mimo swych wyraźnych proukraińskich sympatii powiedział, że chcąc zrozumieć, co się dzieje naprawdę na polu bitwy, trzeba być neutralnym w swej analizie, w innym wypadku stronniczość przesłania nam rzeczywistość.

Tymczasem szeregowy laik, czyli większość z nas, tkwi w informacyjnej mgle, nad której zagęszczaniem pracują na bieżąco całe sztaby specjalistów, stąd niezwykle trudno wyrobić sobie dobrze ugruntowaną opinię, co do szans każdej ze stron, perspektyw rozwoju konfliktu czy wszystkich celów tej bądź co bądź złożonej geopolitycznie i szerszej międzynarodowo konfrontacji. Jednocześnie próby rozwiania mgły są traktowane jako brak lojalności i atak strony przeciwnej: w Rosji za zbyt niezależne myślenie w kwestii „specjalnej operacji wojskowej” grozi więzienie, w Polsce z kolei odbieganie od jedynej słusznej retoryki wywołuje ostracyzm i szykany – na razie „wciąż ostracyzm” (a nie Bereza), do którego nawoływał na łamach Interii Piotr Zaremba wobec „subtelnych sojuszników Putina”, mierząc w niektórych publicystów tygodnika „Do Rzeczy”. Narracja i propaganda, tak jak zawsze, skapitulują w tej wojnie u przegranych

ostatnie, z kolei historię napiszą zwycięzcy, stąd o wiele łatwiej, jeśli już, stawiać w obecnej mgłę pytania niż udzielać na nie pewnych odpowiedzi.

POLSKI INTERES

Już sama pierwsza rocznica rosyjskiej inwazji na Ukrainę jest myląca, ponieważ – przyznał to ostatnio sam Jens Stoltenberg – wojna zaczęła się w zasadzie w 2014 r. Jakie były jej kompleksowe przyczyny i czy rzeczywiście ówczesny przewrót na Ukrainie wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami nie stanowił formy prowokowania rosyjskiej agresji, jak podkreślają w swych oficjalnych deklaracjach amerykańscy oficjele?

Ma się rozumieć, nie mogą twierdzić inaczej, ale poznanie tych przyczyn jest o tyle istotne, że warunkują one perspektywy dalszego trwania konfliktu, począwszy od pytania, dlaczego ta wojna ma skalę, której proporcja była nie do pomyślenia dla dotychczasowego sposobu myślenia w NATO, jak stwierdził wspomniany gen. Cavoli. Otóż jeśli Anglosasi w swej doktrynie geopolitycznej traktują Ukrainę jako czułe podbrzusze Rosji, jeśli George Friedman w 2015 r. mówił otwarcie, że nadchodząca wojna na Ukrainie określi przyszły porządek świata, a dla USA będzie kluczowa z punktu widzenia okazji do rozbicia współpracy polityczno-gospodarczej Rosji i Niemiec; jeśli Chiny, inne państwa BRICS czy różne kraje arabskie z Arabią Saudyjską na czele traktują tę wojnę jako okazję do przełamania światowej amerykańskiej hegemonii i ochoczo utrzymują z Rosją bliskie stosunki o wymiarze wręcz strategicznym – to otrzymujemy pewne wytłumaczenie „skali, skali, skali, skali” tej konfrontacji tuż za naszą granicą oraz potwierdzenie, że jest to, oprócz aspektu lokalnego, również wojna zastępcza mocarstw, której stawką nie są wyłącznie integralność czy suwerenność Ukrainy.

Nie jest to jedyny istotny wątek, ale już sam specyficzny charakter tego konfliktu pokazuje, jak złożona będzie odpowiedź na pytanie: Czy jest to nasza wojna? Nie, nie jest to nasza wojna, bo nie jesteśmy i nie powinniśmy być stroną wojującą w tym konflikcie, trzeba wciąż to podkreślać wbrew retoryce, która podpalałaby Polaków do przystąpienia do wojny.

Od strony materialnej mamy w tej wojnie jednak współudział, skoro Polska jasno opowiedziała się po stronie Ukrainy i wielce przyczynia się do podtrzymania jej zdolności obronnych. Jest to także nasza wojna jako członka NATO, skoro ma ona znamiona wojny zastępczej między Rosją a USA – jak wspominał były sekretarz obrony USA Mark Esper w rozmowie z rosyjskimi komikami udającymi byłego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenkę (w zasadzie agentami, tymi samymi, którzy dodzwonili się do prezydenta Andrzeja Dudy, podając się za prezydenta Francji), Ukraińcy „odwalają brudną robotę”, której Amerykanie uczynić bezpośrednio by nie mogli. Tymczasem naszym interesem państwowym jest istnienie suwerennej Ukrainy jako państwa buforowego między Polską a Rosją i w tym sensie, jako państwo sąsiednie, mamy w tej wojnie nasz zasadniczy interes, ale radykalne rozumienie tego interesu jako obrony integralnego terytorium Ukrainy za wszelką cenę czy dziejowej szansy rozbicia Rosji na kawałki (coś, czego nie chcą same USA z powodu chaosu, jaki mogłoby to wywołać w Eurazji) jest już nadinterpretacją tegoż interesu, mogącą się okazać szkodliwą i niebezpieczną.

W ramach przykładu najczarniejszym scenariuszem dla nas w tej wojnie nie byłby sam rozejm rosyjsko-ukraiński sankcjonujący obecne status quo, czyli zawłaszczenie ziem wschodnich obecnie okupowanych przez rosyjskie wojska i administrację. Najczarniejszym scenariuszem dla Polski byłoby przelicytowanie stawki w tej wojnie na wyniszczenie, która z racji wyczerpania zakończyłaby się rozbićciem obecnego ukraińskiego państwa i utworzeniem w jego miejsce skrajnie prorosyjskie protektoratu, który nie miałby wiele wspólnego z dość neutralną wobec Zachodu Ukrainą Wiktora

Janukowycza. W takim wariacie klęski sprawna narracja i propaganda łatwo przedstawiłyby ukraińskie straty, a mowa obecnie już o ponad 200 tys. zabitych, jako niepotrzebne i cyniczne ofiary zachodniego imperializmu, siejąc antyzachodni i antypolski resentyment w podbitej Ukrainie. W końcu od początku wojny przekaz dnia brzmiał, że Ukraińcy umierają za wolność Zachodu i w obronie NATO...

Niezależnie od tego, na ile ten czarny scenariusz byłby prawdopodobny, jest on na szczęście na razie czysto teoretyczny, skoro obecne postępy sił zbrojnych w Rosji w Donbasie są mozolne i kosztowne. Martwi mnie jednak pewność pokerzysty, z jaką Zachód, w tym nasze władze, podchodzi do rozkręconej totalnej wojny na wyniszczenie, tak jakby nie było to stawianiem wszystkiego na jedną kartę (podobnie jak Amerykanie rachowali entuzjastycznie na początku wojny wietnamskiej).

Owszem, „realiści” wieszczący od początku rychły upadek Ukrainy okazali się złymi augurami, co nie znaczy, że stan kraju nie jest opłakany, a bagatelizujący z kolei rosyjskie zagrożenia mieli rację. Dla przypomnienia – Józef Orzeł apelował rok temu, by nie bać się kilku rakiet, które w ogóle – głosili eksperci, a za nimi media – miały lada chwilę wyczerpać się w rosyjskim arsenale. Dziś roje dronów i rakiet systematycznie niszczą możliwości ukraińskiej infrastruktury energetycznej w ramach konfliktu, którego „skala okazała się bez proporcji wobec naszego dotychczasowego sposobu myślenia”, by sparafrazować wysokiej rangi amerykańskiego dowódcę w Europie.

Pytanie, ile jeszcze rzeczy może okazać się bez proporcji wobec naszego dotychczasowego sposobu myślenia, w chwili, kiedy Rosja rozkręca na dobre swe możliwości wojenne, nie jest ani tchórzostwem, ani brakiem lojalności wobec własnego kraju. „Nauczyłem się cenić czasami [...] kapitulantów, o ile działają w interesach własnego narodu, o ile nie są agentami obcych” – pisał Cat-Mackiewicz w „Życiu daremnym”. Podobny tok myślenia nie może mieć w ogóle u nas prawa głosu, zwłaszcza w roku wyborczym, kiedy polityka zagraniczna ze zdwojoną mocą posługuje bieżącej polityce krajowej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Martwi mnie pewność pokerzysty, z jaką Zachód, w tym nasze władze, podchodzi do rozkręconej totalnej wojny na wyniszczenie, tak jakby nie było to stawianiem wszystkiego na jedną kartę

Wyłączanie wolności słowa



Tomasz Rowiński

W II Rzeczypospolitej, gdzie istniała cenzura, wydawcom wyjaśniano powód konfiskaty gazety. Tymczasem portal dwutygodnika „Najwyższy Czas!” po prostu odcięto od użytkowników sieci. I nawet nie wiadomo, która służba specjalna to zrobiła i z jakich powodów



Wnocy 9 lutego w Internecie przestał być dostępny portal dwutygodnika „Najwyższy Czas!”. Trudno to określić inaczej niż skandalem. Ponieważ strona jest wciąż dostępna dla użytkowników spoza Polski, wiele wskazuje na to – i tak sugeruje publicznie redaktor naczelny czasopisma i portalu Tomasz Sommer – że za blokadą stoją polskie służby specjalne.

Można mieć rozmaite opinie na temat treści, które pojawiały się w serwisie pisma założonego w 1990 r. przez Janusza

Korwin-Mikkego, ale nie ulega wątpliwości, że tytuły internetowe, podobnie jak prasowe, nie powinny tak po prostu zniknąć z woli władz, z pominięciem jakichkolwiek procedur. Przecież innym razem w taki sposób może zniknąć każdy tytuł prasowy.

NIKT NIC NIE WIE?

Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z ingerencją służb specjalnych, to trzeba zapytać, czy rynek prasy będzie teraz regulowany w taki właśnie sposób? Z rozmowy, którą przeprowadziłem

z redaktorem naczelnym „Najwyższego Czasu!”, wynikają pesymistyczne wnioski. Innym mediom, którym przydarzyła się podobna historia, nie udało się nawet uzyskać informacji, które agencje państwa i z jakiego powodu doprowadziły do blokady ich stron. Jeśli jakaś służba specjalna uważa, że określone medium działa na szkodę polskiego interesu, to informacja o tym powinna zostać udostępniona. W przeciwnym wypadku takie działania interwencyjne, mające charakter zbliżony do cenzury prewencyjnej, będą odbierane jako próby zastraszania dziennikarzy.



Tomasz Sommer, redaktor naczelny dwutygodnika „Najwyższy Czas!”
FOT. PIOTR RYBARCZYK / FORUM

nia połączeń telekomunikacyjnych lub przekazów informacji, na żądanie uprawnionych podmiotów, jeżeli połączenia te mogą zagrażać obronności, bezpieczeństwu państwa oraz bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu, albo do umożliwienia dokonania takiej blokady przez te podmioty”.

A jednak konstytucja w art. 54 jest w tej sprawie jednoznaczna: „Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Jeśli mamy do czynienia z ingerencją służb, to trzeba zapytać, czy rynek prasy będzie regulowany teraz w taki sposób

Naprawdę dobrze byłoby się dowiedzieć, w jaki to sposób Nczas.com zagrażał obronności, bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu w polskim państwie. Tego jednak, jak uczy doświadczenie ostatnich miesięcy, zapewne się nie dowiemy.

DEMOKRATYCZNY STANDARD

Jest oczywiste, że w sytuacji wojny, która toczy na terytorium naszego sąsiada, wojny, która na różne sposoby angażuje polskie państwo, nasze służby specjalne powinny zachowywać większą czujność w sferze informacyjnej. Jednak jeśli chodzi o „Najwyższy Czas!”, to mamy do czynienia z czasopiśmie i portalem, które działają na rynku debaty publicznej od dziesięcioleci. Z całą pewnością nie jest to tytuł anonimowy, za którym nie wiadomo, kto stoi. Jeśli dla przykładu ABW – bo tego przecież wciąż nie wiadomo – miała jakiegoś rodzaju zastrzeżenia do treści publikowanych na portalu dwutygodnika, to czy nie byłoby czymś zwyczajnym, by przedstawiciele Agencji weszli najpierw w „dialog” z redakcją? Tak wyobrażałbym sobie demokratyczny

standard. Nie chcę się odwoływać tu do „tradycji” Polski ludowej, ale w II Rzeczypospolitej, w której cenzura istniała i zdarzało się, że konfiskowano całe nakłady czasopism, wydawca wiedział, z jakiego powodu dostawał, mówiąc kolokwialnie, po rękach od państwa. Jednak w III RP instytucji cenzury przecież nie ma. Czy fakt ten ma zwiększać bezkarność państwa?

Tymczasem ABW, zapytana o to, czy stoi za blokadą portalu Nczas.com, ustami oficera prasowego poinformowała, że nie udziela informacji w sprawie prowadzonych działań. Całą sytuację można by uznać za śmieszna, a nawet idiotyczną, gdyby nie była ona tragiczna.

OBCHODZENIE CENZURY

W momencie pisania tego tekstu strona „Najwyższego Czasu!” wciąż pozostaje niedostępna, a redakcja w mediach społecznościowych instruuje, w jaki sposób można z serwisu w dalszym ciągu korzystać. Tak bowiem dokładnie wygląda sytuacja – portal działa, tzn. umieszcza w zwykłym trybie kolejne informacje i artykuły, ale żeby się do tych treści dostać, trzeba niejako „oszukiwać” Internet. To znaczy konieczna jest taka zmiana ustawień w wyszukiwarkach, aby serwery operatorów internetowych rozpoznały nasze działanie jako przychodzące spoza granic Polski. Jest to oczywiście możliwe, ale nie wydaje się, by w takim trybie mogło dalej normalnie funkcjonować jakiekolwiek medium. „Wiem, że po stronie naszego serwera nie ma żadnego problemu. Domena jest zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych i tu też nie ma problemu. Ze wszystkich krajów – prócz Polski – można wejść na naszą stronę. Dzięki temu ruch na niej nie ograniczył się do zera, był jednak o prawie 50 proc. mniejszy” – mówił Tomasz Sommer portalowi Wirtualnemedi.pl.

W niedzielę 13 lutego na profilu dwutygodnika „Najwyższy Czas!” w mediach społecznościowych pojawiła się informacja, że blokada „nie dotyczy wszystkich operatorów w Polsce, tylko tych wiodących, dlatego niektórzy czytelnicy widzą naszą stronę bez zmian DNS. Podobnie czytelnicy z zagranicy nie mają problemów, bo macki polskich »tajemnych sił« tam nie sięgają. Zebraliśmy już wszystkie niezbędne dane i idziemy rozliczyć winnych”.

„Nie mam pojęcia, co konkretnie spowodowało taką reakcję. Nasz portal zamieszcza dziennie do 100 najrozmaitszych informacji: od polityki po treści lifestyle’owe. Przypominam jednak, że w Polsce obowiązuje konstytucyjny zakaz cenzury. Może chodzi o art. 180 z prawa telekomunikacyjnego, który jest teraz dość intensywnie wykorzystywany przez ABW?” – mówił Tomasz Sommer w wywiadzie dla portalu Wirtualnemedi.pl. Jak brzmi zapis tego artykułu? „Przedsiębiorca telekomunikacyjny jest obowiązany do niezwłocznego blokowa-

Redaktor naczelny Nczas.com zapowiedział zmianę domeny, co wydaje się obecnie jedynym rozwiązaniem, które może zapewnić względną płynność funkcjonowania portalu. Gdy rozmawiałem z Tomaszem Sommerem w środę 15 lutego, ruch na portalu był tylko o 20 proc. mniejszy od tego, jaki notował on przed blokadą. Z jednej strony wskazuje to na rzeczywistą mobilizację czytelników, by mimo cenzury dotrzeć do treści zamieszczonych przez blokowane medium. Z drugiej strony trzeba zauważyć, że takie rozwiązanie ma oczywiste wady i nie może być rozwiązaniem trwałym. Polskojęzyczny portal, który faktycznie nie posiada swojej domeny w polskim Internecie, nie ma szans na pozyskiwanie nowych czytelników, na wiralowe zasięgi, które zwykle bardziej są związane z nośnym tematem konkretnego tekstu niż rozpoznawalnością samego medium. Po prostu teraz, po blokadzie, żaden przypadkowy czytelnik nie trafi już na portal „Najwyższego Czasu!”.

ŚLADAMI WREALU24

Gdy zapytałem Tomasza Sommera, czy widzi szansę na pozytywne zakończenie sprawy, nie krył pesymizmu, wskazując, że dotychczasowe, podobne przypadki blokad, które dotknęły choćby telewizję internetową wRealu24, wciąż są „w postępowaniu” i nie zanoś się, by w jakiś sposób zostały zakończone. Jak może wyglądać ciąg dalszy sprawy „Najwyższego Czasu!”, dobrze oddają słowa Marcina Roli, założyciela wRealu24, z wywiadu, którego udzielił portalowi Wirtualnemedi.pl. „To absurdalne, że przez dwa miesiące nie otrzymaliśmy żadnego pisma w tej sprawie. Takich rzeczy nie robi się w państwie demokratycznym, gdzie obowiązuje prawo. Posłowie Konfederacji złożyli w Sejmie interpelację, w której domagają się informacji, kto nakazał blokadę naszych serwisów. Szef służb ma 14 dni na odpowiedź. Czekaemy” – mówił w maju 2022 r. Rola.

Czy można się oburzać na cenzorskie zabiegi gigantów zarządzających mediami społecznościowymi, a jednocześnie tolerować analogiczne działania agencji polskiego państwa? Sądząc po braku reakcji większości mediów na sytuację Nczas.com, jak najbardziej.

W jednym ze swoich wpisów w tychże mediach społecznościowych Tomasz Sommer zwrócił się z pytaniem do najwyższych władz Rzeczypospolitej, czy autoryzowały decyzję, która uderzyła w jego portal. „Zwracam się do prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego z oficjalnym pytaniem, czy zatwierdzili to skandaliczne łamanie konstytucji” – napisał. W podobnym duchu przebiegała w środę 15 lutego konferencja prasowa w Sejmie, zorganizowana przez posłów Konfederacji, w której uczestniczył Sommer. Jej tematem była wolność słowa, a bezpośrednią przyczyną blokada portalu Nczas.com. Redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!” przypominał raz jeszcze gwarancje konstytucyjne dla wolności słowa, a także dodał, że działania polskich służb wymierzone w jego portal są również przykładem ataku na wolność gospodarczą. – Pierwszego dnia straciliśmy 60 proc. ruchu – wyliczał. I wyjaśniał: – Innymi słowy, tracimy bardzo dużo pieniędzy z tego powodu, że nie dostajemy reklamy, która byłaby nam dana, gdyby dostęp był normalny.

W tej sprawie chodzi o to, jak w państwie demokratycznym powinny wyglądać relacje pomiędzy władzą a mediami

Tomasz Sommer przyznał w rozmowie z „Do Rzeczy”, że we współpracy z posłami Konfederacji przygotowuje interpelację sejmową.

Do czasu oddania tego numeru tygodnika do druku operatorzy internetowi w większości wciąż nie odpowiedzieli na postawione im pytanie o przyczyny blokowania strony Nczas.com. Według Sommera operatorzy dają sobie siedem dni na udzielanie informacji. W prostszych sprawach dzieje się to jednak nawet w ciągu 24 godzin. Wszystko wskazuje zatem, że ta prosta nie jest i nie może być tak szybko rozwiązana. Może po prostu operatorzy właśnie uzgadniają, w jaki sposób powinni się wytłumaczyć z podjętych pod presją służb działań?

W środę 15 lutego Sommer opublikował odpowiedź T-Mobile, której biuro prasowe poinformowało jedynie, że nie dokonuje blokad w dostępie do sieci telekomunikacyjnej bez przyczyny.

WŁADZA MILCZY

Jak zauważył w rozmowie ze mną redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!”, mimo że w ostrych słowach zwrócił się w ostatnich dniach z prośbą o wyjaśnienie sprawy do prezydenta i premiera, nie otrzymał żadnej informacji z obu ośrodków władzy. Nikt nie napisał ani nie zadzwonił z jednej czy drugiej kancelarii, by zdementować zaangażowanie polskiego państwa w blokadę portalu Nczas.com. Można to uznać za kolejną poszlakę, że rzeczywiście doszło do działania wymierzonego w pracę dziennikarzy.

Oprócz interpelacji sejmowej Sommer planuje przygotowanie pozwów cywilnych przeciwko premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, a także szefowi Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jednak i ta sprawa jest zależna od informacji, które na temat blokady uda się uzyskać od operatorów sieci internetowej.

Redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!” ma nadzieję, że sytuację tytułu, którym od lat kieruje, uda się nagłośnić. Ma też nadzieję, że problem wolności słowa w Polsce znów wróci do debaty publicznej. W Polsce istnieje bowiem wiele organizacji, które zajmują się problematyką wolności słowa, jednak żadna z nich – od dnia ogłoszenia przez redakcję Nczas.com założenia blokady na ich domenę – nie zaoferowała jakiegokolwiek wsparcia. Do tej pory sprawą blokady zainteresowały się tylko branżowy portal Wirtualnemedi.pl, część posłów Konfederacji i redakcja „Do Rzeczy”.

Tymczasem ocena sytuacji, której ofiarą stał się zespół „Najwyższego Czasu!”, nie jest kwestią poglądów – tego, czy zgadzamy się z linią tego czasopisma czy też nie. Chodzi o rzecz bardziej podstawową, czyli o to, jak w państwie demokratycznym powinny wyglądać relacje pomiędzy władzą a mediami. Państwo ma możliwości, a w pewnych okolicznościach nawet prawo do ingerencji – także nadzwyczajnych – w porządek rynku mediów. Ale czy może to robić skrycie, całkowicie niejawnie, z pominięciem elementarnego szacunku dla obywatela?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Groteskowa Platforma



Jan Fiedorczuk

W społecznym odbiorze Platforma Obywatelska stała się ugrupowaniem niepoważnym, pełnym groteskowych postaci niezdolnych do sprawowania władzy. Upadek kariery Radosława Sikorskiego jest wymownym symptomem szerszego procesu, który trawi największą partię opozycyjną

Wystarczył krótki występ Radosława Sikorskiego w Radiu Zet, aby polska polityka znowu zaczęła się kręcić wokół jego osoby. Po tym, jak europoseł został zapytany, czy „naprawdę wierzy, że rząd PiS przez moment myślał o rozbiore Ukrainy”, odparł: „Myślę, że miał moment zawahania w pierwszych 10 dniach wojny, wtedy gdy wszyscy nie wiedzieliśmy, jak ona pójdzie, że może Ukraina upadnie”.

Wypowiedź Sikorskiego została nie tylko skrytykowana przez polityków Zjednoczonej Prawicy, lecz także opozycji. Jak nieoficjalnie informowały media, europoseł miał odbyć nieszczerze przyjemną rozmowę z Donaldem Tuskiem, który ponoć dał mu do zrozumienia, że od dłuższego czasu jest obciążeniem dla partii.

W CIENIU SIKORSKIEGO

Znamienny był też popłoch w szeregach PO związany z całą sytuacją. Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej” przekonywał wręcz, że przy okazji kuriozalnej wypowiedzi Platforma popełniła „medialne samobójstwo”. Wrońskiego jednak zastanowiło nie tyle meritum wystąpienia europośla, ile właśnie całkowity rozgardiasz na zapleczu PO. „Całe to zdarzenie ujawniło jednak prosty fakt, że największa partia opozycyjna nie ma ujednoliconego przekazu medialnego, a jej członkowie – i to na najwyższych szczeblach – nie wiedzą, jakie jest stanowisko kierownictwa partii w najważniejszych sprawach” – pisał Wroński.



FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

Na domiar złego nie była to pierwsza tego typu wypowiedź Sikorskiego. Kolejne wpadki i ekscesy związane z osobą kontrowersyjnego europośła stały się już niemal tradycją. Po feralnym występie w Radiu Zet media natychmiast przypominały wydarzenia z września ubiegłego roku, gdy po eksplozjach gazociągów Nord Stream 1 i 2 Sikorski napisał „Thank you, USA”, co zostało wykorzystane przez rosyjską propagandę, gdy podczas Rady Bezpieczeństwa ONZ przedstawiciel Rosji Wasilij Nebenzia publicznie dziękował europosłowi PO za to, że „wydał” Amerykanów.

Kremłowska propaganda wykorzystwała również słowa Sikorskiego o „wahaniu” PiS w sprawie ewentualnego rozbioru Ukrainy – absurdałne tezy nie tylko były powielane przez rosyjskie media, lecz także rzecznik MSZ Maria Zacharowa wydała oficjalny komunikat, w którym uznała słowa Sikorskiego za potwierdzenie dla spiskowych teorii rozsiewanych przez Kreml przez cały poprzedni rok. A przecież zaledwie kilka dni po tym wydarzeniu były szef polskiej dyplomacji ponownie był cytowany przez rosyjskie media – tym razem za wywiad, którego udzielił „Krytyce Politycznej”, opowiadając o korupcji na Ukrainie.

Jeżeli nie można tego powstrzymać w jakiś sposób na etapie, kiedy pan Sikorski jest w opozycji, to naprawdę zastanawiam się, co by się działo, gdyby był ministrem – oceniła Anna Maria Żukowska z Lewicy.

Jeszcze mocniej wypowiadał się jej kolega Adrian Zandberg, który po tym, jak wybuchła afera z finansowaniem Sikorskiego przez Zjednoczone Emiraty Arabskie, zapewnił, że w przyszłym rządzie nie będzie miejsca dla tego pokroju polityka.

Dopóki słowa Sikorskiego są wyłącznie jego prywatnymi opiniami, dopóty całość ma wymiar cokolwiek komiczny. Gdy jednak uświadomimy sobie, że mamy do czynienia z potencjalnym szefem polskiej dyplomacji w rządzie PO, to niepokój polityków Lewicy – prawdopodobnego koalicjanta Platformy – zaczyna być zrozumiały.

A przecież Sikorski nie był jedyną osobą, która podchwyciła absurdałny przekaz o rzekomych planach dotyczących rozbioru Ukrainy. Były minister

Sikorski jest jedynie egzemplifikacją pewnej szerszej tendencji, która dławi potencjał PO. Sprawa nie dotyczy kompromitacji tego czy innego polityka, tylko ogólnego obrazu Platformy, jako partii niepoważnej

finansów w rządzie PO-PSL Jan Vincent-Rostowski przekonywał, że Sikorski ma rację, a rząd PiS miał przygotowany plan akceptacji podboju Ukrainy przez Rosję.

Sama „koncepcja rozbiorowa” zresztą od dość dawna krążyła na obrzeżach Platformy Obywatelskiej. W ostatnich miesiącach o tym, jakoby PiS miał dokonać rozbiórów Ukrainy, wspominali m.in. Tomasz Lis, Roman Giertych czy Jan Piński. Jest to znamienne, że teoria spiskowa, którą do tej pory kolportowali raczej opozycyjni radykałowie, zaczęła przenikać do partyjnego mainstreamu.

RADYKAŁOWIE NA FALI

Sikorski jest jedynie egzemplifikacją pewnej szerszej tendencji, która dławi potencjał PO. Sprawa nie dotyczy kompromitacji tego czy innego polityka, tylko ogólnego obrazu Platformy, jako partii niepoważnej; obrazu, który przez ostatnie lata umacniali zarówno jej politycy, jak i sprzyjający im dziennikarze.

„Ostatnią fazą danej formacji dziejowej jest jej komedia”, pisał Karol Marks – a zatem, chyba, autorytet obecnej ekipy Tuska – i zdaje się, że Platforma wkroczyła na tę właśnie ścieżkę; partia stała się ugrupowaniem niepoważnym, pełnym groteskowych postaci.

Zobrazowaniem tego procesu popadania w groteskę może być choćby osoba Marty Lempart – proaborcyjnej, wulgarnej celebrytki, do której swego czasu pielgrzymowali czołowi działacze PO (sam Tusk chwalił się wspólnymi zdjęciami). Po 2015 r. partia stała się zakładnikiem zarówno radykałów, „zewnątrznych” (Lempart, Kijowski, Kasprzak), jak i „wewnętrznych”, których nieopatrznie wpuściła w swe szeregi (Jachira, Nitras, Ochojska).

Już przy rosnących napięciach na granicy polsko-białoruskiej w 2021 r. było widać, że Donald Tusk nie panuje nad swoimi podwładnymi, pozwalając im nie tylko ośmieszać partię, lecz także po prostu grać na melodii nadawanej przez duet Łukaszenka-Putin. Symbolem

tamtych dni pozostanie już poseł Franciszek Sterczewski, który wykonał słynny rajd pomiędzy wojskowymi pilnującymi granicy, aby tylko dotrzeć do imigrantów sprowadzonych przez Łukaszenkę w celu destabilizacji sytuacji w Polsce.

Jeszcze dalej poszła Janina Ochojska, która obecnie buduje swoją pozycję polityczną głównie na obrażaniu funkcjonariuszy Straży Granicznej oraz atakowaniu własnego państwa. Głośnym echem odbiły się choćby jej słowa porównujące polskie służby graniczne do nazistów, a pewnym apogium tej narastającej paranoi była wypowiedź sprzed kilku tygodni, gdy Ochojska zaczęła oskarżać rząd o współudział w ludobójstwie.

Sam koncept, że PiS jest odpowiedzialny za masowe mordy, też nie jest nowy. Wszak w poprzednich latach opozycja starała się obarczyć rządzących winą za ofiary koronawirusa. – Gdzie jest odpowiedzialność za ponad 100 tys. zgonów w naszym kraju? Kto odpowie za to, co się stało? – dopytywał Cezary Tomczyk z KO w maju 2021 r. Z kolei Radosław Sikorski, od którego zaczęliśmy nasze wywody, rozważał całkiem poważnie, jak daleko sięgają mordercze zamiary rządzących. – Wiemy już, że dla utrzymania władzy i własnej bezkarności ludzie PiS gotowi są kłamać, prokurować dowody [...], nielegalnie podsłuchiwać. Pytanie, czy gotowi są zabijać? Pytam śmiertelnie poważnie – zastanawiał się europoseł.

Podobnych cytatów świadczących o postępującym „odklejeniu się” PO jest bez liku. Zwłaszcza gdy zejdziemy do platformerskich naganiaczy pokroju Tomasza Lisa czy Romana Giertycha, którzy formalnie nie należą do partii, jednak w oczach opinii publicznej złączyli się z nią całkowicie, a w związku z tym każde wypowiedziane przez nich słowo idzie na konto Tuska.

Sam Tusk z kolei dał się stłamsić radykałom, co zaczęło prowadzić do coraz bardziej groteskowych wystąpień. W ostatnich miesiącach lider PO mówił

o groźbie fałszerstw wyborczych, oskarżał rządzących o totalitarne skłonności, zarzucał im odpowiedzialność za zgony związane z pandemią czy nawet straszyl prezydenta Dudę śmiercią (słynna recytacja wiersza Miłosza). Donald Tusk A.D. 2023 po prostu już w niczym nie przypomina tego przebiegłego, może i cynicznego, ale jednak sprawnego polityka sprzed 10 lat. Swoim powrotem co prawda ocalił Platformę Obywatelską, która po tandemie Budki i Kidawy-Błońskiej ledwo dyszała, jednak na tym się kończą jego sukcesy. Z perspektywy czasu wydaje się, że nawet przywództwo Grzegorza Schetyny, który w mediach liberalnych miał raczej średnie notowania, było bardziej owocne dla PO; wszak to Schetynie udało się skonsolidować partię, zwasalizować Nowoczesną, a w końcu zjednoczyć opozycję pod swoim przywództwem przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, jednocześnie chroniąc ugrupowanie przed skreśleniem w ideologiczną ekstremę.

Tusk działa odwrotnie – zraził do siebie pomniejsze partie i poniósł porażkę w sprawie wspólnej listy wyborczej. Obecnie Platforma posiada cały wór pomysłów, jak rozliczyć PiS, ale nie ma ani jednego postulatu, co zrobić z państwem po przejęciu władzy. W tym świetle komичne słowa wiceprzewodniczącej PO Izabeli Leszczyny, że program wyborczy zostanie pokazany Polakom dopiero po przejęciu władzy przez Platformę, na swój sposób zaczynają brzmieć logicznie.

Obecna PO nie przypomina w niczym PiS z 2015 r., gdy ten nieubłagany parł do władzy. Jeśli już, to bliżej jej do partii Kaczyńskiego z roku 2011, gdy to przekaz ugrupowania całkowicie rozjeżdżał się z oczekiwaniami społeczeństwa. Polacy chcieli wówczas się dorabiać i żyć spokojnie, a PiS mówił o Smoleńsku i Rosji; tak samo dzisiaj, gdy wyborcy zmagają się z największym kryzysem gospodarczym od lat, Platforma opowiada im o tym, jak będzie rozliczać Kaczyńskiego i Ziobrę.

ZWYCIĘSTWO NA WYCIĄgniĘcie RĘKI

Teoretycznie Platforma powinna mieć zwycięstwo wyborcze na wyciągnięcie ręki. Ostatnie lata w polskiej polityce zostały zdominowane przez pandemię

koronawirusa, zmianę prawa aborcyjne, a następnie wojnę rosyjsko-ukraińską oraz kryzys gospodarczy – wszystkie te tematy były dość kosztowne wizerunkowo dla rządzących. Do tego można wyliczyć wiele potknięć i kryzysów wizerunkowych, które PiS sprowadził sobie na własne życzenie, jak choćby miało to miejsce przy słynnej „piątce dla zwierząt” czy nawracającej regularnie sprawie „tłustych kotów” w spółkach Skarbu Państwa.

Prawdę mówiąc, gdy zsumujemy powyższe trudności, a do tego dołożymy takie aspekty jak porażka polityki zagranicznej na niemal każdym froncie, wiele nieudanych inwestycji (na czele z bodaj największym niewypałem dekady w postaci Polskiego Ładu), rosnące obciążenia finansowe czy nawet do pewnego stopnia naturalne i zrozumiałe „zmęczenie władzą”, które społeczeństwo może odczuwać po ośmiu latach, to dziwić musi, że PiS ma nadal realne szanse na trzecią kadencję u władzy. Fakt, że największa partia opozycyjna nie potrafi zdyskontować tak korzystnej koniunktury politycznej, jest niezrozumiałą.

Teza, że PiS jest silny słabością opozycji, była wielokrotnie przytaczana przez publicystów, jednak mimo upływających lat politycy Platformy dalej są odporni na tę wiedzę

Tutaj wracamy do tezy Wrońskie-go, który przy okazji afery Sikorskiego stwierdził, że Platforma Obywatelska nie miała żadnego ustalonego przekazu, przez co powstał chaos. Tę celną uwagę można rozbudować – PO nie ma szerszej strategii w ogóle.

Teza, że PiS jest silny słabością opozycji, była wielokrotnie przytaczana przez publicystów, jednak mimo upływających lat politycy Platformy dalej są odporni na tę wiedzę. Opisywany problem jest znacznie szerszy i nie sprowadza się do wpadek i potknięć PO (wszak która partia ich nie ma?). Wydaje się, że po 2015 r. upadł wizerunek Platformy jako partii zdolnej do sprawowania władzy. Dlatego też PO od lat nie jest zdolna poszerzyć bazy wyborców. Patrząc na obecną „zja-

chiryzowaną” Platformę, faktycznie ciężko wyobrazić sobie, jak to ugrupowanie miałoby sprawować władzę. Jak wyglądałyby przyszłe rządy? Radosław Sikorski jako szef dyplomacji, Sławomir Nitras jako nowy minister spraw wewnętrznych, Bartosz Arłukowicz jako minister zdrowia, Roman Giertych jako prokurator generalny, a Tomasz Lis jako nowy szef TVP? Sam fakt, że Polacy mogą chcieć odsunąć PiS od władzy, nie oznacza, że marzą o powrocie do roku 2011. Znowu mówiąc Marksem – historia powtarza się jako farsa i jeżeli jedyną strategią PO jest reaktywacja swych dawnych rządów, to właśnie popada w farsę i groteskę.

Platforma Obywatelska jest partią o olbrzymim potencjale i biorąc pod uwagę obecną sytuację polityczno-gospodarczą, powinna w sondażach przeganiać PiS o dobre 10–15 pkt. proc. Tak się jednak nie dzieje, gdyż przeciętny wyborca widząc wszystkie niedomagania partii Kaczyńskiego, nadal traktuje ją jako siłę poważną i sprawczą – zdolną do sprawowania władzy. Platforma tymczasem przez ostatnie lata wytrwale pracowała na gębę partii groteskowej.

Sytuacja jest o tyle niesprzyjająca dla Tuska, że polityk może budzić różne negatywne emocje – strach, nienawiść – nie może być jednak obiektem żartów. To, co śmieszne, przestaje być groźne. Wszak już Platon chciał się pozbyć z państwa szyderczych twórców komedii, widząc w nich czynnik destrukcyjny dla wspólnoty, a z kolei Cyceeron przekonywał, że kara śmierci dla poetów obrażających i wyśmiewających państwowych bohaterów nie jest zbyt surowym wyrokiem. Nic tak nie niszczy autorytetu jak kpina. Polityk groteskowy, choćby miał i najbardziej sprzyjającą koniunkturę, w oczach „zwykłego Kowalskiego” pozostanie wyłącznie obiektem żartów.

Czy należy się cieszyć, że Polska wreszcie dotrzymuje kroku wyzwaniom współczesności na generalnie dość konserwatywnym polu językowym? Ów konserwatywny charakter należałoby właściwie ująć w cudzysłów, bo nasz język, w przeciwieństwie do wielu innych, chłonie, niestety, jak gąbka zapożyczenia z angielskiego. Z drugiej strony, jak dotąd mocno trzymają się elementarne formy, takie jak rodzaj męski i żeński, i nie wydaje się, by coś im mogło zagrażać. Autorzy strony internetowej zaimki.pl dokładają wprawdzie starań, by przekonywać ludzi, jak ważne są zaimki trans, ale jest to jednak nisza i margines.

Co innego „Gazeta Wyborcza”. A to na jej łamach, w dodatku kulturalnym „Co jest grane”, jakiś czas temu zaprezentował się poeta i performer Kae Tempest, osoba raperska i niebinarna. Tak go czy też może ją – do niedawna była to Kate Tempest – przedstawiono. Gdybyśmy mieli skrupulatnie trzymać się zaleceń języka genderowego, należałoby napisać, że się „zaprezentował”. Litera „u” ma bowiem zastępować „e” w końcówce męskiej czasu przeszłego i „a” w żeńskiej. Takie też formy, konsekwentnie, pojawiają się we wspomnianym tekście: „kochałum”, „znikałum”, „dostałum się”. Plus „jenu (jego/jej) ciekawości świata” – nowy genderowy zaimek.

ŚWIAT POSTRZEGANY PO NOWEMU

Litera „u” zatem pozwala zainteresowanym obejść pułapki związane z gramatycznym podziałem na rodzaj męski i żeński. Umieszczona na końcu rzeczowników czy przymiotników sygnalizuje natomiast, że osoba, o której mowa, nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Albo też: jest i mężczyzną, i kobietą. Albo: czasem bywa mężczyzną, a czasem kobietą.

Osoby uczniowskie, czyli genderowa nowomowa



Teresa Stylińska

No i stało się: na łamach ogólnopolskiej gazety zagościła nowomowa w wydaniu trans. Kto mógłby przypuścić, że stanie się to tak szybko?

Miejsce „u” w genderowym języku nie jest jednak stuprocentowo pewne, bo na tym polu pomysłów jest w bród. Alternatywna propozycja zaleca posługiwanie się literą „o” w czasownikach czy umieszczanie „x” na końcu rzeczowników czy

nazwisk. Inna – to pomysł, by nieszczęsne samogłoski „a” i „e” zastąpić apostrofem. W piśmie sprawa jest prosta, gorzej z mową. Byłm, uczylm albo, co gorsza, jadłm? A co z szedłm i szłam? Skoro sama forma zdradza gender mówiącego, to „u” czy apostrofy wiele nie zdziałają.

Środowiska genderowe jakoś sobie pewnie poradzą, trudności techniczne zostaną opanowane i na środowisk tych użytek wewnętrzny może to wszystko jakoś funkcjonować. Świat również z całą pewnością zdołałby opanować niuanse rodzącej się genderowej nowomowy. Tylko po co?

Żarty jednak na bok – choć wydawałoby się, nie bezzasadnie przecież, że brednie językowe zasługują wyłącznie na wyśmianie. Są one jednak tyleż śmieszne, co groźne. Nie umiem wyobrazić sobie, by opisane genderowe formy mogły wejść do języka powszechnego, ale doskonale wyobrażam sobie, jak usilnie będą je lansować zainteresowani, podpierając się ideologicznie na sposób stary i nowy. Stary – bo sięgając po argument równości i praw człowieka. Nowy – bo odwołując się do inkluzywności i konieczności walki z dyskryminacją.



FOT. ANDRZEJ STOK



Awangarda postępu zawsze ma na podorzędziu taki arsenał – pozornie argumentów, a faktycznie duchowego szantażu. Skoro język określa granice naszego świata, to próba ich przesunięcia ma dla inicjatorów zmian fundamentalny sens. Gdy ludzie nauczą się, jak mówić, pojmą zarazem, jak powinni myśleć. Czy nie obserwujemy tego już teraz? Głoszenie nowego języka to gra warta świeczki.

RÓWNOŚĆ JEST WAŻNA...

Orędownicy języka genderowego nie dostrzegają niekonsekwencji swych zaleceń. Z jednej bowiem strony do językowych spraw pierwszej wagi zaliczają eksponowanie równości kobiet. Z drugiej – zacierają różnice między kobietami i mężczyznami w imię nowego bożka, jakim jest uznanie wszelkich odmian płci oraz prawa do jej wyboru. Co zakrawa na plan, nie tak całkiem tajemny, by kształtować nowego człowieka, który na polu genderowym porusza się swobodnie, między płcią, jaką przypisano mu w chwili narodzin („assigned at birth”, według zgrabnej angielskiej formułki), a tą, która mu odpowiada, na zawsze lub może tylko w danym momencie.

Nowe okoliczności rodzą nowe słowa. Język genderowy zrodził określenie „cis”. To kobiety i mężczyźni, którzy nie kwestionują płci, jaką im przypisano. Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na smaczki językowe, bo „cis” – vide Cisjordania czy Galia Cisalpejska – oznacza coś, co jest „przed”.

Weźmy jednak żeńskie nazwy zawodów czy zajęć. Istniały zawsze, na zasadzie zwyczajowej, ukształtowane przez wieki: nauczycielki, lekarci, handlarki, kucharki, a także królowe, posłanki czy mistrzynie. Teraz jednak tzw. feminitywy zyskały nachalną podbudowę ideową. Posługiwanie się formą męską – pani dyrektor, pani sędzia, pani mecenas – ma być równoznaczne z brakiem równości czy zgola dyskryminowaniem kobiet. Jeżeli nawet istnieją zawody określane formą żeńską – przedszkolanka czy pielęgniarka – to tylko dlatego, iż są to prace uważane za podrzędne.

Gdy Bóg chce kogoś ukarać, odbiera mu dystans i poczucie humoru. Gdyby było inaczej, zwolennicy postępu zdołaliby może pojąć, jak wiele określić, które proponują, jest na bakier z wyczuciem językowym i ze zwykłym zdrowym rozsądkiem. Są Kościoły, w których kobiety dopuszczono

do kapłaństwa, a nawet godności biskupiej. Czy jednak słowo „biskupka” nie brzmi komicznie? Może lepiej byłoby spuścić z ideowego tonu i przystać na to, by mszę odprawiała pani biskup? Aby kobieta nie była architektką czy psychiatrką, na której można połamać sobie zęby, ani straszną – językowo – sekretarzynią, istotą odmienną od pospolitej sekretarki, i by w studiu radiowym była „gościem”, a nie – brr! – „gościnią”.

... LECZ INKLUZYWNOŚĆ WAŻNIEJSZA

O co chodzi? Ano o to, by każdy czuł się doceniony, by nikogo nie lekceważyć ani, co nie daj Boże, nie dotknąć nieumyślną obrazą, jak się obecnie mawia. A dotknąć bardzo łatwo, bo wystarczy, że zwrócimy się słowem „pani” – lub „pan” – do kogoś, kto wprawdzie na panią lub pana wygląda, ale wcale się nią/nim nie czuje. Skoro nie sposób wiedzieć, kto kim się czuje bądź jest, należy wypowiadać się tak, by jednym zwrotem objąć wszystkich, w sposób zwany gender neutral, czyli neutralny co do płci. Choć trafniej byłoby powiedzieć, że jest to sposób nijaki.

Oto „panie i panowie”. Jeżeli sądzimy, że ten tradycyjny, elegancki zwrot niezmiennie ma rację bytu, jesteśmy w wielkim błędzie. Na szczęście świadomość, że tak nie wolno, tu i ówdzie daje o sobie znać. Air Canada jako pierwsze, a później także inne linie lotnicze woła witać „wszystkich na pokładzie” niż nieopatrzonym słowem kogoś dotknąć. W Kanadzie, bardzo zaawansowanej w dziele postępu, genderowo poprawiono nawet hymn narodowy, zastępując słowo „synowie” słowami „my wszyscy”, podobnie w Austrii, tyle że tam wybrano formę „synowie i córki”.

W idei inkluzywności mieszczą się także „osoby”. Gdyby nie nieoceniona „Wyborcza”, nie wiedziałabym, i pewnie nie tylko ja, że w szkole może nie być uczniów i nauczycieli. Są „osoby uczniowskie” i „osoby nauczycielskie”. Istnieje oczywiście ważny wariant poprawności, który każe mówić „uczniowie i uczennice”, „nauczyciele i nauczycielki”, mimo wszystko różnicuje on jednak ludzi ze względu na płeć, a to nie jest pożądane. „Osoby” są bardziej na miejscu.

Tu dygresja: ostatnio różne osoby (sic!) publiczne z upodobaniem zwracają się do „Polek i Polaków”. Czy nie powinny może

przestawić się na „osoby polskie”? Byłby to piękny gest na rzecz inkluzywności w wymiarze narodowym. Dla „osób europejskich” też znalazłoby się miejsce.

GWAŁT NA JĘZYKU

Powiedzmy jednak otwarcie, że określenie „osoby”, nawet jeśli brzmi sztucznie, i tak jest lepsze od pomysłów, które serwują współobywatelom radykalne siły postępu w nieodległym świecie. Aby obejść to, że, jak chyba wszędzie, zbiorowa forma męska odnosi się do obu płci – gdy mówimy „Francuzi”, mamy na myśli Francuzów i Francuzki – wymyślono, że gdy zbiorowość ma charakter mieszany, trzeba to jakoś zaznaczyć. We francuskim do tego celu służą wstawiane w wyraz dwie kropki, jak w „ami.e.s” (przyjaciele). W niemieckim w środku wyrazu umieszcza się gwiazdkę lub wielką literę „I”, jak w słowie Schü*ler lub Schüller (uczniowie). Na różne sposoby, np. literą „x” na końcu wyrazu i nowymi zaimkami, podkreśla się niebinarność. A że niełatwo się w tym rozeznąć, powstają poradniki inkluzywnego pisania, a zatem i myślenia.

Mimo intensywnego promowania, włącznie z międzynarodowymi konferencjami na temat języka gender, skutki są mizerne. Język inkluzywny w dokumentach wprowadziły wprawdzie władze Hanoweru, ale to chyba – na szczęście – jedyny sukces. Gdzie indziej sukcesów nie ma. Wprost przeciwnie.

Parę lat temu rząd francuski kategorycznie zakazał stosowania języka neutralnego w dokumentach oficjalnych. Najszacowniejsza z instytucji, którą jest Akademia Francuska, uważa język neutralny za „grzech śmiertelny wobec języka francuskiego”, skarbu narodowego Francuzów. Presja sił postępu nie robi też wrażenia na Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, na Radzie Języka Niemieckiego i na włoskiej Akademii della Crusca. W sprawach języka w swych krajach to one mają ostatnie słowo, a zgodnie oceniają, że język genderowy to gwałt na języku.

Czy my możemy liczyć na Radę Języka Polskiego? Dobre pytanie, a Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego, 21 lutego, to dobry moment, by je zadać. Tylko o odpowiedź może nie być łatwo. Opinia o słowie „Murzyn”, uznanym za obraźliwe, nie napawa nadzieją, że Rada zechce wziąć polski w obronę.

Sprzedawcy marzeń



Zuzanna Dąbrowska

„Rytuał płacenia”, „przesuwanie limitów w głowie” i „bycie w movemencie” – to tylko niektóre ze sloganów, które wciskają łaknącym duchowości millennialsom sprzedawcy coachingowego kitu. Zarabiają na tym ogromne pieniądze

Bilety na Life Balance Congress 2023 rozpoczynają się od 404 zł. To jednak pakiet najtańszy, umożliwiający jedynie udział on-line i to tylko kupiony z wyprzedzeniem. W dniu rozpoczęcia imprezy zdalna możliwość wysłuchania prelekcji będzie wynosić już 800 zł. To jednak nic. Pakiet najdroższy – „Ogień” – kosztuje 3919 zł. Prawdziwa okazja – w dniu wydarzenia za „full service”, czyli m.in. zasadzenie drzewa w imieniu uczestnika, sesję zdjęciową z prelegentami, zjedzenie z nimi lunchu, a także dostęp do strefy wellness, trzeba będzie zapłacić aż 6 tys. zł. Jest kilka pakietów pośrednich, których ceny wahają się od 450 zł do 2 tys. zł. Na stronie internetowej imprezy specjalny licznik odmierza czas, w którym jest szansa na skorzystanie z korzystniejszej finansowo oferty. Trzeba się więc spieszyć.

Choć Life Balance Congress nie odbędzie się w lipcu po raz pierwszy, to o absurdalnych tezach, które są aplikowane

uczestnikom, głośno zrobiło się dopiero niedawno – wszystko za sprawą fragmentów nagrań kilkunastosekundowych wypowiedzi z edycji ubiegłorocznej, które stały się internetowymi viralami.

Czym właściwie jest to wydarzenie? „Największe w tej części Europy wydarzenie rozwojowe poświęcone równowadze życiowej: ciała, umysłu i ducha. To trzy dni doświadczeń i wzajemnego wsparcia w eksploracji i wzroście do pełnego potencjału każdego człowieka. Naszą misją jest Twój wzrost i przypomnienie całemu światu, że to MY jesteśmy twórcami naszego życia. Każde marzenie rozpisane na kartce papieru można uczynić rzeczywistością” – tak reklamują się organizatorzy. „Life Balance Congress 2023 to wydarzenie, które pomoże Ci powrócić do źródła spełnienia w życiu” – zachęcają. Jako kompetencje, które ma uzyskać uczestnik imprezy, wskazano m.in. „wiedzenie zdrowego, ponadprzeciętnego życia”, „otwarcie umysłu na ob-

fitość” oraz „nawiązanie relacji z samym sobą”. Tego wszystkiego nauczać będą guru z antynaukowych dziedzin obszaru parapsychologii i paramedycyny. Nie zabraknie mówców motywacyjnych, którzy pojawiają się jak grzyby po deszczu.

OPŁACALNE SZAMAŃSTWO

Aby zrozumieć, z jakim mentalnym szamaństwem mamy do czynienia, warto przytoczyć najbardziej absurdalne wypowiedzi z ostatniego kongresu. Riya Sokół, która przedstawia się jako „mówczyni i artystka”, specjalizuje się w opowiadaniu o pieniądzach. Zapewnia, że odkryła sekret bogactwa i jest gotowa się nim podzielić (najpierw rzecz jasna trzeba wykupić dostęp do jednego z kursów). – Zazwyczaj, jak robię przelew, zwłaszcza taki wielki, zwłaszcza na moje marzenie, to robię sobie taki rytuał z Julią z mojego teamu. Robimy rytuał płacenia. Siedzę z nią na telefonie, robię ten rytuał płacenia, jestem przeszczęśliwa, że wysłałam te

FOT. ANDRZEJ STOCIVITZ / KREDEK

pieniądze. Puszczamy muzykę, napięcie rośnie i nagle ja mówię: Wow. Julia, nie przyszedł ten przelew. A co się stało? – opowiada Sokół na jednym z nagrań, które stały się hitami sieci. – Jest napisane, że mam zwiększyć limity. Ja mam takie... wow! Mam zwiększyć limity. Miałam ciarki na całym ciele, bo zobaczyłam, że to dokładnie tak jest. My czasami coś, co nas zatrzymuje, traktujemy jak blokadę, przeszkodę, test od życia. Więc wchodzę na inną stronę, przesuwam suwaczkiem moje limity, zwiększam je i za chwilę mogę przedostać się do moich marzeń – tłumaczy „motywatorka”.

Inna z gwiazd Life Balance Congress, określająca się jako „dziecko wszechświata”, Kasia Nast, przedstawiła teorię, zgodnie z którą czas nie jest linearny. – Przyzwyczailiśmy się do tego, że istnieje czas linearny, że mamy przeszłość, przyszłość. Natomiast my tak naprawdę cały czas poruszamy się w tej teraźniejszości. To jest tak, że dzisiaj jest dzisiaj. Ale tak naprawdę jutro też będzie dziś. Jeżeli przesuniecie się dalej za rok, za pięć lat, za 10 lat, cały czas jest dziś. Więc po co ta podróż cały czas w przeszłość i przyszłość – pyta tonem pełnym zachwytu nad własną mądrością. Wtedy kamera pokazuje również zachwyconych słuchaczy, którzy z uśmiechem potakują. Nikomu nie drgnie nawet powieka.

„Dziecko wszechświata” jest niezwykle przedsiębiorcze. Kasia Nast sprzedaje bowiem autorską biżuterię. „Pierścień mocy” kosztuje 249 zł, a „korona z księżycem” 299 zł. Występ na wydarzeniu, na które uczęszczają ludzie zamożni, z pewnością ułatwia biznes.

„ZAMANIFESTUJ”

Innym nagraniem z Life Balance Congress stanowiącym prawdziwą esencję tego wydarzenia było to z udziałem Leilani Szajek. „W kręgach profesjonalnych zwana jest metafizyką i prekursorką filozofii korzystającej z dobrodziejstw fizyki kwantowej, indywidualnie konsultującą w tym zakresie najznamienitsze osoby biznesu. Prywatnie jest nauczycielką Prawa Założenia (Manifestacji), medytacji i specjalistycznych ćwiczeń stymulujących możliwość świadomego wpływu na regulację procesu neurogenety (proliferyację nowych połączeń neuronowych oraz wzmacniania tych, które są niezbędne w celowych zmianach procesów

myśłotwórczego) ugruntowanych w nauce o polu kwantowym” – oto „skromny” opis postaci Szajek, który znajdziemy na jej stronie.

Podczas ubiegłorocznej edycji imprezy 28-latką opowiadała o manifestacji, czyli jednym z kluczowych sformułowań coachingowej nowomowy. – Jeśli chcemy zmanifestować ogromne pieniądze na swoim koncie, to musimy wiedzieć o tym, że nasze myśli tworzą naszą rzeczywistość. Nie wiem, czy pamiętacie początek Biblii? „Na początku było słowo, a słowo było Bogiem”. To według mnie jest najprostsze wytłumaczenie, czym jest energia kreująca – przekonywała Szajek. Być może łatwiej manifestować skuteczną realizację marzeń finansowych, jeśli ma się ojca wiceprezesa banku w Nowym Jorku? Tak przynajmniej, co sama

**„Trenerzy mentalni”
stali się „kapłanami”
prowadzącymi imitujące
religijne nabożeństwa
pogadanki**

przyznała, wygląda sytuacja życiowa Leilani Szajek.

Zarówno w ubiegłym, jak i w tym roku imprezę odbywającą się w warszawskiej hali Expo ma „uświetnić” Dawid Piątkowski. Po opisie wydawałoby się, że gwarantuje on dawkę solidnej, przydatnej wiedzy. Jest to bowiem „multimilioner, autor bestsellerowych publikacji, mentor oraz utytułowany sportowiec”. Wystarczy jednak wpisać jego nazwisko w internetową wyszukiwarkę, aby dowiedzieć się, że Piątkowski promował wysoce wątpliwe sposoby na inwestowanie w deweloperkę. Ma na swoim koncie także „złote rady” o tym, aby pozbyć się z swojego życia „przeciętniaków”. – Wszystkich przeciętniaków wy...my z waszego życia, także nawet jak są to wasi starzy, to wy...ć. Nie mamy kontaktu przez rok, dwa, trzy, wy... Jak się nie ogarną, nie gadacie z nimi. Bo teraz, ile ludzi ma taki problem „a mój partner jest zj...”, „a mój ojciec jest zj...”. Po ch.. z nimi gadacie, po ch.. jeździecie na te obiady? Po

co wy jeździecie na tę wigilię? – perorował Piątkowski na jednym z coachingowych „nabożeństw”.

IMITACJA RELIGII

Właśnie w tym leży sukces różnej maści coachów i „trenerów mentalnych”. Stali się „kapłanami” prowadzącymi imitujące religijne nabożeństwa, pogadanki w aranżowanych na świątynie halach. Właściwie odczytali potrzebę duchowości, którą mają ludzie, którzy odnieśli już sukces zawodowy, jednak wciąż czują pustkę. Co prawda, nie ma badań pokazujących, do jakiej grupy trafiają coachingowe mądrości, jednak to można z dużą dozą prawdopodobieństwa orzec na bazie obserwacji. Po pierwsze, są to osoby dobrze sytuowane – zarabiających średnią krajową, przy obecnej inflacji, nie stać raczej na zapłacenie ok. 2 tys. zł za udział w „motywacyjnej imprezie”. Dodatkowo wszelkie kursy i gadzety okołocoachingowe, jak wspomniane wcześniej „pierścienie mocy” czy udział w coraz popularniejszych w Polsce „ceremoniach kakao” (wprowadzenie się w stan kontemplacji przy spożyciu specjalnie przygotowanego surowego kakao), słono kosztują.

Po drugie, w dużej mierze są to kobiety i mężczyźni po 30.–35. roku życia, którzy zderzyli się już z życiową „ścianą” i doznali zawodów, więc szukają nowych pomysłów na rozpracowanie tego, jak być szczęśliwym (przeglądając dostępne zapisy prelekcji, można wywnioskować, że kobiet zainteresowanych tematyką jest więcej niż mężczyzn). To widać po lekturze komentarzy na instagramowych profilach coachów oraz przejrzaniu nagrań z kongresu.

Po trzecie, przekaz „mentorów” pada na podatny grunt religijnej pustki. Wypełnia potrzebę duchowości, która zaistniała po odrzuceniu „religii tradycyjnej”, w naszym kręgu kulturowym chrześcijaństwa. Stąd tak trafne jest porównanie prelekcji z Life Balance Congress i innych tego typu szamańskich spędów do kościelnych nabożeństw. Ludzie, którzy przestali wierzyć w Boga, bardzo chcą uwierzyć w cokolwiek. Są w stanie zapłacić dużo, by tylko poczuć sens. W tym przypadku czczonym absolutem są „siła „manifestacji”, „tantryczna moc otwierająca na obfitość” oraz „nieprawdopodobne możliwości”. Zero konkretów, zero rzetelnej wiedzy i umiejętności. Pusty, choć intrygująco brzmiący kit.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Energetyki nie dla dzieci?



Łukasz Zboralski

Napoje energetyczne zdecydowanie nie są zdrowe dla dzieci. Czy zaproponowany przez posłów zakaz ich sprzedaży nieletnim to dobre rozwiązanie?

Politycy Partii Republikańskiej złożyli w Sejmie projekt, który ma ocalić dzieci przed skutkami picia napojów energetycznych. Po pierwsze, nowe prawo wprowadziłoby zakaz reklamowania takich napojów, podobny do zakazu reklamowania wyrobów tytoniowych. Po drugie, nowelizacja wprowadziłaby wprost zakaz sprzedaży tego rodzaju produktów osobom do 18. roku życia.

– Tą propozycją ustawy wprowadzamy zakaz sprzedaży osobom do ukończenia 18. roku życia napojów zawierających powyżej 150 mg/l kofeiny w połączeniu z tauryną lub tauryny, z wyłączeniem napojów, w których te składniki występują naturalnie – precyzował podczas konferencji w Sejmie minister sportu Kamil Bortniczuk. Wskazywał, że litr takiego napoju zawierać może taką zawartość kofeiny, jaką ma osiem szklanek kawy. – A taką litrową butelkę dziecko potrafi

wypić w ciągu czasami jednej przerwy lekcyjnej. Proszę sobie wyobrazić, co się dzieje z organizmem młodego człowieka, który przyjmuje tak potężną dawkę kofeiny w tak krótkim czasie – przekonywał Bortniczuk.

Europoseł Republikańców Adam Bielan przewidywał, że projekt napotka krytykę, bo uderzał będzie w interes dużych firm. – Zdajemy sobie sprawę, że producenci tych napojów mają dość duże wpływy, są poważnym reklamodawcą, więc spodziewamy się próby przeciwdziałania temu projektowi poprzez rozmaite działania lobbystyczne – stwierdził.

Na razie jednak taka krytyka pojawiła się wyłącznie w publicystyce, a już dwa dyskonty – a to jeden z głównych kanałów sprzedaży energetyków – wyraziły poparcie dla projektu. „Ograniczenie wieku kupujących energetyki bez wątpienia wpłynie na sprzedaż, obniżając ją, natomiast uważamy, że wynikające z tego

korzyści zdrowotne są dalece bardziej istotne i społecznie pożądane” – takie zdanie Patrycji Kamińskiej z polskiego oddziału Netto opublikował portal Wiadomoscihandlowe.pl.

„HEAVY USERZY” I DZIECI

Ten rodzaj napojów podbił polski rynek od lat 90. Głównie za sprawą jednej firmy, której nazwa do dziś jest niejako symbolem ogółu tych napitków, a jej reklamy pojawiają się często podczas sportów ekstremalnych (sponsorowała też polską kadrę skoczków narciarskich). Koncentracja m.in. kofeiny i tauryny zachwalana jest klientom jako coś, co pozwoli podtrzymać koncentrację i oszukać zmęczenie.

To rynek, który bardzo dynamicznie się rozwija. Jak zwracał uwagę raport Nielsena „Rynek napojów bezalkoholowych w Polsce” opublikowany w 2019 r., ponad 30 proc. obrotu wśród wszystkich takich napojów stanowiły trzy produkty



FOT. ADRIAN STOK

(63,3 proc.), zaburzenia snu (45,3 proc.) i drżenie rąk (41,2 proc.).

O ile studenci to ludzie dorośli i zdamy sobie sprawę z własnych czynów (94,5 proc. studentów uznaje, że te napoje „są szkodliwe”), o tyle większym problemem jest spożywanie energetyków przez dzieci. Problem jest poważny, bo – jak wynika z badań z 2013 r. przeprowadzonych na terenie UE – spożywanie napojów energetyzujących deklarowało aż 18 proc. dzieci w wieku od 3 do 10 lat i aż 68 proc. nastolatków.

Jak jest w Polsce, wskazał raport Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Instytutu Badawczego z 2021 r. Wynikało z niego, że regularnie (!) napoje energetyczne spożywa 2,1 proc. dzieci w wieku 3–9 lat. Wśród nastolatków (wiek 10–17 lat) regularnie energetyki pije 35,7 proc. chłopców i 27,4 proc. dziewcząt.

Ten trend dobrze widzą nauczyciele ze szkół podstawowych w dużych miastach. Bardzo często spotykają wychowanków z puszkami i butelkami napojów energetycznych w pobliżu szkół (w samych placówkach bardzo często nie ma już niezdrowych produktów do kupienia).

WĄTPLIWOŚCI REGULACYJNE

Wydaje się, że właśnie dlatego – iż rodzice nie mają kontroli nad tym, że dzieci po kryjomu raczą się energetykami, które mogą legalnie kupować w sklepach – posłowie Partii Republikańskiej zaproponowali, by młodych ludzi prawnie odciąć od takiej możliwości.

O ile państwo może i nawet powinno regulacjami wpływać na zachowanie ludzi (tak krytykowany przy wprowadzaniu podatku cukrowego w Polsce przyniósł dokładnie to, czego oczekiwano – zmniejszył liczbę spożywanych napojów z cukrem, co w długiej perspektywie na pewno będzie zyskiem dla zdrowia publicznego), o tyle pojawia się problem dotyczący tego, jak głęboka ta ingerencja być powinna.

Tu pierwszą wątpliwość podsuwają nam już sami pomysłodawcy nowelizacji. Wymieniają w niej potencjalne powikłania sercowo-naczyniowe przy spożywaniu takich napojów, czyli krótkotrwały wzrost lub obniżenie ciśnienia krwi. W zasadzie spłaszczają zagrożenie do „wysokiej częstotliwości występowania

niektórych niepożądanych objawów zdrowotnych”. Trudno też znaleźć dowody na dramatyczne niszczenie zdrowia – takie jak przy tytoniu, narkotykach czy alkoholu. Relatywnie nieodległe badanie, bo opublikowane w 2015 r. w „International Journal of Health Sciences” („Energy Drink Consumption: Beneficial and Adverse Health Effects”), zbierające dotychczasowe analizy, dość lakonicznie mówi o możliwych pozytywnych wpływach energetyków oraz możliwości szkodliwych efektów. Wśród tych ostatnich wymieniono zaburzenia snu związane z wysokimi dawkami kofeiny, a także agresywne zachowanie z powodu takiego pobudzenia czy... zagrożenie próchnicą zębów. Wskazano jeszcze na potencjalne zagrożenie halucynacjami przy spożywaniu więcej niż 300 mg kofeiny dziennie.

Krótko mówiąc, energetyki na pewno nie są dobre. Trudno jednak też znaleźć przykłady na to, że poważnie i długotrwale niszczą organizm. Zgadając się z tym, że lepiej na to dzieci jednak nie narażać, napotkamy jednak kolejny problem.

Odkładając na bok potężny marketing, który na pewno działa mocno na nieletnich (napoje energetyczne reklamują influencerzy, są dopasowywane do zainteresowań, kibicowania klubom sportowym itd.), nie da się nie zauważyć, że dziecko może też kupić dziś w sklepie kawę. A nawet siedem kaw. Owszem, będzie musiało więcej wypić, by osiągnąć takie stężenie, jak w litrze energetyka, ale wystarczą jego chęci, by po wprowadzeniu zakazu ominąć go sobie w inny sposób.

Idźmy dalej. Czy dziecko może dziś kupić powszechnie dostępne substancje chemiczne używane np. do remontów mieszkań, a które może wykorzystać jako narkotyki? Wszyscy wiemy, że tak.

Dzieciom nie sprzedaje się alkoholu, tytoniu i leków psychoaktywnych. Grozi to bowiem m.in. przedawkowaniem i zgonem oraz uzależnieniem. Nie ma chyba nikogo, kto zgodziłby się na sprzedaż bez regulacji dla nieletnich. Czy jednak w przypadku innych, szkodliwych dla zdrowia produktów dla dzieci (a przecież nie tylko dla nich) rozwiązaniem ma być tylko zakaz zastępujący wychowanie i rodzicielską kontrolę? Można mieć wątpliwości.

i największy wzrost sprzedaży wśród nich – rok do roku – notowały napoje energetyczne (18,1 proc.).

Kto je kupuje? Według informacji sprzed kilku lat firmy doradczej KPMG Polska – aż 42 proc. Polaków. Czyli sięga po ten produkt ok. 22 mln ludzi nad Wisłą. Przede wszystkim piją to tzw. heavy userzy, czyli ci, którzy energetyki spożywają regularnie. Zwykle to osoby poniżej 30. roku życia, najczęściej studenci lub uczniowie.

Jak wynikało z pracy opublikowanej przez badaczy Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu („Ocena spożycia napojów energetycznych oraz ich wpływu na zdrowie człowieka na podstawie badania wśród studentów wrocławskich uczelni”), połowa badanych studentów przyznawała, że sięga po te napoje, najczęściej podczas sesji egzaminacyjnych. I więcej niż połowa zauważyła u siebie skutki uboczne. Za najczęstsze podawali uczucie kołatania serca



Wiesław Chełminiak

Leonardo, Rafael i Michał Anioł razem wzięci nie zrobili dla sztuki tyle, co gburowaty syn florenckiego sukiennika

Donato di Betto Bardi, lepiej znany jako Donatello, przyszedł na świat w tym samym roku, w którym Jagiełło się ochrzcił, a Litwa zawarła unię z Polską. Europejczyków zżerał lęk przed powrotem dżumy tudzież atakiem islamistów. Kościół, najważniejsza instytucja średniowiecznego świata, był pogrążony w kryzysie. Jeden papież rezydował w Rzymie, a drugi w Awinionie. Gra o trony wchodziła w nową fazę. Król Anglii nadal uważał się za prawowitego władcę Francji. Cesarstwo bizantyńskie dogorywało. Cesarstwo niemieckie istniało już tylko teoretycznie. Książę moskiewski potulnie płacił daninę Tatarom po tym, jak puścili z dymem jego stolicę. Nikomu nie śniło się jeszcze o dalekomorskich wyprawach, drukowanych książkach i prawie patentowym.

Donatello śmiało można nazwać ojcem chrzestnym nowożytnej sztuki. Studiował antyczne zabytki, szukając w nich prawdy o człowieku. Odrzucił tradycję gotyku. Przekonany, że powołaniem artysty nie jest pogoń za ideałem, lecz naśladowanie natury, odtwarzanie świata z całą jego nędzą i brzydotą, postawił na realizm. Nauczył malarzy, czym jest perspektywa, w jaki sposób osiągnąć efekt ruchu i trójwymiarowości, jak wyrażać emocje.

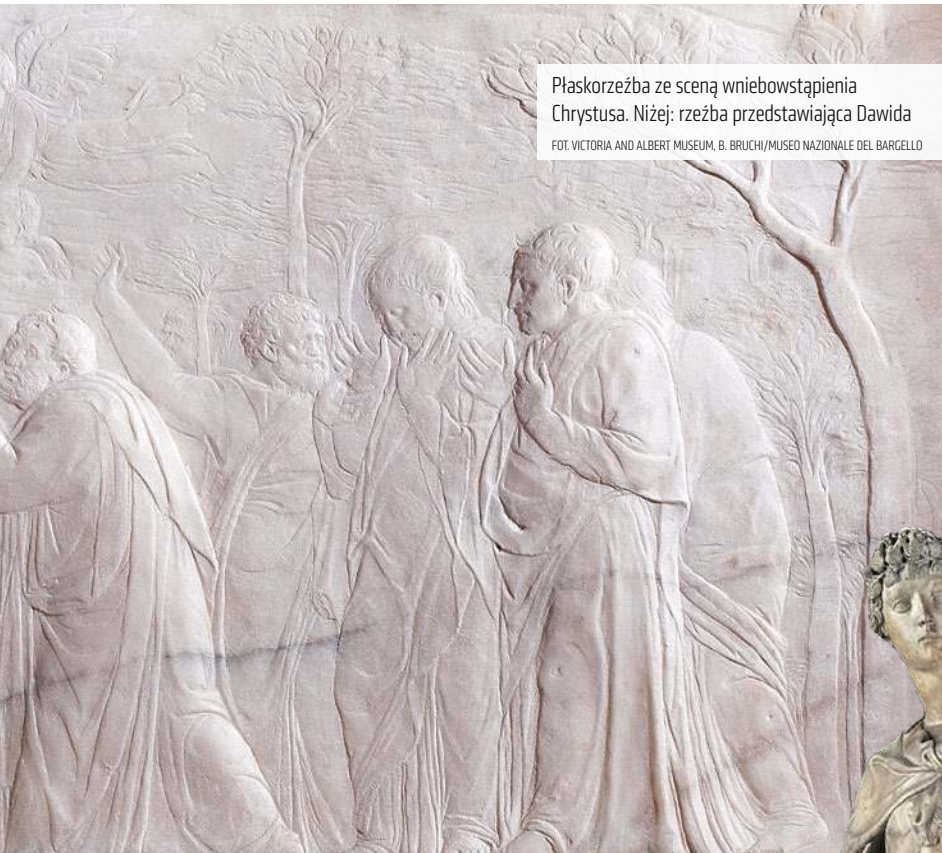
Wystawę „Donatello. Wynalazca renesansu” pokazano najpierw we Florencji, potem w Berlinie. Na koniec będzie ją można obejrzeć w Londynie. Tak się bowiem składa, że muzea w tych miastach zgromadziły większą część artystycznej spuścizny Toskańczyka. Jego rzeźby i płaskorzeźby z marmuru, brązu, drewna

oraz terakoty nigdy wcześniej nie były prezentowane razem. W stolicy Niemiec uzupełniono je o gipsowe odlewy z kolekcji królów Prus.

ZDOLNY, ALE CHOLERYK

Współcześni doceniali geniusza Donatella. Pracował przez ponad 60 lat, klientów miał w całej Italii. Był sprawcą estetycznej rewolucji. Przewycięzył ograniczenia tradycyjnych materiałów i odkrywał nowe. Mimo braku wykształcenia znajdował wspólny język ze studiującymi starożytnych autorów humanistami. On sam nie poprzestał na inspirowaniu się antykiem, miał duszę eksperymentatora i filmową wyobraźnię. Wymyślał nowe pozy i gesty. Jego sztuka zdumiewała Florentyńczyków, którzy niejedno przecież widzieli. Gdy epoka odrodzenia dobiegła końca, zapomniano o jego zasługach.

Opinię, że Donatello był najważniejszym artystą Quattrocenta, jako pierwszy wyraził XIX-wieczny polihistor, Jacob Burckhardt. Gdy historycy sztuki nauczyli się odróżniać innowatorów od naśladowców, stało się jasne, że Toskań-



Plaskorzeźba ze sceną wniebowstąpienia Chrystusa. Niżej: rzeźba przedstawiająca Dawida
FOT. VICTORIA AND ALBERT MUSEUM, B. BRUCHI/MUSEO NAZIONALE DEL BARGELLO

straszny wrogiem”. Oczywiście chodziło o wrogów Florencji, nie chrześcijaństwa.

Trzydzieści lat później na prywatne zamówienie Kosmy Donatello stworzył nieco większego Dawida z brązu. Zamysłony efeb, nagi (nie licząc kapelusza i wysokich butów) był pierwszą tego typu rzeźbą od ponad tysiąclecia oraz pierwszym aktem męskim w epoce renesansu. Zdobił patio pałacu Medyceuszy, a po ich wygnaniu z miasta dziedziniec Palazzo della Signoria.

OD GOTYKU DO ANTYKU

Oprócz obu Dawidów na wystawie można podziwiać płaskorzeźby z brązu z monumentalnego ołtarza głównego bazyliki św. Antoniego w Padwie.

To bodaj najbardziej emocjonalne dzieło Donatella urzekło młodszego o 45 lat Andrea Mantegnę i miało

kolosalny wpływ na jego twórczość. Naturalizm, podpatrzony u Toskańczyka, malarz spod Vicenzy przekazał w darze następnym pokoleniom. Nawiasem mówiąc, podczas pobytu w Padwie

Donatello stworzył jeszcze jedno arcydzieło: konny pomnik kondotiera Gattamelaty.

W taki sposób wcześniej honorowano tylko rzymskich cesarzy. Gattamelata, z całym szacunkiem dla jego militarnych przewag, nie był władcą, lecz synem piekarza, który zbił majątek, oferując swe usługi każdemu, kto dobrze płacił. A najlepiej płaciła Republika Wenecka.

Marsowe oblicze kondotiera z brązu z pewnością odpowiadało wyobrażeniom, jakie mieli o nim rodacy. Ale dlaczego marmurowy prorok Habakuk, wyrzeźbiony przez mistrza z Florencji, ma twarz recydywisty?

Włosi, z właściwym sobie brakiem powagi, ochrztili posąg imieniem Zuccone

czyk zasługuje na miejsce w panteonie największych talentów, jakie wydała ludzkość.

Donatello był ascetą i abnegatem. Na domiar złego miał ciężki charakter. Kłócił się nawet z przyjaciółmi: architektem Brunelleschim i niekoronowanym władcą Florencji, Kosmą Medyceuszem. Zirykowany skąpstwem klienta, którego bankier mu naraił, rzucił rzeźbę z dachu. Rozbiła się na kawałki. Daremnie kupiec się kajał i prosił o wybaczenie. Mistrz odmówił wykonania repliki. Gdy Medyceusz, zdegradowany stanem garderoby artysty, podarował mu nowe, wytworne ubrania, ten po kilku dniach zmienił je na strój roboczy. Donatello nie dbał o pieniądze. Nie miał też dzieci i nigdy się nie ożenił.

DAWIDÓW TRZECH

Ze wszystkich biznesów Kosmy i jego potomków najbardziej opłacalne okazały się inwestycje w sztukę i architekturę. Stolica Toskanii zarabia na nich coraz więcej. Turyści, przybywający nad Arno, stoją w długiej kolejce, by obejrzeć posąg Dawida autorstwa Michała Anioła,

przechowywany w Galleria dell'Accademia. Ci, którym szkoda czasu i pieniędzy, fotografują kopię, umieszczoną na Piazza della Signoria. Mało kto wie, że wcześniej ów najbardziej prestiżowy plac miasta zdobił znacznie mniejszy, marmurowy Dawid wykonany w 1409 r. przez Donatella. Pogromca Goliata, odziany w długi płaszcz, z wieńcem z amarantu (symbolizującym nieśmiertelną sławę) na głowie, miał trafić do katedry. Z woli kontrolowanego przez Medyceusów senatu ustawiono go jednak przed Palazzo Vecchio, uzbrojono w procę i opatrzono łacińskim podpisem: „Bogowie pomagają dzielnie walczącemu za ojczyznę przeciwko





„Lament nad martwym Chrystusem”

FOT. VICTORIA AND ALBERT MUSEUM

■ (czyli łysy). O poczuciu humoru samego Donatella świadczy natomiast obfitość amorków. Motyw putta, czyli nagiego, uskrzydłonego dziecka, charakterystyczny dla rzymskich sarkofagów, przewija się przez całą twórczość Toskańczyka.

Spiritello, „mały duch”, wykonany z brązu amerek z tamburynem, zanim trafił do Berlina, zdobił chrzcielnicę w Sienie. Z kolei Amor Atys z florenckiego Museo Bargello stał się przyczyną wieloletnich sporów. Vasari uważał, że to Merkury (ze względu na dziwne obuwie). Inni rozpoznawali go jako satyra (bo ma ogonek), Kupidyna (bo mógł trzymać łuk), ewentualnie małego Herkulesa (bo depta węża). W końcu zauważono podobieństwo do boga z Frygii, czczonego również w antycznej Italii. Atys, według legendy, sam się wykastrował, a nabożeństwa jego wyznawców kończyły się orgią.

Fascynacja pogańską sztuką bynajmniej nie znaczy, że Donatello był złym chrześcijaninem. Wręcz przeciwnie. Jego warsztat wyprodukował multum artefaktów służących publicznej i prywatnej dewocji. Na berlińskiej wystawie wzrok przyciągał połacany relikwiarz św. Lukaszusa z Pizy. Rzecz jasna, Niemcy nie przegapili okazji, by pochwalić się Madonną Pazzich, która zanim w 1870 r. trafiła nad Sprewę, dekorowała siedzibę rodu niechętnego Medyceuszom. Ta młodzieńcza, gotycka w formie i pozbawiona ozdób płaskorzeźba świadczy, jak zmieniał się styl artysty. Zwłaszcza gdy



Fragment „Rzezi niewiniątek”

FOT. JEAN-MANUEL SALINGUE/MUSÉE DES BEAUX-ARTS

zestawić ją z medalionem z Madonną, Dzieciątkiem i czterema aniołami, który sędziwy Donatello podarował swemu lekarzowi, lub drewnianą Marią Magdaleną – bezlitosną personifikacją starości.

KAPRYS ARABSKICH PIRATÓW

Kuratorzy pragnęli, by dzieła głównego bohatera weszły w dialog z malarstwem quattrocenta, więc ekspozycję uzupełniono o dzieła takich artystów jak Masaccio, Filippo Lippi czy wspomniany już Andrea Mantegna. Fakt, że postaci z ówczesnych obrazów wyglądają jak

wyrzeźbione, historycy zauważyli już dawno. W przypadku „Martwego Chrystusa podtrzymywanego przez anioły” Giovanniego Belliniego można mówić o hołdzie, gdyż malowidło, powstałe krótko po śmierci Donatella, do złudzenia przypomina płaskorzeźbę, którą wykonał on dla padewskiego sanktuarium św. Antoniego.

Masaccio, autor tonda „Narodziny”, nie dożył 27. urodzin, ale zdążył się zapisać w annałach jako pierwszy mistrz pędzla stosujący perspektywę. Ciekawostka: by pracować legalnie, musiał zapisać się do cechu lekarzy i aptekarzy. Związek zawodowy florenckich malarzy jeszcze nie istniał.

Filippo Lippi (rocznik 1406), kochliwy karmelita i niezrównany portrecista, za młodu wpadł w ręce arabskich piratów, lecz ci zachwyceni jego talentem zwrócili mu wolność, odstawiając do Italii. Jego „Adorację” (dziś w zbiorach berlińskiej Gemäldegalerie) zamówił Kosma Medyceusz z przeznaczeniem do kaplicy w swoim pałacu.

Gdy Donatello umierał, niewiele znaków na niebie i ziemi wskazywało, że europejska kultura i cywilizacja zbliżają się do punktu zwrotnego.

Nad Konstantynopolem powiewała już zielona flaga proroka Mahometa. Papieskie wezwania do krucjaty przeciw Turkom spływały po chrześcijańskich monarchach jak woda po kaczce. Mauroowie wciąż panowali w Andaluzji. Kolumb był nastolatkiem, drukowana Biblia Gutenberga – nowinką, a w dalekim Krakowie Długosz pisał po łacinie „Historię Polski”. Na mocy pokoju zawartego w Toruniu przegrani Krzyżacy musieli oddać najbogatszą część swego państwa i zostać lennikami Jagiellonów.

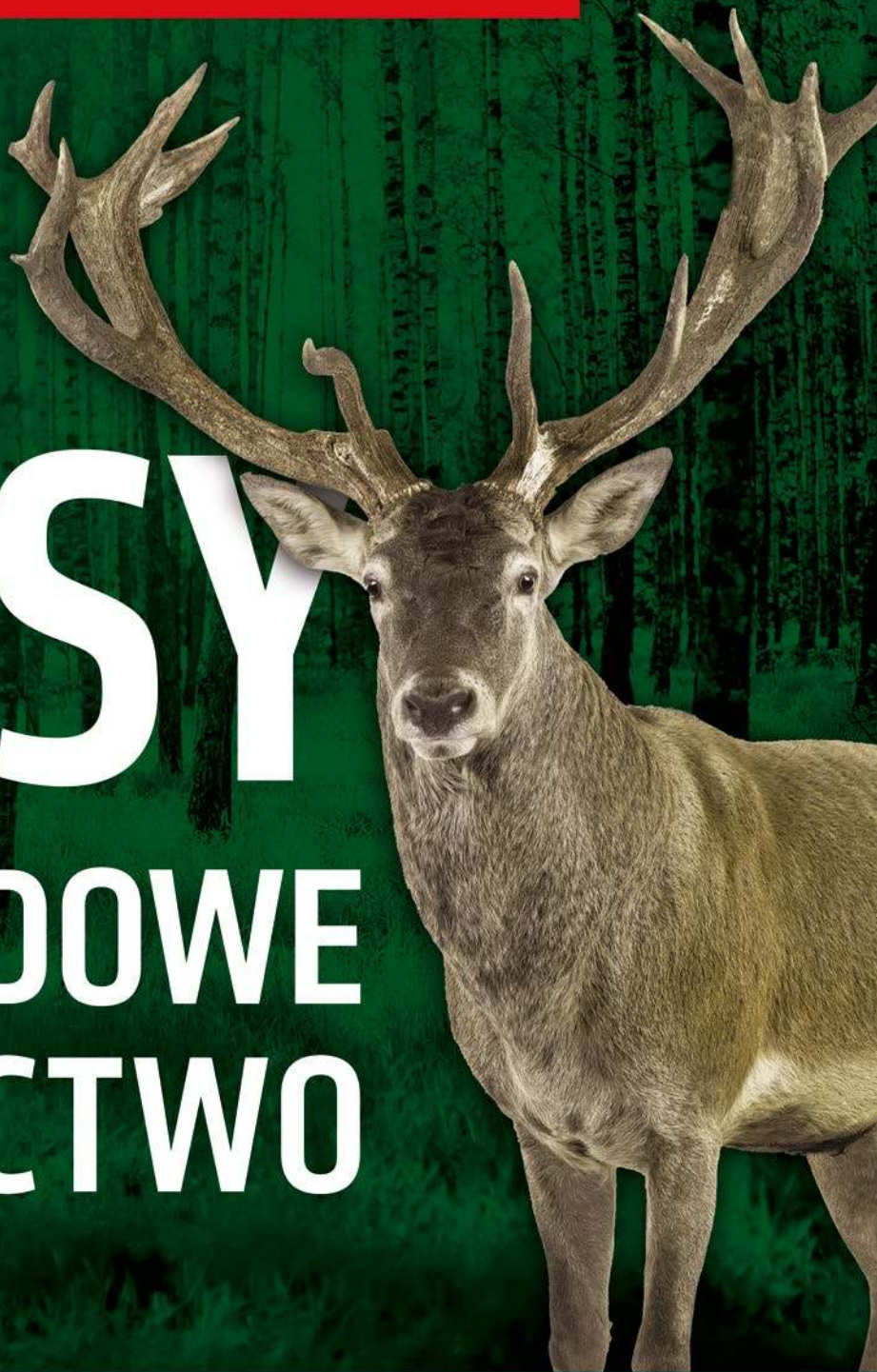
Kosma Medyceusz powiedział, że geniusz artysty „potrafi przemienić skąpstwo książąt w uprzejmość, unicestwić nienawiść w sercu, pogrzebać ludzką zawiść i wynieść ku niebiosom tych, którym sława zapewni nieśmiertelność”. Miał na myśli Lippiego, ale te słowa jeszcze lepiej pasują do Donatella.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Donatello. Erfinder der Renaissance” do 8 stycznia 2023 r. gościła w berlińskiej Gemäldegalerie, od 11 lutego do 11 czerwca jej angielską wersję można obejrzeć w Victoria & Albert Museum w Londynie.

RAPORT SPECJALNY

LASY NARODOWE BOGACTWO



PARTNER RAPORTU



Lasy Państwowe

eprasa.pl 2c57c66137

Lasy, które pokrywają третią część naszego kraju, to wielki skarb narodowy. Są nie tylko zielonymi płucami, które pochłaniają dwutlenek węgla, jednym z najcenniejszych elementów środowiska, naturalnym miejscem wypoczynku i rekreacji ludzi. Są również ważną częścią krajowej gospodarki. Gospodarka leśna i związane z nią gałęzie przemysłu generują ponad 2 proc. PKB.

Mimo że dysponujemy coraz lepszymi, coraz trwalszymi i bezpieczniejszymi materiałami, drewno pozostaje surowcem trudnym do zastąpienia. W dobie szkła, aluminium i stali z pewnością nie można go odłożyć do lamusa. Jeśli uważnie rozejrzemy się po naszym otoczeniu, okaże się, że wiele produktów swój początek miało w lesie: papier, meble, ubrania. Ich listę można wydłużać praktycznie bez końca.

Wydawać by się mogło, że rola drewna i jego zużycie powinno maleć wraz z rozwojem i unowocześnianiem gospodarki. Błąd. W ostatnim dwudziestolecu zużycie drewna w Polsce zwiększyło się dwa i pół razy. Podczas gdy w 1990 r. na statystycznego Polaka przypadała rocznie równowartość 0,4 m sześć. drewna okrągłego, obecnie ta ilość wzrosła do ponad 1,2 m sześć. (dane za 2020 r.). Prawdopodobnie wzrośnie jeszcze bardziej – do wielkości takich jak w innych krajach Europy (np. Niemiec zużywa rocznie 1,7 m sześć. drewna).

BOGACTWO Z LASU

Zagwarantowanie rosnącego zapotrzebowania na drewno i jednocześnie zapewnienia trwałości lasów nie są wzajemnie wykluczającymi się zadaniami. Gwarantuje to zrównoważona, wielofunkcyjna gospodarka leśna prowadzona przez Lasy Państwowe, które są obecnie największą w Unii Europejskiej organizacją zarządzającą lasami publicznymi. W ich gestii pozostaje 77,5 proc. polskich lasów.

Lasy Państwowe są największym dostawcą surowca na polski rynek, pokrywając ponad 90 proc. zapotrzebowania krajowego przemysłu i mieszkańców na drewno. Prowadzą zrównoważoną gospodarkę leśną, pozyskując drewno w granicach wyznaczonych przez standardy ekologicznej gospodarki, badania naukowe i 10-letnie plany urządzenia lasu, zatwierdzone przez ministra klimatu

Drewno – surowiec naturalny, odnawialny, zdrowy

Wiele rzeczy, które otaczają nas na co dzień, swój początek miało w lesie: meble, książki, ubrania. Drewno to największe bogactwo lasu, chociaż niejedyne.

i środowiska. Przeciętnie pozyskuje się do 70 proc. drewna, które przyrasta w lesie; cała reszta zwiększa zapas na pniu.

Mimo że drewno jest stale pozyskiwane, lasów w Polsce nie tylko nie ubywa, ale i jest ich coraz więcej. Ich powierzchnia wynosi teraz ponad 9,2 mln ha, co odpowiada lesistości 29,6 proc. Dzięki leśnikom w ostatnich dziesięcioleciach posadzono wiele lasów – po II wojnie światowej, w roku 1945, lesistość wynosiła zaledwie 21 proc. Zgodnie z „Krajowym programem zwiększania lesistości” ma ona wzrosnąć do 33 proc. w 2050 r. Co roku leśnicy sadzą aż 500 mln nowych drzew!

Zwiększa się nie tylko powierzchnia lasów, ale także zasobność drzewostanów w lasach zarządzanych przez PGL LP. Polskie lasy z dwuipółkrotnie wyższą przeciętną zasobnością (290 m sześć./ha) niż pozostałe lasy Europy należą pod tym względem do najbogatszych na kontynencie.

Nasze zasoby drewna wzrastają co roku i są już dwa razy większe niż pół wieku temu. Wynoszą 2,6 mld m sześć., w tym w Lasach Państwowych – blisko 2,1 mld m sześć., co czyni je piątymi co do wielkości w Europie.

MEBLE – POLSKA SPECJALNOŚĆ

Bogactwo surowcowe polskich lasów umożliwiły rozwój m.in. przemysłu meblarskiego. W ostatnich dziesięcioleciach Polska stała się prawdziwą potęgą w produkcji mebli. Przemysł meblowy odpowiada obecnie za 2,3 proc. polskiego PKB. Na rynku działa prawie 30 tys. producentów – zarówno dużych i średnich, jak i małych oraz mikroprzedsiębiorstw, które stanowią ponad 90 proc. wytwórców.

Większość wyprodukowanych między Odrą a Bugiem mebli trafia do domów i mieszkań za granicą. Według danych PFR pod względem wartości eksportu mebli i ich części Polska plasuje się na trzecim miejscu na świecie, po Chinach i Niemczech, a sama wartość polskiego eksportu mebli wg danych Eurostatu sięga 11,2 mld euro (2019 r.). Najwięcej sprzętów od polskich producentów kupują Niemcy, Czesi, Brytyjczycy, Francuzi i Holendrzy.

DOM Z PALI

Produkty drewnopochodne (sklejki, płyty wiórowe, płyty pilśniowe, produkty izolacyjne itp.), produkty z drewna litego (profile, belki, drewno konstrukcyjne,

płyty z drewna litego, drewno klejone, warstwowe, parkiety i forniry) – wszystkie te wytwory z drewna często znajdują zastosowanie nie tylko w meblarstwie, ale także przy budowie czy wykończeniu naszych domów. Bo drewno to niezastąpiony i bezkonkurencyjny materiał budowlany. Jest wytrzymałe niemal tak jak stal i charakteryzuje się znakomitą izolacyjnością akustyczną i cieplną.

Dom z drewna jest nawet pięciokrotnie tańszy w ogrzewaniu niż dom zbudowany z innych materiałów o podobnych gabarytach. Wbrew obiegowym opiniom drewniany dom „trzyma ciepło” – przewodzenie ciepła przez ścianę z drewna

**Nasze zasoby drewna
wzrastają co roku i są już
dwa razy większe niż pół
wieku temu**

jest czterokrotnie niższe niż przez ścianę z cegły i dziesięciokrotnie mniejsze niż przez ścianę z kamienia. Nic dziwnego, że drewno stosuje się nie tylko przy budowie dachów czy stolarce budowlanej – wracając do łask domy z drewna, tak popularne chociażby w Skandynawii czy Kanadzie.

PAPIER NADAL NA TOPIE

Wydawałoby się, że wraz z postępem cyfryzacji znaczenie papieru maleje. Rzeczywiście, kupujemy mniej drukowanych gazet, a książki coraz częściej czytamy na elektronicznych czytnikach. Papier (i druk) nie odszedł jednak w niebyt. Chociażby dlatego, że świat zalewany potopem plastiku coraz chętniej jednak wraca do starego, dobrego i – co najważniejsze – poddającego się recyklingowi surowca. Ochoczo zamieniamy plasti-

kowe torby na zakupy na te papierowe, a żywność pakujemy coraz częściej nie w plastik, ale właśnie papier. Ten papier nie trafia potem jak plastik całymi tonami do oceanów ani jak plastik nie przyczynia się do śmierci wielu zwierząt.

Papier zresztą jest produkowany przede wszystkim z tzw. cięć pielęgnacyjnych, czyli wycinki słabszych, gorzej rosnących drzew, które utrudniają wzrost drzewom dorosłym. Zużycie papieru nie maleje: szacuje się, że przeciętny Polak zużywa rocznie 142 kg papieru. To trochę mniej niż wynosi średnia europejska (147 kg).

Wraz z rozwojem e-handlu szybko rośnie rynek opakowań poddających się recyklingowi, a rodzimi producenci zajmują pod tym względem miejsca w europejskiej czołówce. Na przykład Polska zajmuje pierwsze miejsce na kontynencie pod względem eksportu opakowań drewnianych, a jeśli chodzi o te z papieru i tektury – trzecie miejsce pod względem łącznej wartości eksportu.

Coraz chętniej sięgamy również po ubrania z wiskozy, która jest – obok bawełny i poliestru – jednym z najpopularniejszych materiałów wykorzystywanych przez przemysł odzieżowy. Wiskoza jest otrzymywana z celulozy z drzew iglastych takich jak sosna czy świerk, a także z buku (oraz np. z bambusa). Swoją popularność zawdzięcza temu, że jest przewiewna, oddychająca (przepuszcza powietrze) i wygodna.

Podkłady kolejowe (znacznie lepsze od tych z betonu), stemple górnicze, gitary, skrzypce i pianina, zabawki... Jak się szacuje, drewno ma dziś ok. 30 tys. zastosowań. Nic dziwnego; to pierwszy wybór konsumentów, bo jest surowcem ekologicznym, naturalnym i odnawianym. Jego właściwości powodują, że nadal jest niezastąpione. Nawet jeśli nie jesteśmy w lesie, produkty pochodzące z lasu są wokół nas przez cały czas.

Królowa sosna

Największą wartość handlową w Polsce ma osiem gatunków: sosna, dąb, brzoza, świerk, buk, olsza, modrzew i jodła. Właśnie z nich wytwarza się najwięcej produktów. Drewno sosny jest jednym z ważniejszych materiałów stosowanych w polskim budownictwie, meblarstwie oraz stolarstwie. Tworzy się z niej szkielety domów, więźby dachowe, parkiety, podłogi, boazerie, okna i drzwi. Wykorzystuje się je także do produkcji celulozy i papieru, sklejki, wełny drzewnej. Najlepsze właściwości pod względem technicznym ma drewno ze ściętych drzew w wieku 80-120 lat.

Lasy

– wielki pracodawca

Polskie lasy – bezpośrednio i pośrednio – dają pracę kilkuset tysiącom ludzi. W branżach związanych z lasami pracuje co 40. Polak.



Polskie lasy są miejscem pracy dla dziesiątków tysięcy ludzi. Przede wszystkim leśników – zatrudnionych w 429 nadleśnictwach, siedemnastu regionalnych dyrekcjach Lasów Państwowych oraz jednostce centralnej – Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych, a także wielu zakładach – pełniących funkcję pomocniczą i działających w całym kraju lub regionach. W sumie lasy Państwowe, jeden z największych polskich pracodawców, zatrudnia 25 tys. osób.

Praca w lesie na wyższych stanowiskach, takich jak leśniczy czy nadleśniczy, wymaga przeważnie wyższego wykształcenia kierunkowego. Pilarze, podleśniczy czy strażnicy leśni powinni mieć ukończone technikum leśne i odpowiednie szkolenia.

Leśnicy pracują również w parkach narodowych, starostwach gdzie odpowiadają za lasy w gestii osób prywatnych i samorządów, a także w przedsiębiorstwach, które inwentaryzują i planują zadania w lasach.

Lasy i drewno to źródło utrzymania pracowników kilku tysięcy prywatnych zakładów usług leśnych, którzy na zlecenie zajmują się m.in. sadzeniem drzew i ich pielęgnacją, pozyskiwaniem i wywozem drewna. Złożone, trudne i niebezpieczne prace wykonywane są już często z wykorzystaniem nowoczesnych urządzeń, jednak praca w lesie to nadal często również

tradycyjna, ciężka praca fizyczna. Działalnością gospodarczą i ochronną w polskich lasach zajmuje się ponad 55 tys. ludzi.

Bezpośrednio w lesie na obszarze stanowiącym prawie jedną trzecią powierzchni kraju pracuje więc łącznie ok. 100 tys. osób.

Surowiec pozyskiwany w lasach jest bodźcem do rozwoju produkcji przemysłowej. Lasy utrzymują tysiące miejsc pracy w sektorze leśno-drzewnym, m.in. w przemyśle drzewnym, celulozowo-papierniczym, meblarskim, fabrykach płyt czy tartakach. Są źródłem utrzymania dla tysięcy mniejszych firm zajmujących się produkcją zabawek czy dla warsztatów stolarskich. W sumie w tych gałęziach przemysłu według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) jest zatrudnionych ponad 450 tys. osób.

Z tej liczby około 200 tysięcy miejsc pracy przypada na przemysł meblarski. Na polskim rynku meblarskim działają wielcy producenci z polskim i zagranicznym kapitałem, których przychody przekraczają (w niektórych przypadkach znacznie) miliard złotych i którzy zatrudniają po kilka tysięcy pracowników. Takich firm jest kilka.

Sektor leśno-drzewny to jednak nie tylko potentaci. Dziewięć na dziesięć zakładów (np. 94 proc. polskich producentów mebli) to mikroprzedsiębiorstwa, w których pracuje do dziesięciu osób.

Nierzadko to firmy rodzinne, podtrzymujące wielopokoleniowe tradycje związane z lasem i przemysłem drzewnym. Działają najczęściej w słabiej rozwiniętych regionach kraju. Na tych obszarach leśnictwo, przemysł drzewny i rolnictwo jest źródłem utrzymania tysięcy rodzin. Większość, bo około 60 proc. miejsc pracy w sektorze leśno-drzewnym umiejscowionych jest na obszarach wiejskich.

Gałęzie gospodarki związane z lasem i drewnem tworzą co najmniej 2,3 PKB kraju.

Dla wielu ludzi las jest źródłem utrzymania jeszcze w inny sposób. Zbieractwo to nie tylko ludzie stojący przy drogach i sprzedający grzyby i jagody. To również firmy specjalizujące się w eksporcie polskiego runa leśnego na zagraniczne rynki. Na przykład wartość eksportu polskich jagód wynosi ponad 400 mln zł, a grzybów borowikowatych niespełna 26 mln zł.

Leśne etaty

- **2,5 proc.** Polaków jest zatrudnionych w branży drzewnej
- **450 tys.** – tyle osób pracuje w firmach przetwarzających drewno
- **64 tys.** – tyle firm działa w branży drzewnej
- **60 proc.** – tyle miejsc pracy znajduje się na obszarach wiejskich

Las dla klimatu

Wszyscy wiemy, że obszary leśne wpływają na klimat i atmosferę. Jak to się odbywa?

Powodzie, długotrwałe fale upałów, powtarzające się co roku susze, huragany i ulewne deszcze – okazji do mówienia o skutkach zmian klimatu jest w ostatnich latach wiele. Dowiedz się, jak lasy łagodzą skutki zmian zachodzących na skutek działalności człowieka.

1. Lasy pochłaniają dwutlenek węgla

Głównym sprawcą zmian klimatycznych jest dwutlenek węgla. I właśnie wiązanie tego gazu cieplarnianego jest funkcją lasów, o której mówimy najczęściej w kontekście klimatu. Las pochłania ogromne ilości dwutlenku węgla z atmosfery, zmniejszając jego udział, i tym samym łagodząc skutki ocieplania się klimatu. W ten sposób las staje się wielkim magazynem węgla. Najwięcej tego gazu cieplarnianego wiążą drzewostany „w średnim wieku” – ani za stare, ani bardzo młode, te intensywnie przyrastające, które szybko pną się w górę i poszerzają, a tym samym wiążą dużo pochodzącego z atmosfery gazu i „wbudowują” w drewno najwięcej węgla.

Chcąc stymulować proces absorpcji, Lasy Państwowe realizują projekt Leśne Gospodarstwa Węglowe (LGW), którego celem jest wypracowanie metod zwiększenia pochłaniania CO₂ i innych gazów cieplarnianych w lasach.

Martwa materia w glebie to około 46 proc. węgla ogółem w ekosystemie leśnym. Magazynem węgla są np. torfowiska. Znajduje się on również w obumarłych drzewach.

Pod względem ilości węgla związane go w biomasie drzewnej na obszarach leśnych Polska jest jednym z europejskich liderów. Jak informuje „Raport o stanie lasów 2020”, zawartość węgla w biomasie drzewnej lasów Polski została oszacowana na 923 mln ton, w tym na 738 mln ton w żywej biomasie nadziemnej, 148 mln ton w części podziemnej i 37 mln ton w drewnie martwym.

Warto wiedzieć: Wszystkie lasy w Polsce pochłaniają rocznie ok. 21,7 mln ton dwutlenku węgla. Hektar zadrzewienia absorbuje w ciągu godziny ilość dwu-

tlenku węgla, którą wydala w tym czasie 200 ludzi.

2. Lasy ograniczają stężenie zanieczyszczeń gazowych oraz filtrują powietrze z pyłów.

Drzewa są swoistym filtrem, doskonale pochłaniającym i neutralizującym substancje toksyczne. Nie tylko dwutlenek węgla, ale także dwutlenek siarki oraz metale ciężkie (ołów, kadm, miedź, cynk). Lasy oczyszczają powie-



FOT. MACIEJ GROMNY

powierzchnie ziemi jako opady, tak więc lasy pełnią pewną funkcję w przeciwdziałaniu suszom. Zarówno one, jak i nawalne deszcze zdarzają się w Polsce coraz częściej.

Jak podaje „Encyklopedia Leśna”, w pełni sezonu wegetacyjnego z 1 ha lasów wytranspirowuje do atmosfery od kilku do kilkudziesięciu ton wody w ciągu doby. To ilość porównywalna z intensywnością parowania lustra wody. Dlatego też wpływ lasów na klimat autorzy tej Encyklopedii porównują z wpływem zbiorników wodnych.

Z uwagi na swoje zdolności retencyjne lasy tworzą naturalną ochronę przeciwpowodziową, spowalniając topnienie śniegu i spływ wód opadowych.

Warto wiedzieć: Metr kwadratowy gleby leśnej jest w stanie zmagazynować do 200 litrów wody, a tylko jej wierzchnia, 10-centymetrowa warstwa zdolna jest przyjąć blisko 50 litrów wody opadowej.

4. Drzewa działają jak gigantyczne klimatyzatory.

Lasy w skali lokalnej wpływają na mikroklimat lokalnie, ochładzając powietrze i je nawilżając. Przyczyniają się do zmniejszenia amplitudy temperatur, zarówno dobowych, jak i rocznych.

Jak drzewostany schładzają powietrze, najlepiej można zauważyć w cieplejszych porach roku. Na terenach zadrzewionych wiosną i latem jest chłodniej niż w aglomeracjach miejskich. Jedno dorosłe drzewo może wytranspirować latem do 450 l wody dziennie. Taki efekt daje 5 dużych klimatyzatorów działających 20 godzin na dobę i obniżających temperaturę otoczenia o 3-7 stop. C.

Według „Encyklopedii Leśnej” wpływ lasów na klimat zazwyczaj jest tylko lokalny. Odczuwają go wyraźnie mieszkańcy miejscowości znajdujących się w zasięgu ich oddziaływania. Widać go wyraźnie w miejscowościach uzdrowskich i wypoczynkowych.

Warto wiedzieć: Strategiczne rozmieszczenie drzew na terenach zurbanizowanych może obniżyć temperaturę powietrza o 8 st. C, redukując o 30 proc. zapotrzebowanie na klimatyzację.

trze w ciągu sezonu wegetacyjnego – 1 ha boru świerkowego zatrzymuje około 30 ton pyłu, a 1 ha lasu bukowego zatrzymuje 65 ton pyłu.

Warto wiedzieć: W leśnym powietrzu jest do 70 razy mniej chorobotwórczych zarazków niż w powietrzu miast i do 1000 razy mniej substancji szkodliwych dla zdrowia niż w pobliżu aglomeracji przemysłowych.

3. Lasy jak gąbka magazynują wodę, przeciwdziałając powodziom i suszom

Ekosystemy leśne są jak ogromna gąbka, magazynująca i filtrująca wodę i w miarę potrzeb oddająca parę wodną do środowiska. Para wodna wraca na

Nie tylko król puszczy

Ponad sto lat temu zginął ostatni żyjący na wolności w Polsce żubr. Dziś w naszym kraju żyje ich prawie 2,5 tysiąca. Do powrotu króla puszczy przyczyniły się Lasy Państwowe, które dbają również o inne gatunki zagrożone wyginięciem

W 1919 r., kilka miesięcy po zakończeniu I wojny światowej, w Puszczy Białowieskiej pozostał tylko jeden żyjący na wolności żubr. Ostatni w Europie (nie licząc żubrów kaukaskich – te wyginęły w 1927 r.). 700 białowieskich zwierząt nie przetrwało przemarszów kolejnych armii przez te tereny. Znacznie wcześniej żubry wymarły niemal w całej Europie. W Polsce były chronione prawem – Statuty Litewskie wydane przez Zygmunta Starego w 1532 r. przewidywały karę śmierci za zabicie żubra.

Ostatni żubr na wolności w Polsce, ten, który ocalał podczas wojny, zginął z rąk kłusownika wiosną 1919 r. Jak to się stało, że dziś w Polsce żyje 2429 żubrów, z czego ponad 200 w hodowlach zamkniętych? Jak udało się uratować ten gatunek i jaką rolę w jego reintrodukcji odegrały Lasy Państwowe? Jak LP troszczą się o zagrożone gatunki?

POWRÓT KRÓLA PUSZCZY

Na szczęście w latach 20. i 30. XX wieku kilkadziesiąt zwierząt znajdowało się w różnego rodzaju prywatnych ogrodach zoologicznych i zwierzyńcach. Obecnie żyjące w Europie żubry pochodzą od 12 zaledwie osobników.

Apel o stworzenie międzynarodowej organizacji na rzecz ochrony Bison bonasus po raz pierwszy padł podczas Międzynarodowego Kongresu Ochrony Przyrody w Paryżu w 1923 r. – postulował to polski przyrodnik Jan Sztolcman. Tak powstało Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubrów. W 1929 roku w Puszczy Białowieskiej pojawiły się pierwsze zwierzęta w specjalnie przygotowanym dla nich rezerwacie. Jak tłumaczy prof. Wanda Olech z Katedry Genetyki i Ochrony Zwierząt Instytutu Nauk o Zwierzętach SGGW, koordynator merytoryczny projektu „Kompleksowa ochrona żubra w Polsce” (2019–2023)

i jednocześnie prezes Stowarzyszenia Miłośników Żubrów, reintrodukcja gatunku nie byłaby to możliwa, gdyby nie Lasy Państwowe, które jako instytucja istniały już przed wojną. „Żubry potrzebują miejsca, a znalazły je na terenie zarządzanym przez LP. Na restytucję potrzebne były także pieniądze. Choć trudno powiedzieć, kto finansował sprowadzenie zwierząt, to wiadomo, że na żubryłożyło ówczesne Ministerstwo Rolnictwa, któremu LP były podporządkowane. Żubry potrzebują też opieki na co dzień – a zaopiekowali się nimi pracownicy leśni. Zawsze uważałam, że żubr w Polsce jest bezpieczny właśnie dzięki temu, że opiekują się nim Lasy Państwowe. Gatunkowi potrzebne są przestrzeń, kompetentna opieka oraz pieniądze. To wszystko zapewniają LP” – mówiła prof. Olech w wywiadzie dla „Głosu Lasu”.

Od tego czasu Lasy Państwowe opiekują się żubrami. Obecnie jest realizowany projekt „Kompleksowa ochrona żubra w Polsce” (2019–2023) finan-

sowany w większości z funduszy Unii Europejskiej z programu Infrastruktura i Środowisko w ramach Funduszu Spójności. Jego budżet to łącznie 34 mln zł. W ramach projektu opieką w Polsce jest objęte 82 proc. krajowej populacji żubra.

Co zakłada projekt? Jednym z jego zadań było tworzenie wolnych populacji żubrów w Puszczy Rominckiej i w Lasach Janowskich. Bo żubry na wolności żyją dziś nie tylko w Puszczy Białowieskiej, ale także m.in. w Puszczy Knyszyńskiej, Puszczy Boreckiej, Bieszczadach, zachodniej Polsce, Puszczy Augustowskiej. W sumie w Polsce żyje 2429 żubrów, jedna czwarta wszystkich na świecie.

GŁUSZCE, CIETRZEWIE I ŻÓŁWIE

Król puszczy nie jest jednym zagrożonym gatunkiem, który chronią i którym się opiekują Lasy Państwowe. Podejmując własne projekty, LP pomagają wybranym gatunkom zwierząt i roślin zasiedlić miejsca, gdzie gatunki te wyginęły, lub gdzie są zagrożone wyginięciem



FOT. ADRIAN STOK



FAKTY O ŻUBRACH

Żubr *Bison bonasus* to największy ssak Europy. Dzięki wysiłkowi naukowców i leśników, został uratowany ze skraju wymarcia.

Byki są później zbudowane niż krowy, a na grzbiecie mają charakterystyczny garb, nadający im imponujący wygląd.



Online

Życie stada żubrów można podglądać dzięki transmisji online z polany położonej na skraju Puszczy Białowieskiej w Nadleśnictwie Browsk.

www.lasy.gov.pl/zubr

Mają dość słaby wzrok, ale za to dobrze rozwinięty węch.



W Polsce żyją 1873 żubry*

Z tego aż 1635 na wolności. Najnowsze, szóste wolne stado zostało utworzone w 2018 r. w Puszczy Augustowskiej.

Kiedyś istniały odrębne podgatunki żubrów: **nizinny** (białowiecki) i **kaukaski** (górski). Obecnie większość polskich żubrów należy do podgatunku nizinnego, tylko bieszczadzkie zwierzęta są mieszańcami nizinno-kaukaską.

Futro składa się z trzech warstw, zapewniając świetną izolację podczas zimy. Gdy robi się ciepło, linieją i zmieniają sierść na letnią.

długość tułowia
300 cm

wysokość w kłębie
180 cm

Lasy dla żubra

Zwiększenie liczby wolnych stad żubrów w Polsce, stworzenie banku genów, rozprzestrzenienie tych zwierząt za granicę, monitoring i opieka – to tylko niektóre z założeń „Kompleksowego projektu ochrony żubra przez Lasy Państwowe”, na który przewidziano ponad 41 mln zł.

Poza podstawowym celem, jakim jest zwiększenie populacji żubra w Polsce i na świecie, przedsięwzięcie ma doprowadzić do poprawienia stanu zdrowotnego tych ssaków, a także zwiększyć społeczną świadomość na temat potrzeb i metod ochrony gatunku oraz zasad jego bezkonfliktowego współistnienia z człowiekiem.

Sirona projektu:

wisent.org



Samiec waży prawie

800 kg



Samica **550 kg**



18-24 lata

Samice żyją dłużej niż samce.



50 m

Pamiętaj, to dzikie zwierzęta! Dla bezpieczeństwa zachowaj dystans.

80% jego pokarmu to trawy i rośliny zielne. Je także gałązki, liście i korę drzew oraz krzewów.

50 kg dziennie



Dźwięki wydawane przez żubry nazywamy chruczeniem.

Potrafi biec do

60 km/h



ciąża trwa

9 miesięcy

Cielęta rodzą się między majem a lipcem.

* dane na początek 2018 r., Księga Rodowodowa Żubrów

Opracowanie: Mika Frankowska dla Centrum Informacyjnego Lasów Państwowych 2018

(restrykcje). Dotyczy to m.in. drzew i krzewów – cisa, sudeckich jodeł, jarzębu brekinii. A także np. głuszca, pięknego ptaka wpisanego do Polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt jako gatunek krytycznie zagrożony, i cietrzewia, ptaka na granicy przetrwania, znajdującego się pod ścisłą ochroną (obecnie na wolności żyje w Polsce ok. 500 osobników). Działania na rzecz ochrony tych ptaków są prowadzone w ponad 20 nadleśnictwach.

Leśnicy, starając się wzmocnić populację obu gatunków ptaków, prowadzą np. ośrodki hodowli głuszca (nadleśnictwa Wiśła i Leżajski) oraz cietrzewia (Nadleśnictwo Spychow), dzięki czemu wypuszczane młode ptaki mogą zasilić lokalne populacje. Starają się utrzymać lub odtworzyć warunki siedliskowe, wybierane przez oba gatunki, i podejmują działania w celu ograniczenia liczby drapieżników mogących zagrozić tym chronionym ptakom.

Powrót żubra do polskich lasów jest bez wątpienia wielkim sukcesem ochrony przyrody, ale niejedynym.

Nie tylko ptaki znajdują się w kręgu zainteresowania leśników – kolejnym przykładem ich starań jest właśnie się w ochronę żółwia błotnego – objętego ścisłą ochroną od 1935 r. jedyne go gatunku żółwia, który naturalnie występuje w naszym kraju. Jednym z działań jest tworzenie rezerwatów – taki kolejny rezerwat, Czarne Doły, został utworzony w ostatnim dniu roku 2022 r. Większość jego powierzchni znajduje się na terenie Nadleśnictwa Karczmą Borowa w Wielkopolsce. Co robią tam leśnicy? M.in. prowadzą monitoring populacji żółwi i realizują działania związane z tzw. małą

retencją, by utrzymywać stałe piętrzenie wody. Dzięki temu miejscowe żółwie będą miały stabilne warunki do życia.

Obecnie najwięcej żółwi błotnych występuje na Polesiu w kilku nadleśnictwach, a także w Puszczy Koziennickiej.

Lasy Państwowe od lat działają również na rzecz ratowania gatunków, których liczebność znacznie zmalała, takich jak zając i kuropatwa. Jak? Poprzez programy odbudowy populacji zwierzęny drobnej i zachowania bioróżnorodności realizowane w ośrodkach hodowli zwierzyny Lasów Państwowych. Chodzi o hodowlę i wypuszczanie zwierząt, co przyczyniło się do ustabilizowania tendencji spadkowej liczebności zająca i - w mniejszym stopniu - kuropatw.

Powrót żubra do polskich lasów jest bez wątpienia wielkim sukcesem ochrony przyrody, ale niejedynym. Lasy Państwowe mają w tym swój znaczący udział.



Las Państwowe

W KLIMACIE PRZYRODY

Lasy rosną na niemal 30 proc. powierzchni Polski.
Są domem dla dwóch trzecich wszystkich gatunków
organizmów występujących w naszym kraju.
To kluczowy element polskiej przyrody.



Fot. Tomasz Szczansny

LAS MNIE RUSZA

Lasy to idealne miejsce do wypoczynku
i uprawiania sportu. Leśnicy przygotowali
w nich wiele udogodnień, takich jak parkingi
leśne, wiaty, szlaki piesze i rowerowe.
Zapraszamy do lasu!

Fot. Shutterstock.com/Blazej Lysak

Z NATURY RZECZY

Produkty pochodzące z lasów to synonim
naturalności i zdrowego stylu życia. Leśnicy
wiedzą, jak z nich korzystać w taki sposób,
by zachować trwałość lasów.

Fot. Jarosław Ramucki

www.lasy.gov.pl

entasa.pl 2657136137



Piotr Gociek

Czy jest nam potrzebny kolejny serwis streamingowy? Tego pewien nie jestem, ale jestem pewien, że potrzeba nam serialu „Yellowstone”

To więcej niż serial, to całe telewizyjne uniwersum stworzone przez Taylora Sheridana, jedną z największych gwiazd dekady w amerykańskiej rozrywce. Z zadowoleniem witam zatem w SkyShowtime – wystartował 14 lutego – „Yellowstone” i całą rodzinę rozmaitych do niego dodatków: miniserię „1883” oraz świeżutki pierwszy sezon innego prequela: „1923”, którego premierą kusi nowy gracz na rynku w swoich materiałach promocyjnych.

Trochę o kuszeniu: jeszcze zanim oficjalnie ogłoszono start nowego serwisu, miałem podejrzenia, że coś się szykuje, kiedy już jakiś czas temu niektóre sezony seriali kupowanych od Paramount przestały się – mimo wcześniejszych zapowiedzi – pojawiać u polskiej konkurencji dokonującej akwizycji za Atlantykiem. Tajemnica wyjaśniona: szykowano się do odpalenia własnego serwisu, w nim zaś znajdują się produkcje Universal Pictures, Paramount Pictures i DreamWorks Animation, Paramount+, Showtime, Peacock, Nickelodeon i Sky Studios. Największym magnesem okazał się w chwili startu „Top Gun: Maverick”, a także obietnica dożywotniej promocji dla pierwszych użytkowników (50 proc. ceny regularnej, co oznacza, że można zacząć oglądać za 12,49 zł miesięcznie).

CIEKAWY SERIALE

Filmy Universalu i Paramountu znamy z kin, ten ostatni utrzymuje też w polskiej kablówce kanał telewizyjny Paramount Channel. Dzieciaki znają doskonale z kolei kanał Nickelodeon. Produkcje Peacock i Showtime trafiały do nas dotąd poprzez rozmaite serwisy i telewizje premium, od HBO, przez Amazon, do platformy NC+. Ze względu na zawarte wcześniej umowy licencyjne część tych produkcji pozostanie na razie tam, gdzie

Kevin Costner
w „Yellowstone”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wichry nowoczesności

była, wróci do SkyShowtime dopiero po wygaśnięciu licencji.

Nowy serwis będzie także nowym domem dla lokalnych produkcji HBO. W połowie ubiegłego roku ogłoszono, że jednym z efektów wielkiej globalnej fuzji HBO Max i Discovery+ będzie rezygnacja przez tę pierwszą markę z inwestycji w nowe filmy i serie w Skandynawii, Europie Środkowej, a także Turcji i Holandii. Część europejskich tytułów wyprodukowanych w ostatnich latach przez HBO zasila teraz SkyShowtime, łącznie z serialami, które jeszcze nie miały oficjalnej premiery – jak „Warszawianka” Jacka Borcucha według scenariusza Jakuba Żulczyka (czeka na premierę już niemal dwa lata).

Krótki subiektywny przegląd powodów do zainteresowania: z oferty Showtime szczególnie ciekawie wygląda powrót seriali „Ray Donovan” czy „Penny Dreadful”. Z biblioteki nowości Paramount+ – nowa odsłona „Star Treka” („Strange New Worlds”) czy serial „The Offer” o kulisach kręcenia „Ojca chrzestnego” (to nie dokument, to soczysty dramat). Sky, czyli brytyjskie ramię nowego serwisu, wzbogaca nowego gracza m.in. znanymi już z polskiego rynku serialami „Gangi Londynu” czy „Patrick Melrose” oraz nową wersją „Kukułek z Midwich” wedle klasycznej powieści SF Johna Wyndhama. Długo by wymieniać, zainteresowani zapewne i tak sami szybko sprawdzą i zdecydują, czy mają ochotę na nową subskrypcję.



Kadr z serialu „1883”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ Ja tymczasem powracam do Taylora Sheridan, bo udostępnienie w jednym miejscu niemal wszystkich jego dokonań telewizyjnych jest rzeczą ważną, a – co istotniejsze – będzie dla widza bardzo satysfakcjonujące. Postać to wielce ciekawa: aktor, który przez dekadę (1995–2005) błąkał się po pojedynczych odcinkach różnych seriali, znalazł potem na dłużej przystań w produkcjach „Veronica Mars” i „Synowie anarchii”, aż wreszcie zmęczony telewizyjną rutyną postanowił zabrać się do pisania scenariuszy i reżyserii.

Pierwsza próba: mikrobudżetowy horror „Vile” (2011), którego sam nie uważa za oficjalny debiut. A potem było grubo: scenariusze do filmów „Sicario” (2015) i „Sicario 2: Soldado” (2018), nominacja do Oscara (i wielu innych nagród) za scenariusz filmu „Aż do piekła” („Hell or High Water”, 2016). No i świetny „oficjalny” debiut reżyserski – film „Wind River. Na przekłętej ziemi” („Wind River”, 2017). W moim subiektywnym rankingu oscarowym wskazywałem wtedy „Wind River” jako jeden z najlepszych, acz pominiętych dramatów roku. A gdy ukazał się w Polsce na DVD, pisałem w „Do Rzeczy” (nr 13/2018) o Sheridan: „nietuzinkowy reżyser, na pewno jeszcze nieraz o nim usłyszycie”.

Cały świat usłyszał. Latem 2018 r. miała miejsce premiera serialu „Yellowstone”, który okazał się jednym z największych sukcesów w dziejach amerykańskiej

telewizji. Taylor Sheridan pisał scenariusz pięć lat, w pewnym momencie proponując produkcję telewizji HBO, która odrzuciła ofertę. Tak domem sagi o rodzinie Duttonów stał się Paramount.

W „Wind River” Sheridan pokazał wielką miłość do amerykańskich pejzaży, zachwyt nad tym, co zostało z dzikich krajobrazów; otoczenie odgrywało w jego opowieści rolę równie ważną jak bohaterowie. W scenariuszu do pierwszego „Sicario” pokazał, że umie tworzyć mocne postacie kobiece, w „Aż do piekła” zaprezentował swój znak firmowy: męskie dialogi o życiu pozwalające na rozwinięcie talentu aktorom (Jeff Bridges też nominowany był do Oscara za pracę w tym filmie). Wszystkie te rzeczy, plus umiowanie do klasycznego amerykańskiego gatunku, jakim jest western, stworzyły „Yellowstone”, ostatnią chyba na taką skalę opowieść o wspaniałym Dzikim Zachodzie.

A wydawać by się mogło, że to powtórka z rozrywki: „Dynastia” spotyka „Sukcesję”, tyle że w zapierających dech widokach górzystej Montany. Rodzina Duttonów gospodarzy gigantycznym ranchem od ponad stulecia, aktualny patriarcha, grany przez Keviną Costnera, to John Dutton III. Nie każdy dziedzic miał na imię John, historia rodziny to już sześć pokoleń. No i na scenę wkracza już siódme. Dzieci pana Duttona III niekoniecznie muszą jednak podzielać jego pogląd na to, jak chronić rodzinną spuściznę i w ogóle co z nią dalej zrobić.

Duttonowie są klasycznymi przedstawicielami zożydzonych przez popkulturę (a wcześniej przez socjalistów i komunistów) „posiadaczy ziemskich”. „Ziemia jest wszystkim” – powtarzają kolejne pokolenia rancherów. Ziemia to własność, własność to wolność. W dzisiejszym świecie, pożerany przez korporacje i różne rodzaje systemów teoretycznie opiekuńczych, a w istocie niewolących, to hasło brzmi jak herezja. Dzieje Duttonów w XXI stuleciu są więc dziejami nierównej walki z nowoczesnością, może raczej postnowoczesnością, pokazującą swoje najbrzydsze oblicze. Zatem korporacje, zatem firmy górnicze, zatem chętni na budowę stacji benzynowych i supermarketów kontra ostatni z wielkich rancherów. A także polityczne machinacje, zwyczajna chciwość i zawiść – lista wrogów Duttonów jest długa. Oczywiście na pierwszy plan wysuwają się kłopoty rodzinne, zresztą sam Sheridan przyznaje – i nie wstydy się tego – że „Yellowstone” zawdzięcza tyle samo westernowi, co operze mydlanej. Ale wspomnijmy, że melodramat pogranicza to przecież gatunek na wskroś amerykański, od powieści Jamesa Fenimore’a Coopera do kinowego hitu Edwarda Zwicka „Wichry namietności”. Sheridan rozumie doskonale siłę tego gatunku, zna jego reguły, wie, jak się to robi. A miliony widzów za to wszystko „Yellowstone” pokochały.

Taylor Sheridan poszedł jednak dalej, tworząc przedsięwzięcia, które na pierwszy rzut oka robią wrażenie maszynki do wyciskania dodatkowych pieniędzy z wielkiego hitu, a tak naprawdę układają się w wielką amerykańską sagę podboju Zachodu. W pomyślonej jako zamknięta całość serii „1883” opowiedział o tym, jak rodzina Duttonów trafiła do Montany. Prerażająca i zarazem piękna jest to opowieść. Obsada wprost ze snu rednecka, Margaret i Jamesa Duttonów grają legendy country – Faith Hill i Tim McGraw (prywatnie szczęśliwa para), ich przewodnikiem w dziczy jest weteran westernów Sam Elliott (jako pracownik agencji Pinkertona).

„1883” przypomina – co jest dziś absolutnie niepoprawne politycznie – że Indianie nie byli jedynymi cierpiącymi XIX stulecia w Ameryce. Opowieść o wielomiesięcznej wędrówce europejskich imigrantów ku wymarzonemu Oregono-

wi jest z jednej strony rewią popularnych obrazków westernowych (pędzenie bydła, łowy na bizona, poskramanie mustangów, pojedynki z bandytami, dobrzy Indianie, źli Indianie), a z drugiej tragiczną historią, w której trup ściele się gęściej niż w „Grze o tron”. Rzadko w westernach, skupionych na przygodzie (kiedyś) lub odrabianiu ideologicznej pańszczyzny (dzisiaj), przypomina się, jak samobójczym, szaleńczym przedsięwzięciem była dla zdecydowanej większości przybyszów zamiana życia w Europie na trudy Ameryki. Dziś NASA opowiada, że lot na Marsa zajmie człowiekowi ok. siedmiu miesięcy. Wędrowka ludów na Zachód zajmowała dłużej; czytałem z uwagą w muzeum linii transatlantyckiej w Antwerpii (Red Star Line) dzienniki i listy Polaków podejmujących ten wysiłek. Gdzieś z kresów, z zaboru rosyjskiego, wozami i pieszo do portów na Bałtyku, statkiem do Wielkiej Brytanii, potem do USA, potem kwarantanna na Ellis Island, wreszcie wiele miesięcy wędrowki przez kontynent. Albo inaczej – przez pół Europy do Hamburga albo do Antwerpii, stąd statkami do wybrzeży Teksasu i dalej w wozach lub bez nich, z dobytkiem lub bez, byle dalej, w poszukiwaniu własnej ziemi.

Duttonowie i im podobni nie byli oczywiście na kontynencie pierwsi – przypomną obrońcy praw Indian. Tak, ale w niczym nie umniejsza to cierpienia ich i im podobnych. Umierających od su-
szy, powodzi, tornada, głodu, kuli banity,

strzały Indianina. Chciałoby się rzec: dziesiątkowanych, ale to zbyt łagodne określenie; na miejsce często docierała niewielka część tych, którzy wyruszyli. Sheridan dopasował do tematu ton opowieści: 10-odcinkowy serial „1883” opowiedziany jest powolnym, elegijnym rytmem, kolejne pożegnania przeważają nad spotkaniem z nowym życiem, nowe życie nie jest ani trochę przyjazne: ta ziemia chce nas zabić, rośliny są niejadalne, potoki suche – mówi jedna z bohatererek.

SAGA „YELLOWSTONE”

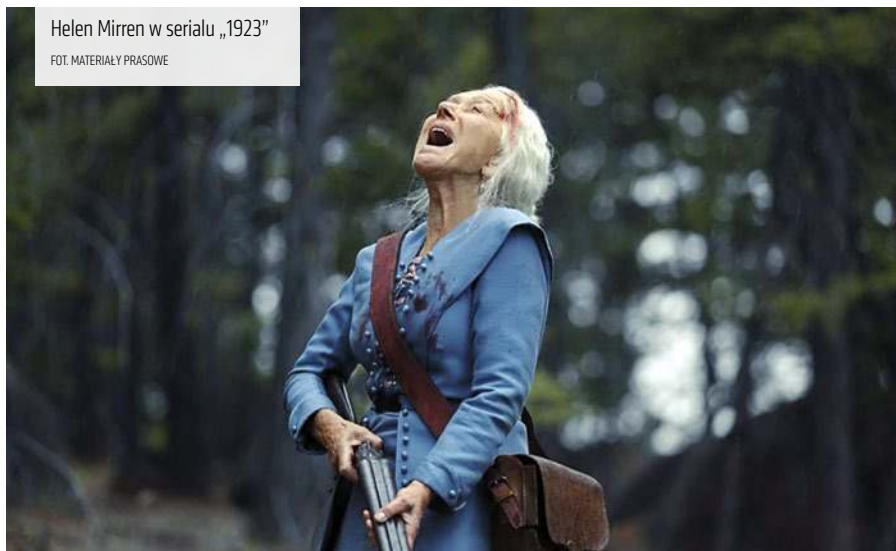
Najnowszym dodatkiem do telewizyjnego uniwersum „Yellowstone” jest z kolei serial „1923”, w którym trafiamy do świata pomiędzy: Duttonowie już są bogatymi i wpływowymi ranczermi w Montanie, ale świat dookoła nie jest dużo bardziej przyjazny. Tyle że zamiast Indian i banitów teraz chrapkę na ich ziemię mają inni hodowcy oraz inwestorzy szukający w górach złota. Minęło niemal pół wieku, w miastach jest prąd i gaz, ale sprawiedliwość dalej trzeba wymierzać samemu, rewolwerem i sznurem. Inaczej można się jej nigdy nie doczekać. Jacoba Duttona gra Harrison Ford, jego żonę, Carę – dama Helen Mirren. Jak pewnej nocy przy ogniu opowiada Jacob, tak zbudowany jest świat i tak powstawała każda cywilizacja: miasta budowane na ruinach miasteczek, miasteczka budowane na ruinach wsi, wsie budowane na gruzach jaskiń. Dutton senior nie pochwała tego porządku rzeczy, ale skoro

jest, jak jest, to robi, co może, by zapewnić rodzinie przetrwanie. A kluczem jest ziemia. Pierwsze odcinki „1923” pojawiły się już w SkyShowtime, cały sezon liczył ich będzie osiem. Zapowiedziano już drugi sezon.

Saga „Yellowstone”, kochana przez widzów, naraziła się na kąśliwe uwagi amerykańskich krytyków i liberalnych publicystów. Wykpiwana jako „serial dla rednecków”, „ulubiony serial republikanów” itd. w istocie dotyka kwestii kluczowej dla kształtu dzisiejszego świata, ale do znanych problemów podchodzi z innej, niedostrzeganej przez lewicę strony. Cóż z tego, że Duttonowie do biednych nie należą – walczą z lewianem nowoczesności i turbokapitalizmu tak samo jak drobni ranczerzy czy pozbawiani etatów pracownicy, zamieniani w niewolników na śmieciowych umowach. Powtórzmy: ziemia to własność, własność to wolność, a niczego nie nienawidzą dziś korporacje tak bardzo jak tych, którzy chcą bronić swojej wolności. A gdy spojrzymy na współczesny fetysz – ochronę planety, ocalenie natury – to paradoksalnie Duttonowie robią w tej sprawie więcej od niejednego wegańskiego aktywisty. Bronią amerykańskiej dziczy przed buldożerami i autostradami, tak jak w XIX-wiecznej Anglii to arystokracja broniła łąk i lasów, a lud domagał się, by wszystko wyciąć i zbudować fabryki i młyny, bo pilnie potrzebne są miejsca pracy. Zielony konserwatyzm narodził się grubo przed Rogerem Scrutonem.

Trudno w to uwierzyć, ale popkulturowy fenomen, którym jest „Yellowstone”, nie doczekał się nigdy żadnych istotnych nagród. Żadnych Złotych Globów, żadnych nagród Emmy (jedna nominacja w drugorzędnej kategorii), choć liczy już pięć sezonów (a będzie jeszcze przynajmniej jeden). I oto w „1923” zaczynają się pojawiać tony modne – katolicka szkoła dla Indian jest miejscem na ziemi, mocne postacie kobiece przeważają nad męskimi. Czy poprawi to w nowojorskich salonach opinię wszechświatowi Duttonów? Nie wiem i mam to w nosie. Przyjemności oglądania nikt nam nie zepsuje – ani hejterzy, ani rewizjoniści. To dla mnie największy skarb nowego serwisu SkyShowtime. Pokolenie wychowane na Karolu Mayu i Alfredzie Szklarskim tak już ma.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Helen Mirren w serialu „1923”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Bajka afrykańska



★★★★★
REŻ. GINA PRINCE-BYTHEWOOD
„KRÓLOWA WOJOWNIK” („THE WOMAN KING”)
USA 2022

wyst. Viola Davis,
 Thuso Mbedu

To już nie jest historia, co nie zmienia faktu, że w wielu chwilach oglądanie filmu „Królowa wojownik” jest zajęciem fascynującym. Kolory, choreografia, sceny bitewne, zdjęcia – trafiamy w środek świata tak odległego od naszego i tak zarazem barwnego, że trudno się nie fascynować. Tyle że jest to ten rodzaj fascynacji, który rezerwujemy dla „Gry o tron” – dla fantazji dla dorosłych. I tym właśnie jest film Giny Prince-Bythewood – produktem fantazy.

Jednak recenzje amerykańskiej i brytyjskiej prasy były entuzjastyczne. Eurolewica wtórowała – na łamach portalu Euronews tytuł: „Jeśli miałbyś zobaczyć w tym roku tylko jeden film, wybierz ten”. Otóż nie i jeszcze raz nie. Doświadczenie jest fascynujące, bo głęboko egzotyczny jest świat królestwa

Dahomej w XIX stuleciu oraz elitarnej kobiecej armii chroniącej króla i kraj. Dobra jest Thuso Mbedu jako młodzianka i wychudzona świeżo upieczona adeptka oddziału afrykańskich amazo-niek. Krytycy chwalą Violę Davis jako generała Naniskę – jestem wstrzemięźliwy, za bardzo przypomina tu weterana marines. No i to Mbedu kradnie show. I zaskakująco wieloznaczny jest John Boyega jako król Ghezo (a pamiętamy go z nowych „Gwiezdnych wojen”, co szczególnie dobrą rekomendacją nie jest).

Ciała reszta natomiast, szanowni państwo, to po prostu zakalec, i to najgorszego rodzaju: ideologiczny. Prawdziwa historia Afryki idzie do kosza, handlujący niewolnikami Dahomejczycy stają się nagle pierwszymi reformatorami. Winą za całe

zło obwinieni zostają oczywiście Europejczycy, choć afrykańskie plemiona i państewka przez stulecia wyrzyły się w pień oraz niewoliły i bez białych. Jedyną mocą utrzymującą świat w całości jest specyficzna „girl power”, czyli owe wojowniczkę, które są czymś w rodzaju Rycerzy Jedi (nie mogą kochać, mieć rodziny, wieść zwykłego życia, jeno ćwiczyć machanie mieczem i utwierdzać się w słuszności obranej drogi).

Historyczna hucpa jest taka, że nawet historycy w ogarniętych wokemanią Stanach zaczęli wysuwać zastrzeżenia. Akademia oscarowa zignorowała film i poskąpiła jakichkolwiek nominacji. Nie dziwi mnie to, bo naiwności scenariusza są bolesne i wszystko jest tu mocno naciągane. Zostaje spektakl, ale to zbyt mało, by wyciągnąć tę bajkę ponad przeciętność. ☹☹



NOWE SERIALE: „ALASKA DAILY”

Nowojorska dziennikarka popada w nielaskę: zaryzykowała śledczy tekst oparty na rewelacjach z jednego tylko źródła, które okazało się nieweryfikowalne. Czas na krok wstecz i odbudowanie reputacji w lokalnym dzienniku na Alasce, gdzie próbuje rozwikłać zagadkę przestępstw, których ofiarami

padają indiańskie kobiety. W roli głównej Hilary Swank, zdobywczyni dwóch Oscarów (za role w „Nie czas na łzy” i „Za wszelką cenę”). Rzecz inspirowana prawdziwą historią. ☹☹

Piotr Gociek
 • reż. Tom McCarthy „Alaska Daily”; USA 2022,
 wyst. Hilary Swank, Jeff Perry, Grace Dove

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „Za lepsze jutro” („Hello Tomorrow!”), USA 2023



• sezon 10 „Czarna lista” („Black List”)



• sezon 2 „Carnival Row”; USA 2023



On coś knuje

HBO max

Anglosasi nie potrafią przeboleć, że Kim Philby, człek błyskotliwy i brytyjski do szpiku kości, okazał się płatnym zdrajcą, pachółkiem czerwonej Rosji. Wracają więc do kluczowego momentu afery, gdy przyjaciel podwójnego agenta (też pracujący na tajnym etacie) przeprowadził z nim w Libanie rozmowę ostatniej szansy. Centrala kusiła syna marnotrawnego amnestią i szansą na odkupienie win, lecz on wybrał ucieczkę. W rezultacie Nicholas musi się spowiadać wścibskiej paniusi z MI5, a Kim – opiekunom z KGB. Mogli przecież, za plecami szefów, zawrzeć gentleman's agreement. A przecież już Mickiewicz odkrył, że szpie-

gowanie jest toksycznym zajęciem. Czytelnicy powieści le Carrégo wiedzą też, że szpiegowanie nie jest sexy, a tajne służby najskuteczniej łamią kręgosłupy moralne swoich pracowników.

Rozciągnięta na sześć odcinków spy story szuka odpowiedzi na pytanie: „Kim był Kim?”.

Philby przeszedł na ciemną stronę mocy, bo będąc typowym narcyzem, uważał, że zasady obowiązują tylko innych. W jego entuzjasm dla idei marksizmu-leninizmu wątpili nawet Sowietci. Pozostaje nadzieja, że człowiek winny aresztowań i śmierci setek, jeśli nie tysięcy antykomunistów cierpiał w ojczyźnie światowego proletariatu piekielne męki. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
„SZPIEG WŚRÓD PRZYJACIÓŁ”
 („A SPY AMONG FRIENDS”)
WIELKA BRYTANIA/USA 2022

wyst. Damian Lewis,
Guy Pearce, Anna
Maxwell Martin



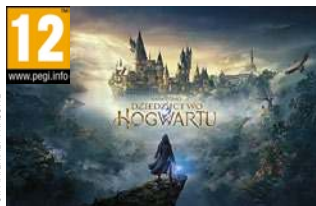
FOT. MATERIAŁ PRACOWNE

GRA TYGODNIA: „DZIEDZICTWO HOGWARTU”

Na porządną grę (umówmy się: dotychczasowe niczego nie urywały) z uniwersum Harry'ego Pottera czekaliśmy długo. Nareszcie jest! Dostaliśmy dużą, klimatyczną, szalenie grywalną, pięknie wyglądającą grę AAA. Z nawoływań do bojkotu „Dziedzictwa...” – bo

Rowling jest transfobką, jest już passé – nici. Gra sprzedaje się jak szalona, na liście Steam'a jest drugim po polskim „Cyberpunku” singlowym tytułem, w który grało jednocześnie najwięcej osób. Nie dziwiu nic. To magiczna produkcja. Gdyby tak jeszcze zadania

FOT. MATERIAŁ PRACOWNE



★★★★★
poboczne były bardziej przemysłane...
©© **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** RPG akcji, TPP
• **Platforma:** XSX, PS5 PC, niebawem: XONE, PS4, NS
• **Producent; wydawca PL:** Avalanche Software, Cenega

BUTY TERRORYSTY

CANAL+



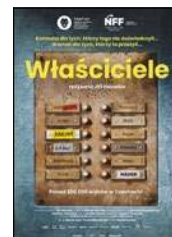
★★★★★
REŻ. CÉDRIC JIMENEZ
„LISTOPAD”
 („NOVEMBRE”)
FRANCJA 2022

wyst. Jean Dujardin, Anaïs Demoustier,
Lyna Khoudri

Każda żałoba ma swój kres. Sześć lat po tym, jak mordercy z ISIS zaatakowali Paryż, „stolicę ohyd i perwersji”, powstał film traktujący o ludziach, którym powierzono misję wytropienia i unieszkodliwienia fanatyków. Rekonstrukcja śledztwa nie wchodziła w grę, więc Cédric Jimenez nakręcił dość schematyczny dreszczowiec. Detektywi są, jak należy, niewyspani. Z mozołem oddzielają ziarna od plew i fałszywe alarmy od obywatelskich donosów. Naciskani przez polityków, czasem tracą cierpliwość, wchodzą sobie w paradę oraz łamią procedury. Akcja długo nie może złapać właściwego rytmu. Dujardin, twarz numer jeden francuskiej kinematografii, daje radę. Ale czy naprawdę na Sekwanę nie mają innego aktora, który sprostaby roli starzejącego się twardziela? Morał jest dość przewrotny: zanim znajdziesz się na celowniku służb, stań przed lustrem i sprawdź, czy nie za bardzo rzucasz się w oczy. ©©

SĄSIEDZI

KINO



★★★★★
REŻ. JIŘÍ HAVELKA
„WŁAŚCICIELE”
 („VLASTNÍCI”)
CZECHY 2019

wyst. Klára Melišková, Jiří Lábus,

Tereza Ramba

Czechom chyba znudził się pielęgnowany od dziesięcioleci pastelowy wizerunek narodu pocziwych piwoszy, skoro chcą oglądać takie filmy. Jiří Havelka, pisząc scenariusz „Właściciele”, użył żółci zamiast atramentu. Zebranie lokatorów nadgryzionej zębem czasu kamienicy posłużyło mu jako pretekst do sponiewierania tradycyjnych mieszczańskich wartości. A te, jak wiadomo, nad Wełtawą cenione są bardziej nawet od bajek o Rumcajsie. Jest śmiesznie i straszno. Choć dom wymaga generalnego remontu, to zainteresowani nie są w stanie porozumieć się w żadnej sprawie. Zresztą, cóż to za ludzie, raczej chodzące karykatury. Łączy ich tylko jedno – potrafią dostrzec najdrobniejsze źdźbło w oku bliźniego. Filmowa wiwisekcja robaczywej czeskiej duszy w formie jest mocno teatralna. Polaka niczym nie zaskoczy, gdyż o skutkach, do jakich prowadzi wcielanie w życie idei jednomyślności, akurat wiemy wszystko. ©©

Wiesław Chełmiński

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W sam raz na stos

Wniewielkiej, kipiącej za to od emocji, książeczce wymownie zatytułowanej „Autodafe” Michel Onfray, znany z niepoprawnych politycznie poglądów (i ostrego języka) francuski filozof, nauczyciel i pisarz, prezentuje sześć dzieł uznanych za wyjątkowo niebezpieczne, groźne i toksyczne. Właśnie dlatego utrudniano im drogę do czytelnika, a skoro nie można było ich po prostu spalić, to czyniono wszystko, by zadać kłam – i książkom, i autorom.

Na początek Simon Leys (naprawdę Pierre Ryckmans) i jego „Nowe szaty przewodniczącego Mao” (1971), którymi autor – sinolog znający Chiny od podszewki – obalił rozpowszechnioną przez zachodnich maoistów tezę, jakoby rewolucja kulturalna była „cywilizacyjną zmianą paradygmatu”. Nic z tego, był to zwykły zamach stanu, który jednak pochłonął niezwykłą, bo wyrażaną w milionach, liczbę ofiar.

Numer dwa: „Archipelag Gułag” (1973) Aleksandra Sołżenicy-na i wszystko jasne. Ten mitoman, pajak, show-biznesmen, naturalnie antysemita i nacjonalista śmiał uznać za zbrodniarza nie tylko Stalina, co samo w sobie już jest grzechem nieomal śmiertelnym, lecz także Lenina i Trockiego. Bo oni wszyscy stworzyli Gułag i są jednako winni.

Kolejny tytuł – „Podróż do sedna francuskiej bolączki. Antyracizm i powieść narodowa” (1993) Paula Yonneta, porównywanego do Le Pena. Naturalnie, faszysta, „który broni bojówkarzy, kolaborantów i ideologów francuskiej skrajnej prawicy, działając pod dyktando patologicznych impulsów”.

I znów tytuł jak dzwon: „Zderzenie cywilizacji” (1996) Samuela Huntingтона, który w opozycji do Fukuyamy, swojego ucznia zresztą, nie tylko neguje wieszczony przez tamtego globalistyczny ład i koniec czegoś, co nazywamy historią, lecz także zapowiada starcie już nie ideologii (kapitalizm kontra marksizm), ale religii, kultury i cywilizacji. Zgroza!

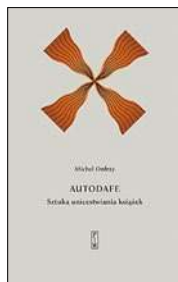
Pod piątką „Czarna księga psychoanalizy” (2005), praca blisko 40 autorów, ośmieszająca wulgarny freudyzm. A przecież w szkołach naucza się o Freudzie jako o filozofie, a zarazem twórcy metody leczniczej. Psychoanaliza rzekomo ma leczyć i uzdrawiać, a jest to w równym stopniu prawdziwe, jak stwierdzenie, że w ogóle jest nauka. Hucpa i nic więcej!

Wreszcie na koniec dzieła Sylvana Gouguenheima „Arystoteles na Mont Saint-Michel. Greckie korzenie hiszpańskiej Europy” (2008), które wywołało we Francji burzliwą dyskusję, przez naszą niezawodną „Politykę” podsumowane zdaniem: „Każdy ma takiego Cenckiewicza i Gontarczyka, na którego sobie zasłużył”. Dopóki autor interesował się zakonami rycerskimi, głównie Krzyżakami (jego książka na ten temat ukazała się po polsku nakładem Muzeum Zamkowego w Malborku), dopóty wszystko było w porządku, ale gdy śmiał stwierdzić, że ponowne odkrycie myśli greckich filozofów pod koniec średniowiecza nie było wcale zasługą uczonych muzułmańskich, bo nawet Arabowie tłumaczący Arystotelesa byli chrześcijanami (koptyjskimi lub syryjskimi), poprawni politycznie mediewiści, z dziennikarskimi „specjalistami” pospołu, zatrzęśli się z oburzenia. I natychmiast

orzekli, że autor „Arystoteles na Mont Saint-Michel” nie jest żadnym uczonym, a ignorantem i prawicowym ekstremistą. Bo przecież, powiada Michel Onfray, „Zachodu nie byłoby bez islamu”. Że jest to ewidentna nieprawda, nie miało większego znaczenia.

Przesyłanie tej arcyciekawej, błyskotliwej książki, którą jest „Autodafe”, zawiera w sobie, niestety, gorycz. Można stukać się w głowę, obserwując wyczyny kolejnych nawiedzonych „rewolucjonistów ducha”, i, z rzadka, ale jednak, nazywać ich wprost, jak na to zasługują, idiotami, ale nie zmienia to faktu, że „żyjemy w czasach drugiej ideologicznej zimnej wojny, która w gruncie rzeczy jest kontynuacją pierwszej. Stają w niej naprzeciw siebie postępowcy, którzy dążą do jednego celu – obrócenia cywilizacji w ruinę, i konserwatyści, którzy chcą zabetonować gruz, wierząc, że wszystko może pozostać po staremu”. Nic z tego, coś tu się jednak zmieniło, np. – powiada autor – rozmontowany przez Sobór Watykański II Kościół katolicki stał się już „świętej pamięci”. Tymczasem nie niknie wiara przejeżdżając w okolicach 1968 r. od Sartre’a – nazywanego przez Onfraya „poputczikiem na usługach islamskich nacjonalistów, począwszy od FLN w Algierii, a skończywszy na ajatollahu Chomejnim” – „że islam daje rewolucyjną nadzieję na przyście mesjasza. Nieważne, że niesie ze sobą antysemityzm, fallokrację, mizoginizm, homofobię, podżeganie do wojny i inne postępowe cnoty – to dla dobra historii, dla lewicowej prawdy: zniesienia kapitalizmu!”.

Do Francji niby od nas daleko, ale w istocie to żabi skok. ©©



★★★★★
MICHEL ONFRAY
„AUTODAFE.
SZTUKA
UNICESTWIANIA
KSIĄŻEK”
PIW, WARSZAWA
2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Takie buty

Trudno o dobre buty dla nieboszczyka – rozpoczyną Zyta Rudzka swą wspaniałą elegię dla... No właśnie, czy tylko Dżokeja, z którym żegna się Wera, fryzjerka męska, która zna swój fach? „Fryzury męskie dzielą się na modne i twarzowe. Każdą jedną umiem” – chwali się Wera. Ciąg się nauczyć można, czemu nie? A życia? Któż z nas nauczył się życia. A pożegnania? Któż z nas nauczył się żegnać?

Wędruje więc fryzjerka Wera w poszukiwaniu butów pośmiertnych dla Dżokeja, wspominając wspólną miłość, wspólne życie i pojedynczą śmierć. I trapiąc się, jak tu pogrzeb i stygę wyszykować. Życie kosztuje, śmierć kosztuje jeszcze więcej. A w domu pustki, co można było sprzedać – sprzedane. I, jak się okazuje, to wciąż nie wystarcza. Mało – mówi życie. Mało – mówi śmierć.

Ten monolog, ta opowieść, w której cudnie łączy Zyta Rudzka czystą poezję z rubaszością, porywy serca i plugawość języka, to jeden z najlepszych kawałków polskiej literatury ostatnich lat, może dekad. Jest Rudzka pisarką osobną, wybitną i znaczącą. Stokroć bardziej widziałbym noblowski wawrzyn na jej skroniach; w porównaniu z Rudzką opowiastki Tokarczuk zdają się jedynie wymądrza-

niem paniusi modnej, która obejrzawszy, co się w świecie nosi, postanowiła do kraju wrócić, zadać szyku i pouczać biednych tubylców.

Rudzka pochyla się nad zwykłym ludzkim istnieniem pojedynczym, ciałem podupadającym, bo w szponach starości (mistrzowsko robiła to w „Krótkiej wymianie ognia”). Wszystko tu jest – i sens życia, kochania, istnienia. I bezsens, to poczucie, że po próżnicy próbujemy lepić swoje kawałki życia, bo wszyscy tu na chwilę jesteśmy, przejazdem, a podróż kosztowna, bolesna, raz piękna, a częściej rozczarowująca.

Inie skarży się Wera, tylko mówi, jak jest, przygląda się sobie bez taryfy ulgowej, dla innych też nie ma litości, choć czasem budzi się w niej tklivość. Słowa skargi nie uroni. Przymiotniki są mało przydatne w opisie prawdziwego życia, które po prostu jest takie, a nie inne, bezprzymiotnikowe. Jest, a potem go nie ma. I my

jesteśmy, a potem nas nie ma, nie ma naszych miłości, naszych Dżokejów, naszych fryzjerskich zakładów i trzeba tylko płacić, płacić, płacić. Książka roku 2022, proszę państwa. Niech państwo wybaczą, że komunikuję to z pewnym opóźnieniem. Przemysłać musiałem. Przetrwać. ©©



★★★★★
ZYTA RUDZKA
„TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO MA ZĘBY”
W.A.B. 2022

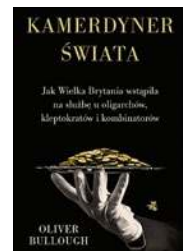
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Do sporej kolekcji książek podróżniczych dawna gwiazda grupy Monty Pythona dokłada opowieść o losach HMS „Erebus”, zaginionego podczas arktycznej ekspedycji w 1848 r.



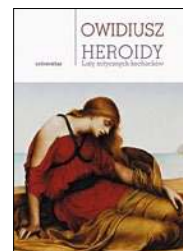
MICHAEL PALIN
„SZAŁEŃSTWO W CIEMNOŚCIACH”
FILIA

Wielka Brytania – ukończone miejsce do życia najbogatszych kombinatorów świata. Chińczycy czy Rosjanie, oligarchowie czy podejrzani handlarze – w Londynie znajdą przystań lepszą niż w Szwajcarii.



OLIVER BULLOUGH
„KAMERDYNER ŚWIATA”
W.A.B.

Penelopa pisze do Odyseusza, Bryzejda pisze do Achillesa, Dejanira do Herkulesa, Ariadna do Tezeusza. Fikcyjne listy miłosne pióra Owidiusza to klejnot poezji antyku i źródło wiedzy o epoce.



OWIDIUSZ
„HEROIDY. LISTY MITYCZNYCH KOCHANKÓW”
UNIVERSITAS

Klasyka szarpającej nerwy literatury popularnej – od tytułowego opowiadania, które zainspirowało Hitchcocka do nakręcenia głośnego filmu, do pięciu innych, równie przerażających opowieści. ©©

poleca Piotr Gociek



DAPHNE DU MAURIER
„PTAKI”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „ZWYCIĘSTWO”

Dziewięć krzepiących opowieści wojennych ukraińskich twórców, czasem z elementami fantastyki. „U nas co druga to wiedźma, a każda – wojowniczką!” – woła obdarzona magiczną mocą obrończyni Ukrainy. Jest hold dla obrońców Wyspy Węży i dla Ducha Kijowa, dla pospolitego ruszenia. Jest humor w wersji lekkiej (jak dzielny traktorek wstąpił



AUTORZY RÓŻNI
„ZWYCIĘSTWO”
STORY HOUSE
EGMONT 2023

do obrony terytorialnej) oraz w wersji hard. „Wybiliśmy wrogowi zęby, czas wyrwać mu pazury” – mówi bohater szorta zatytułowanego „Azowstał”. Oby tak właśnie się stało. ©©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pobożni gdańszczanie



FOT. MUZEUM NARODOWE W GDAŃSKU

Zgromadzone na wystawie „Pobożni i cnotliwi. Dawni gdańszczanie w zwierciadle sztuki” eksponaty (rzeźby, obrazy, wytwory rzemiosła artystycznego obecne w Gdańsku od początku XIII w. do drugiej połowy XVIII w.) podzielono dwuosiowo. Po pierwsze według funkcji, jaką eksponaty pełniły w życiu dawnych gdańszczan. Tutaj mamy trzy strefy: sztuka kościelna, obiekty związane z działalnością publiczną mieszczan, przedmioty wypełniające prywatną przestrzeń gdańskiego domu. Drugi istotny podział wyznacza reformacja – jedno z najważniejszych zjawisk

w dziejach Europy, a w mniejszej skali także Gdańska – rozgraniczając średniowiecze i epokę nowożytną. W przestrzeni wystawy obie epoki rozdziela symbolicznie portal z kościoła św. Katarzyny.

Czy wystawa pokazuje gdańszczan takimi, jakimi byli naprawdę, czy takimi, jakimi chcieli być widziani? Na tak postawione pytanie kuratorzy odpowiadają: „Dzieła sztuki nie dają pewnej odpowiedzi. Pomagają jednak zrozumieć świat ludzi, którzy żyli w Gdańsku przed nami”. Wystawa dostępna również on-line. ©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Gdańsku,
także on-line
KIEDY? do 31 grudnia



FOT. KRZYSZTOF DEJANSKI

TWORZYWO I TCHNIENIE

„Moje inspiracje – kosmos, przestrzeń, człowiek z jednej strony, a z drugiej – magia »sztuk ognia« i reguły nimi rządzących” – pisze prof. Hanna Brzuszkiewicz, ważna postać polskiej rzeźby współczesnej, związana przez wiele lat z Wydziałem Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Właśnie w Toruniu oglądać można monograficzną wystawę, na której zaprezentowano ponad setkę obiektów, których tematami przewodnimi są człowiek i kosmos. ©

GDZIE? Muzeum Okręgowe w Toruniu (Ratusz Staromiejski)
KIEDY? do 28 maja

NA SŁUCH

Sny wiolonczeli



GRZEGORZ
BRZOSZOWICZ

Debiutancki album 31-letniej wiolonczelistki.

Dobrawa Czocher pokochała wiolonczelę w wieku siedmiu lat. Skończyła dwie akademie muzyczne (Warszawa, Detmold), jest pierwszą wiolonczelistką w Neue Philharmonie w Berlinie i solistką Filharmonii Szczecińskiej. Przełomem w jej karierze były dwa albumy nagrane wspólnie z pianistką Hanią Rani.

„Dreamscapes” jest albumem niezwykłym. Niepostrzeżenie od pierwszych dźwięków „Prologue” wręcz „zasysa” naszą uwagę i wyobraźnię. Czocher nie czyni tego spektakularnymi rozwiązaniami czy nagłymi dysonansami. Muzyka natychmiast nas wabi, by unieść nas na fali sennych nastrojów. Jest

to swoista muzyka filmowa, której obrazy widzimy w sobie. Duża w tym zasługa producenta Niklasa Paschburga, który dzięki wielośladowej rejestracji wiolonczeli i studyjnej postprodukcji stworzył rozbudowaną warstwę brzmieniową nagrań. W efekcie mamy wrażenie, że słuchamy całej orkiestry, a nie jednego instrumentu.

Jest to muzyka współczesna mogąca zachwycić zarówno wielbicieli Maxa Richtera czy Hansa Zimmera, jak i miłośników elektronicznych eksperymentów. „Co działa się w krainie snu? Czy nadal tam jesteśmy? Czy wciąż jesteśmy tymi samymi ludźmi? Czy sen nas odmienił? Dokąd zawędrowaliśmy?” – pyta Czocher prowokacyjnie. ©



★★★★★
THE ROLLING STONES
„GRRR LIVE!”
MERCURY

Przez pierwsze 30 lat Stonesi wydali pięć albumów koncertowych. Przez ostatnią dekadę 19! Ten dokumentuje trasę z okazji 50-lecia istnienia grupy. Atrakcją jest udział Micka Taylora, Bruce’a Springsteena czy Lady Gagi. Dla maniaków.



★★★★★
BRAD MEHLDAU
„YOUR MOTHER SHOULD KNOW”
NONESUCH

Amerykański pianista od lat interpretuje piosenki popowe i rockowe. Ten koncertowy album poświęcił Beatlesom. Wybór utworów jest oryginalny, choć nie pozbawiony hitów. Mehldau traktuje piosenki jak standardy jazzowe. Wychodząc od melodii, rusza w śmiało, liryczne improwizacje. ©



★★★★★
DOBRAWA CZOCHER
„DREAMSCAPES”
BMG



Grzegorz Kondrasiuk

Ta „Opera...” ma być krzykiem rozpacz, ujęciem się za ofiarami

Opera za trzy grosze” jest hitem światowych scen. To z niej pochodzą melodie Kurta Weilla, wielu potrafi zanucić choć kilka nutek piosenki o Mackiem Majchrze. Ale z „Opery...” pochodzi coś jeszcze – to tutaj pada znany aforyzm: „Czym jest obrabowanie banku wobec założenia banku?”. Brecht bez zbędnych ceregieli przywłaszczył sobie parodystyczny koncept „Opery żebraczej” Johna Gaya (1728), wprowadzając doń – razem z gangsterami, charlestonem i rozwiązłą atmosferą Berlina lat 20. – swój antykapitalistyczny i komunistyczny światopogląd. Operowa heroizacja bohaterów z półświatka to sedno tego, epatującego niegdyś burżuazją, ataku w samo serce, czyli na operę i na banki.

Ale to było kiedyś. Dziś, kiedy do 100. rocznicy prapremiery brakuje pięciu lat, parodia sama zmieniała się w obiekt swojego ataku. Co się święci, przewidział już w 1929 r. mądry Boy, który po polskiej premierze napisał: „Nie lubię, kiedy teatr burżuazyjny, chcąc po prostu nabić kabzę, mizdrzy się do rewolucji”. Wystawienie tego rewolucyjnego utworu, którego właściciele praw umieją liczyć forszę i nie pozwalają na modyfikacje, wiąże się z koniecznością zabezpieczenia sporego budżetu, z odpowiednią dawką blichtru, no i z pewnym urokiem staroświeckości. Mamy i przekład, stareńki, z warstwą jeszcze z międzywojnia, gdzie dla Leona Schil-

lera dialogi tłumaczył Bruno Winawer, a teksty songów Władysław Broniewski. To już zabytek polszczyzny, do tego śpiewanej, ze szlagwortami. Dziś, choć „Operze...” gatunkowo bliżej do musicalu, spoczęła na tej samej półce, co „Madame Butterfly”, „Carmen” i „Wesoła wdówka”. Arcyperwersyjna to pozycja.

Dyrekcja Narodowego Starego Teatru, decydując się na tytuł i zapraszając Ersana Mondtaga, młodego niemieckiego reżysera, wpadła po uszy w te tarapaty, choć od razu chciała im zapobiec. Reżyser przybył z następującym konceptem: fabułę można zaktywizować poprzez nawiązania do napaści Rosji na Ukrainę, bo Mackie Majcher to dziś Mackie MaZer. To „Z” pochodzi z bojowych oznaczeń ruskich orków: w spektaklu co i rusz pojawiają się mundury, flagi i opaski z „Z”. MaZer jest emanacją uniwersalnego, inteligentnego zła, którego najnowszą odsłoną jest oligarchiczny system stworzony przez Putina. Ta „Opera...” ma być krzykiem rozpacz, ujęciem się za ofiarami. W tym sztucznym świecie, w estetyce komiksowej, z ludźmi narysowanymi o pomalowanych na białą twarzach, wśród dekoracji pożyczonych z kina ekspresjonistycznego – rangę prawdy przebijającej się przez papier i celuloid ma nagie

ludzkie ciało, torturowane i uśmiercone.

I jeszcze jedno: według twórców, zgadzających się z Brechta rozpoznaniem świata, u źródła zła stoi kapitalistyczny Lewiatan (a jest to najciekawsze pytanie, na które krakowska premiera nie udziela odpowiedzi: Czy żeby wystawiać Brechta, konieczne trzeba się z nim zgadzać?). W finale, kiedy posłaniec królowej ułaskawia Mackiego, pod szubienicę odprowadzają... samą królową. Na specjalne traktowanie, podkreślone didaskaliai eksponowanymi na wniesionej planszy, zasłużyły strofy dopisane po drugiej wojnie światowej. To „pan Krause” (czyli kapitalista) jest zwycięzcą każdej wojny: „Lecz że Ameryka / Ruską cholera zna – Może się za łby wezmą? To pachnie nową rzeźnią. A Krause włoży znów szary strój / I zdobędzie świat”.

Ale oprócz intencji twórców istnieje jeszcze sam spektakl, który nie zawsze potrafi je udźwignąć. Przyjęte założenia są bezlitosne. Bołączką stała się konieczność zaśpiewania pełnej partytury (np. znakomite aranże i wykonanie muzyki na żywo). Partytura jest obiektywna, nie rozróżnia szeregowych aktorów Starego od Rektora... Jest też w tym dramacie główna rola, bezlitosna: to Mackie

jest motorem całej akcji. Ten anty-Superman musi miazdżyć i dominować w każdej scenie. Wrzucony w przepastne odmęty wodewilu, młody Przemysław Przestrzelski robił, co mógł, nie zatonął, i za to należy mu się szacunek. W rezultacie większość ciężaru dźwiga rodzinka Peachum: Anna Radwan (Celia), Krzysztof Zawadzki (Jonatan), Magda Grażiowska (Polly). Nastąpiło prawdziwe poszukiwanie stylu Brechta, jaki to on właściwie jest, jak powinno się grać takie pocziwe rewolucyjne ramoty? Stańto na farsowej, podbitej groteską nucie. Stańto na wodewilu, tingel-tanglu. A tuż obok: poniewierane, polewane sztuczną krwią nagie ciała niemych ofiar (Kinga Verena Jeż, Piotr Mateusz Wach), w estetyzowanych, erotyzowanych układach... Ryzykowny koktajl. Ostatecznie i tak szacowne mury, plusze, no i konwencja Wielkiego Wydarzenia skrzyżowanego z korepetycjami z Brechta obezwładniły to, co miało być katartyczną deziluzją. ©©

**NARODOWY STARY TEATR
W KRAKOWIE**
**BERTOLD BRECHT „OPERA ZA
TRZY GROSZE”**
REŻYSERIA: ERSAN MONDTAG
KIEROWNICTWO MUZYCZNE:
JUSTYNA SKOCZEK
PREMIERA: 3–4 LUTEGO 2023 R.



RYSZARD GROMADZKI: W jaki sposób zdefiniowałby pan polską rację stanu wobec wojny toczącej się na Ukrainie?

BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI: To kluczowe pytanie zbyt rzadko zadawane w naszej debacie. Zdefiniowałbym ją w podstawowym zarysie tak, żeby maksymalnie osłabić Rosję, względnie wzmacniając Polskę. Jak tylko się da, korzystając z unikatowego okna możliwości, które się otworzyło, kiedy Rosja tak dalece przekalkulowuje swoje siły, nie doceniając przeciwnika i angażując się w tak trudny dla siebie konflikt, który spokojnie możemy określić mianem „drugiego Afganistanu”. Taka sytuacja geostrategiczna nie zdarza się często, możemy sobie łatwo wyobrazić, jak zupełnie inaczej wyglądałoby położenie Polski, gdyby pierwotny rosyjski plan szybkiego rzucenia Ukrainy na kolana się powiódł.

Wracając do pańskiego pytania, polską racją stanu jest więc maksymalne osłabienie i wykrwawienie Rosji, tak żeby utraciła jak najwięcej ze swojego potencjału mocarstwowego i swojego potencjału agresywnego, co oczywiście wiąże się z wieloma wariantami. Możemy sobie wyobrażać tak dalekie osłabienie Rosji, że wypada ona z grona wielkich mocarstw, o czym zresztą mówił wprost sekretarz obrony USA, Lloyd Austin. Ale możemy wyobrazić sobie także o wiele bardziej ograniczone scenariusze redukcji rosyjskiej siły w wyniku tej wojny. A także warianty jej wzmocnienia, z czasem coraz mniej prawdopodobne.

Na ile tak zdefiniowana polska racja stanu jest w pana ocenie wypełniana przez władze RP w czasie wojny na Ukrainie?

Zasadniczo jest. Polski rząd we współdziałaniu z Amerykanami i innymi sojusznikami zdefiniował podstawowy parametr naszej racji stanu. Jednak moim zdaniem nie konsumujemy go w wystarczającym stopniu. Wskazałbym tu na wiele rzeczy, które zaistniały na skutek wojny na Ukrainie. To przede wszystkim niezwykle wzrost polskich akcji politycznych i geopolitycznych, który jednakowoż jest z definicji tymczasowy. Trwa tyle, ile trwa wojna i zasadnicza rola Polski polegająca na byciu zupełnie kluczowym zapleczem operacyjnym, hubem logistycznym itd. Renta polityczna czy geopolityczna z tego tytułu może



Z Bartłomiejem Radziejewskim, politologiem i publicystą, założycielem i prezesem Nowej Konfederacji rozmawia Ryszard Gromadzki

Forteca Zachodu



FOT. MICHAŁ WOZNIAK/EAST NEWS

się skończyć wraz z tą wojną. Pytanie brzmi: Na ile trwale korzyści osiągamy? Na ile jesteśmy w stanie utrwalić ten wzrost znaczenia Polski? Mam tutaj wiele zastrzeżeń. W mojej ocenie za słabo stawiamy kwestię stałych inwestycji NATO-wskich i amerykańskich. Ściągania większych ilości ciężkiego NATO-wskiego i amerykańskiego sprzętu do Polski, nie na zasadach dostaw bieżących, lecz niemożliwych do szybkiego wycofania.

Kolejną kluczową kwestią są transfery technologiczne. Zbrojenia, które w tej chwili realizujemy, poniekąd się z nimi wiążą, mam jednak wątpliwości, czy dostatecznie skonsumowaliśmy tę opcję. Jest kwestia, jak to robimy. Czy np. dobrze policzyliśmy skutki embargo na rosyjski węgiel? Dziś wiemy, że nie, że był to romantyczny zryw, który – jeśli chodzi o koszty – został policzony po czasie. W efekcie musieliśmy na bieżąco łątać dziury w bilansie energetycznym, spowodowane przez embargo. Jest inne pytanie: Czy dobrze policzyliśmy koszty zbrojeń i transferu naszej broni na Ukrainę czy znów daliśmy się ponieść romantyzmowi porywówi?

Polska przekazuje broń na Ukrainę od początku wojny. Czy tak znaczny transfer uzbrojenia nie grozi ogołoceniem naszych sił zbrojnych? Trudno w tak szybkim tempie na bieżąco uzupełniać polskie zasoby militarne.

No właśnie. One nie muszą być koniecznie uzupełniane na bieżąco. Ale musi być plan, jak je uzupełnić w racjonalnej perspektywie. Ja nie znam takiego planu. Nie wiem, czy to zostało należycie policzone. Tak samo nie wiem, czy zostało to właściwie policzone, jeśli chodzi o koszty dla budżetu, chociażby raport Credit Agricole sugerował, że nie. Wynika z niego, że będzie to dla budżetu duży ciężar trudny do udźwignięcia na dłuższą metę. Moglibyśmy w tym kontekście wchodzić w rozważania, na ile dług zaciągany na te cele jest oficjalnie zaciągany, a na ile nieoficjalnie poprzez upychanie do różnego rodzaju funduszy. Te koszty są jednak twardym faktem.

Mam obawę, że zbyt wiele jest w tym romantyzmu, a zbyt mało pragmatycznego realizmu i dokładnego policzenia. Wspierać Ukrainę po to, żeby osłabiać Rosję, absolutnie należy, tyle że każde państwo ma swoje ograniczenia, nie jest

tak, że Polska może udźwignąć dowolny wysiłek. Zarówno jeśli chodzi o wydane pieniądze, jak i utratę sprzętu, a mówi się przecież o oddaniu 30–40 proc. ciężkiego sprzętu polskiego wojska Ukrainie. To musi rodzić pytanie, w jakim czasie jesteśmy w stanie ten deficyt uzupełnić, z perspektywy tego, że my możemy być następni w kolejce.

Czy to romantyczne podejście wyraźnie nie przeważa nad pragmatycznym realizmem w podejściu Polski do Ukrainy? Mam na myśli nie tylko wsparcie militarne, lecz także hojne transfery socjalne realizowane wobec uchodźców z Ukrainy.

Tak i w tym obszarze polski romantyzm dał o sobie znać. Co do kompleksowej diagnozy, że polska polityka wobec wojny na Ukrainie nacechowana jest romantycznymi porywami, to nie ująłbym tego tak mocno. Ale zgadzam się, że to napięcie pomiędzy realizmem a roman-

niebo nad Ukrainą. To był bardzo silny chór głosów. Domagano się, żeby wysłać na Ukrainę czołgi czy myśliwce. Zwracam uwagę, że wtedy sytuacja militarna miała zupełnie inny status niż obecnie. Taki ruch byłby niezwykle ryzykowny z perspektywy rozłania się tego konfliktu na Polskę.

Zwolennicy tego rodzaju działań prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji głoszonych przez siebie postulatów. Gdyby wtedy wygrali, mogłoby być naprawdę groźnie, Polska mogłaby stać się stroną kinetycznej wojny. Byli nawet tacy, którzy publicznie aprobowali perspektywę rosyjskich rakiet spadających na polskie miasta jako cenę wartą zapłacenia. Nie zgadzałem się – radykalnie – z takim podejściem, uważałem, że Polska nie powinna się bezpośrednio angażować w ten konflikt. Romantycy wtedy przegrali. To znaczy czerwone linie wyznaczone

Wspierać Ukrainę po to, żeby osłabiać Rosję, absolutnie należy, tyle że każde państwo ma swoje ograniczenia. Nie jest tak, że Polska może udźwignąć dowolny wysiłek

tyzmem w naszej polityce wobec Ukrainy jest wyraźnie widoczne. Przykład uchodźców jest tu bardzo dobry. Trzeba jednak zauważyć – jako zadeklarowany realista chętnie to robię – że w obliczu dramatu na Ukrainie pokazała się piękna twarz polskiego romantyzmu. Oczywiście jest pytanie o zdolności absorpcyjne polskiego społeczeństwa, czy one także nie zostaną przekroczone, i w związku z tym o wiele konsekwencji z tym związanych. Można porywem serca przyjąć kilka milionów ludzi. Ale czy można docelowo ich tutaj utrzymać w warunkach pokoju społecznego – to już temat dla bardziej pragmatycznej i realistycznej analizy. Nasuwają się głębokie wątpliwości co do możliwości utrzymania spójności społecznej. Ale podam przykład w drugą stronę, w kontrze do tego, co pan powiedział. W swoim czasie mieliśmy w Polsce spór, który można by określić jako spór pomiędzy romantycznymi podżegaczami wojennymi a zwolennikami realistycznej powściągliwości. W pierwszej fazie wojny wiele osób w Polsce żądało np., żeby zamykać

na szczeblu NATO-wskim z internalizacją, wsparciem władz polskich, spowodowały, że romantycy przegrali ten spór.

W tym momencie realizm akurat zwyciężył, więc to napięcie pomiędzy romantyzmem a realizmem różnie rozkłada się w czasie i w zależności od tematu. Niemniej pytanie o przewagę romantyzmu jest bardzo ważne. Moim zdaniem cały czas za mało wiemy, by w pełni to rozsądzić. Na przykład nie znamy rządowych planów i wyliczeń, jeśli chodzi o uzupełnianie uzbrojenia czy skalę obciążeń budżetowych. Być może są tu materia i argumenty, które mogłyby nas przekonać. Jednak pytanie, czy polski romantyzm w obliczu wojny toczzonej na Ukrainie nie jest szkodliwy, cały czas jest gdzieś w tle.

Scenariusz rozłania się wojny na Polskę jest wciąż prawdopodobny? Propagandiści z Kremla raz po raz pohukują o ataku na Warszawę. Czy w zestawieniu z sytuacją z początku wojny widmo rosyjskiej agresji na Polskę jest dziś mniej realne?

Moim zdaniem, w tej fazie wojny jest to bardzo mało realny scenariusz. Na

■ początku konfliktu, kiedy nie były jasno zdefiniowane czerwone linie, wyglądało to zupełnie inaczej. Dziś te czerwone linie są klarownie wytyczone ze strony całego NATO, a z drugiej strony Rosji. Nikt nie chce rozlania się tej wojny, poza Ukrainą oczywiście, co zresztą kolejny raz zaświadcza o tym, że interesy Polski i Ukrainy nie w pełni są zbieżne, wbrew temu, co się wielu u nas wydaje. W oczywistym interesie Ukrainy leżą eskalacja i maksymalne umiędzynarodowienie tego konfliktu, wtedy ich szanse rosną. Ale nikt z wielkich graczy tego nie chce, dlatego scenariusz z rozlaniem się wojny na Polskę jest bardzo mało realny. Być może mogłyby to zmienić jakiś „wypadek przy pracy”, ale – jak pokazała historia z przeciwrakieta, która spadła na terytorium Polski – również takie sytuacje da się rozbroić.

Czy Polska ma szansę stać się beneficjentem tej wojny? Oczywiście zakładając scenariusz, że Rosja wyjdzie z niej maksymalnie osłabiona, że będzie to dla niej „drugi Afganistan”.

Powinniśmy absolutnie liczyć się z takim wariantem rozwoju wydarzeń. Powinniśmy na niego stawiać i walczyć o to, żeby jak najszerzej wykorzystać taką opcję. Jeżeli Rosja poniosłaby całkowitą klęskę, w co wielu w Polsce wierzy, ja mniej, to mamy niemal idylliczny scenariusz dla Polski, gdzie imperium rosyjskie znajduje się w stanie głębokiej implozji albo wręcz rozpadu. Jednak nawet gdy Rosja wygra wojnę z Ukrainą, to Polska może wyjść na tym całkiem dobrze. Założmy, że Ukraina zostaje finalnie rozbita i następuje jej rozbiór, Rosja osiąga swój cel neutralizacji geostrategicznej Ukrainy, ale jednocześnie doświadcza czegoś w rodzaju „pyrrusowego zwycięstwa”, czyli jest poważnie osłabiona, znaczna część jej potencjału militarnego, gospodarczego czy technologicznego jest unicestwiona. W tym scenariuszu wciąż znaczenie Polski jako zwornika wschodniej flanki NATO jest utrzymane.

Presja rosyjska rociągająca się już nie tylko z obwołu królewieckiego, lecz także przez Białoruś, podporządkowaną w rezultacie wydarzeń z ostatnich lat w wymiarze wojskowo-operacyjnym armii rosyjskiej, i dalej być może z jakiegoś klienckiego lub w pełni podporządkowanego państwa ukraińskiego spowoduje,

że pozycja Polski jako przedmurza NATO rośnie. Jednocześnie rozszerzenie NATO o Finlandię i Szwecję, które – jak wszystko wskazuje – nastąpi, zwiększy polskie możliwości.

Zwracam uwagę na opcję północną polskiej polityki, zapomnianą, nieaktywną, niewykorzystaną, a bardzo ciekawą, opcję o rosnącym znaczeniu, zwiększającą polskie bezpieczeństwo, otwierającą perspektywę bliższej współpracy z partnerami o istotnym potencjale politycznym, gospodarczym i technologicznym. Polska może być czymś w rodzaju zachodniej fortecy po tej wojnie, która będzie powstrzymywać wschodnie barbarzyństwo na granicach świata transatlantyckiego. To oznacza więcej uwagi ze strony NATO i USA, wię-

bezpieczeństwa. Stąd plan przeznaczenia 100 mld euro na wzmocnienie potencjału Bundeswehry. Tyle że Niemcy mają problem, te plany zderzają się z wieloletnimi nawykami zaniedbywania kwestii bezpieczeństwa, to po pierwsze. Po drugie, cały ich model rozwojowy uległ poważnemu zakwestionowaniu po wybuchu wojny na Ukrainie. To znaczy model oparty na tanich surowcach z Rosji, darmowe bezpieczeństwo z USA i rozwijanie relacji z Chinami pod każdym względem trzeszczą. Najmniej na odcinku chińskim, ale tanie surowce z Rosji się skończyły, a darmowe bezpieczeństwo ze Stanów Zjednoczonych właśnie się kończy. Również Chiny są dzisiaj znacznie mniej atrakcyjne dla Niemiec, bo z jednej strony same negocjują dużo bardziej

Nikt nie chce rozlania się tej wojny, poza Ukrainą oczywiście, co zresztą kolejny raz zaświadcza o tym, że interesy Polski i Ukrainy nie w pełni są zbieżne

cej NATO-wskich inwestycji i potencjalnie większe transfery technologii. Musi się to oczywiście łączyć z naszą aktywną polityką w zakresie zbrojeń i dyplomacji.

Czy skutkiem nowego układu geostrategicznego, który może wytworzyć się po zakończeniu wojny na Ukrainie, może być zwielokrotnienie presji na Polskę? Oprócz nacisku „barbarzyńców ze Wschodu” Polska być może stanęłaby w obliczu odparcia nowej wersji niemieckiego „Drang nach Osten”. Niemcy w naturalny sposób zyskają na osłabieniu Rosji. Od kilku miesięcy niemieccy przywódcy mówią o spektakularnym wzmocnieniu Bundeswehry. Minister obrony Niemiec Boris Pistorius zapowiedział ostatnio, że niemiecka armia w perspektywie krótkoterminowej powinna stać się najsilniejszą armią w Europie...

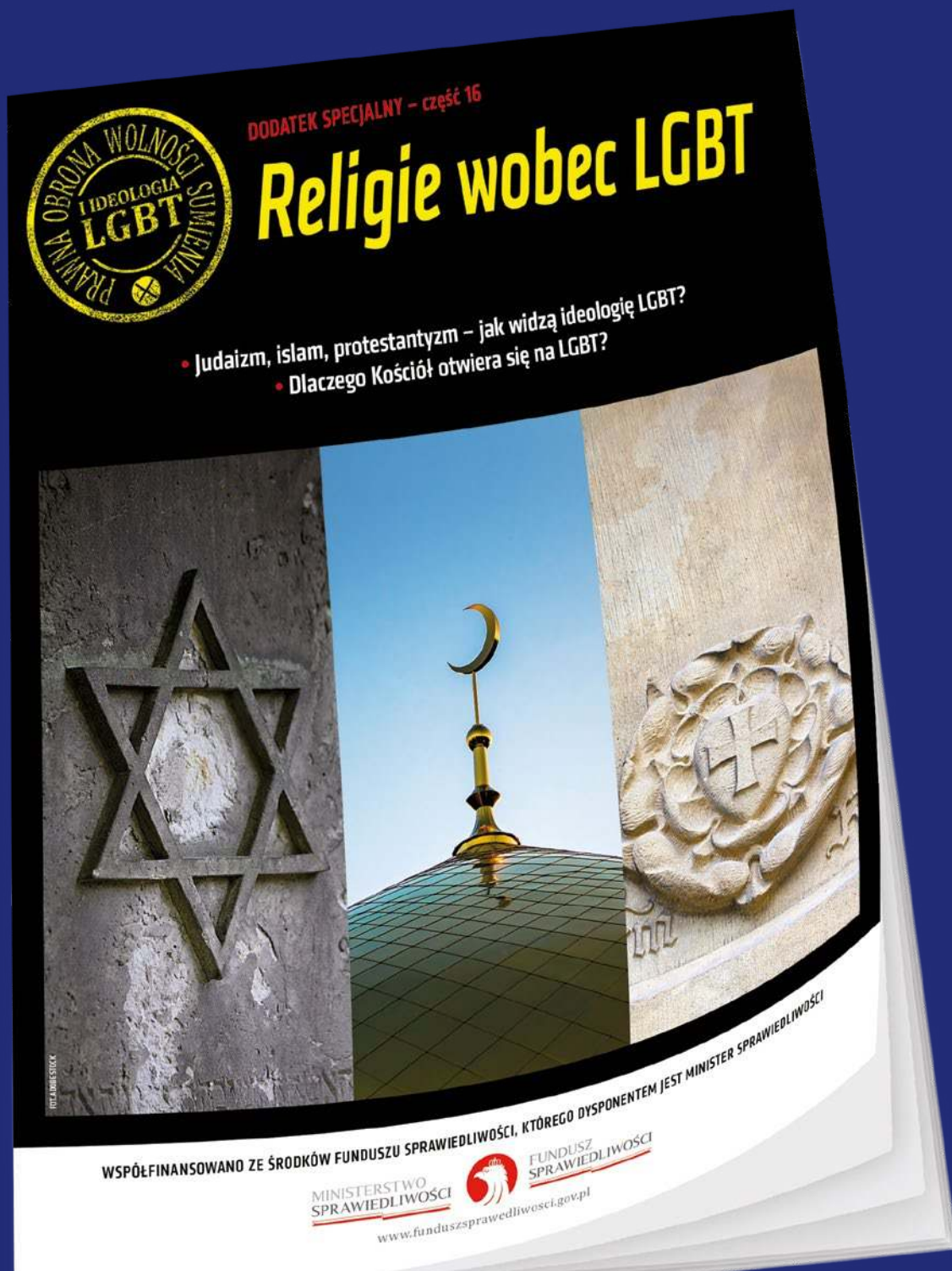
Absolutnie tak może być. Niemcy nie zniknęły i nie znikną, co więcej – próbują się odnaleźć po pewnym kryzysie swojego przywództwa, generując nowe wizje i nowe plany polityczne, uwzględniające dużo bardziej aktywną rolę Niemiec w zarządzaniu całym europejskim bezpieczeństwem. Polityka „Zeitenwende”, firmowana przez kanclerza Scholza, zakłada, że w perspektywie paru, parunastu lat Niemcy staną się głównym graczem w Europie w obszarze

asertywnie, a z drugiej USA naciskają, żeby nie robić z nimi interesów. Jest więc problem z finansowaniem zapowiadanych nakładów na obronę, co widać w bieżącej polityce niemieckiej. Wbrew deklaracjom Scholza o 100 mld euro na armię na razie nakłady na obronność w Niemczech spadły, zamiast spektakularnie wzrosnąć.

Pytanie, jak to się będzie rozwijać w czasie. Czy ten plan zostanie zrealizowany choćby w 80 proc., można wątpić. Niemniej perspektywa, o którą pan pyta, istnieje. Remilitaryzacja Niemiec na dużą skalę wcale nie jest błogosławieństwem dla Polski, jak się przyjęło u nas deklarować. Nie powinniśmy się z tego specjalnie cieszyć, choć nie mamy na to większego wpływu. Niemcy kupieckie, Niemcy rozbrojone to była opcja atrakcyjna dla Polski. Ta opcja może się wkrótce skończyć. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że zanim Niemcy odbudują swoją potęgę wojskową – jeśli w ogóle im się to uda – minie sporo czasu. Na to potrzeba wielu lat. Mamy te lata, żeby dobrze skonsultować moment wzrostu naszej pozycji międzynarodowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 27 lutego w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 2c57c66137



Podróż papieża do Afryki w praktyce w dużej mierze przebiegła pod znakiem... LGBT FOT. GREGORIO BORGIA/AP/EAST NEWS

Tęczowa misja Franciszka



Paweł Chmielewski

Za pontyfikatu Franciszka dokonuje się postępująca degradacja katolickiego nauczania moralnego. obrońcy polityki papieża mówią, że to nieprawda i głowa Kościoła jest po prostu cynicznie wykorzystywana przez wielkie media. Wydaje się jednak, że jest inaczej; że wchodzenie w buty bojownika o ideały rewolty '68 to dla Franciszka element realizacji jego strategicznych celów

Na przełomie stycznia i lutego papież Franciszek odwiedził dwa afrykańskie kraje – Demokratyczną Republikę Konga i Sudan Południowy. Towarzyszyli mu prymas anglikanów Justin Welby oraz głowa narodowego „Kościoła” Szkocji Ian Green-shields. Podróż miała w teorii charakter misji na rzecz pokoju, ale w praktyce w dużej mierze przebiegła pod znakiem... LGBT. W wywiadzie wyemitowanym na krótko przed wylotem do Afryki

Franciszek wezwał do depenalizacji zachowań homoseksualnych w krajach Czarnego Łądu. Stworzyło to wrażenie, jakoby udawał się na pielgrzymkę pod sztandarami ruchu homoseksualnego. Duża część afrykańskich katolików zareagowała oburzeniem; jeden z rządowych polityków Sudanu powiedział nawet, że jeżeli papież zamierza zachęcać jego państwo do legalizacji jedнопłciowych „małżeństw”, to po prostu nie zostanie wysłuchany.

O homoseksualizmie papież mówił również podczas konferencji prasowej na pokładzie samolotu, wracając z Afryki. Nie będę tu poddawał analizie jego słów, jak zwykle przy takich okazjach dość chaotycznych i niejasnych. Warto się jednak zastanowić nad znaczącą zmianą, którą można ukazać w kontrze do podróży do Afryki Benedykta XVI. Gdy w 2009 r. na Czarny Łąd udawał się papież Ratzinger, wielkie media nieміłosiernie chłostały go za podtrzymywanie zakazu stosowania prezerwatyw. Gdy w podobną podróż udaje się Franciszek, te same media pieją z zachwytem, czyniąc z biskupa Rzymu awangardzistę kościelnej walki o „prawa gejów”. W części wynika to z działalności samych koncernów medialnych, które w przypadku Benedykta skupiały się na wszystkich jego wypowiedziach idących w kontrze do liberalnej antykultury, a które w przypadku Franciszka rozdmuchują każde zdanie, które da się interpretować jako wobec tej antykultury przychylne lub choćby neutralne. A jednak te medialne manipulacje nie tłumaczą wszystkiego. Byłyby niemożliwe, gdyby nie miały odzwierciedlenia w faktach: przed 13 marca 2013 r. (datą wyboru Franciszka) Kościół głosił jasne nauczanie moralne, po tym dniu coraz bardziej brnie w uzgadnianie katolicyzmu z ideałami rewolucji seksualnej '68.

PIERWSZY WYŁOM

Ten kierunek papież zarysował po raz pierwszy w adhortacji posynodalnej „Amoris laetitia” z 2016 r. W dokumencie w sposób nieco zawołowany, ale doskonale czytelny dla zainteresowanych zmianą biskupów, zezwolił na udzielanie Komunii Świętej tym rozwodnikom, którzy weszli w powtórny związek i żyją w nim „jak mąż z żoną”. Zostawię na boku fakt podważania prawomocności tej „koncesji” przez wielu kardynałów i biskupów; tym, co dla nas istotne, jest to, że prostą konsekwencją adhortacji Franciszka stało się zniechęcenie rozwodników do podjęcia wysiłku życia we wstrzemięźliwości. Zostało to w praktyce uznane za jakiś ideał, a nawet za jedną z „opcji”, co więcej, dla przeciętnego katolika – bynajmniej nie pierwszego wyboru. Niewiele znajdziemy w historii przykładów na to, by konsekwencją papieskich decyzji była marginalizacja

cnoty czystości... A problem rozwodników w „Amoris laetitia” okazał się jednak tylko pierwszym z całej serii silnych uderzeń, jakie za tego pontyfikatu wymierzono katolickiej moralności.

ANTYPAPIESKA ANTYKONCEPCJA

Rewolta 1968 r. karmiła się faktem dostępności tzw. pigułek antykoncepcyjnych. Kościoła środowiska progresywne domagały się w latach 60. od Stolicy Apostolskiej odwołania nauki wyrażonej przez Piusa XI w 1930 r. w encyklice „Casti connubii” i udzielenia zgody na stosowanie antykoncepcji. Papież Paweł VI tego nie zrobił. W „Humanae vitae” przedstawił w nowej formie dotychczasową naukę Kościoła. W ostatnich latach trwają jednak wspomagane przez Franciszka wysiłki na rzecz odejścia od tej linii. W grudniu 2017 r. włoski teolog moralny ks. Maurizio Chiodi wygłosił na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim wykład, w którym zaproponował „ponowne przemyślenie” „Humanae vitae”. Jego postulat stanowiło wprowadzenie w Kościele zgody na używanie przez małżonków antykoncepcji „w niektórych wypadkach”. Wystąpienie ks. Chiodiego zyskało wyraźną aprobatę: przedrukowano je na łamach dziennika „Avvenire” wydawanego przez włoski episkopat; sam autor został powołany na stanowisko wykładowcy bioetyki na Papieskim Uniwersytecie Teologicznym Jana Pawła II w Rzymie.

W grudniu 2021 r. inny watykański urząd, Papieska Akademia Życia kierowana przez skandalistę abp. Vincenza Paglię, zorganizował kilkudniowe sympozjum poświęcone sprawom bioetycznym. Jego owocem była wydana w połowie kolejnego roku publikacja pt. „Teologiczna etyka życia”, gdzie wprost zaproponowano odejście od „Humanae vitae” i akceptację stosowania antykoncepcji „w niektórych wypadkach”. Papież dopytywany o celowość takich publikacji nie podtrzymał bynajmniej nauki Kościoła, ale... stanął w obronie Akademii, deklarując, że po to są teologowie, aby szukali „nowych ścieżek”.

Część watykanistów uważa, że w otoczeniu Franciszka przygotowywana jest encyklika o roboczym tytule „Gaudium vitae” (pol. „Radość życia”), która zawierałaby „furtki” umożliwiające skłonnym do tego biskupom odejście od nauczania

Kościoła w wielu kwestiach moralnych, z antykoncepcją na czele.

LIKWIDACJA CNOTY CZYSTOŚCI

Na tym nie koniec. W styczniu tego roku na łamach prominentnego jezuickiego magazynu „America” artykuł poświęcony katolicyzmowi przyszłości opublikował kard. Robert McElroy. Nakreślił wizję „inkluzyjnego Kościoła synodalnego”. Zaproponował m.in. diakonat i kapłaństwo kobiet oraz – co najbardziej nas tu interesuje – pełną swobodę dostępu do Komunii Świętej dla rozwodników oraz homoseksualistów, nawet jeżeli podejmują aktywność seksualną. Według McElroya nie ma sensu dzielić ludzi na tych, którzy żyją w nieregularnych lub nienaturalnych związkach wstrzemięźliwie i niewstrzemięźliwie – kardynał uważa, że to nie ma większego znaczenia. Według Amerykanina Kościół stanie się prawdziwie synodalny dopiero wówczas, gdy przestanie uznawać grzechy seksualne za ciężkie; w nowym paradygmacie duszpasterskim, który – jak pisał McElroy – jest zakorzeniony w nauczaniu Franciszka, należy tę problematykę po prostu zmarginalizować. Jak skomentował to publicysta konserwatywnego „National Catholic Register”, ks. Raymond J. de Souza, propozycja McElroya oznacza w praktyce likwidację cnoty czystości: skoro Komunię Świętą godziwie mogliby przyjmować cudzołężnicy lub aktywni homoseksualiści, to w istocie nie ma już żadnego powodu, by tę cnotę piełęgnować.

McElroy otrzymał biret kardynalski od Franciszka w 2022 r. w atmosferze skandalu: papież wyróżnił biskupa niewielkiej diecezji San Diego, manifestację nie pomijając metropolite abp. José Horacia Gómeza, któremu purpura należała się zgodnie ze zwyczajem. Powszechnie zinterpretowano to jako wskazanie przez Ojca Świętego: McElroy to „mój człowiek” w Ameryce. Idea McElroya jest już zresztą w wielu krajach wcielana w życie: biskupi udzielają błogosławieństw zarówno parom rozwodników, jak i homoseksualistom, a Stolica Apostolska nie reaguje; wołania o „nową moralność” rozlegają się też gromko na spotkaniach synodalnych na całym świecie.

WYMOGI „ŚWIATA”

O przyczynach tego zjawiska można byłoby pisać wiele. Wielu komentatorów

wskazuje, że jednym ze źródeł tak chaotycznego podejścia do tematyki ludzkiej seksualności jest przesunięcie, które dokonało się na Soborze Watykańskim II oraz bezpośrednio po nim, to znaczy pewna marginalizacja nauki o potomstwie jako właściwym i głównym celu małżeństwa; zamiast tego podkreślano coraz mocniej cele, które zgodnie z nauką Kościoła są drugorzędne, to znaczy dobro małżonków czy wzajemną miłość. Ta sprawa niewątpliwie rzeczywiście odegrała dużą rolę w przemodelowaniu mentalności katolików w ostatnich dziesięcioleciach. Inni zwracają uwagę na specyficzne podejście samego papieża, który częstokroć marginalizował wagę grzechów cielesnych, mówiąc, jakoby były one w sumie dość lekkie. Bez tego osobistego nastawienia Franciszka jego rewolucyjne działania nie byłyby możliwe. Sądzę jednak, że to wciąż za mało, by wyjaśnić siłę, z jaką od kilku lat obecny pontyfikat uderza w tradycyjną moralność.

Moim zdaniem prymarną rolę odgrywa przyjęty przez papieża strategiczny cel, jakim jest próba zasypania przepaści oddzielającej naukę Kościoła od współczesnej liberalnej kultury powstałej na gruncie antychrześcijańskiej rewolucji oświecenia. Tę hipotezę można łatwo zweryfikować. Kiedy po raz ostatni mogliśmy usłyszeć, że wielkie media, rządy najważniejszych państw zachodnich albo szefowie największych korporacji Big Tech mówili krytycznie o Franciszku? Mówiąc szczerze, w ogóle nie przypominam sobie takiej sytuacji. Ten trwający od 10 już lat pokłask świata wobec przywództwa Kościoła katolickiego pokazuje, że papież z żelazną konsekwencją prowadzi Stolicę Apostolską tak, by nie prowokować głównych światowych graczy, wręcz przeciwnie, stara się zawierać z nimi jak najściślejszy sojusz. Jeżeli jednym z kluczowych oczekiwań tych graczy względem Kościoła jest – obok ekologii, migracji czy dialogu międzyreligijnego – porzucenie przez katolików „rygorystycznej” moralności seksualnej na rzecz moralności właściwej czasom współczesnym, to chcąc realizować przyjętą strategię, papież nie ma wyjścia: musi ustępować. Dlatego właśnie jego podróż do Afryki z misji pokojowej przerodziła się w misję „tęczową”. Tego po prostu wymagał od niego tak bliski mu świat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Sebastian Ligarski

Pfizer był szpiegowany nie tylko przez polskich oficerów wywiadu poza granicami kraju, lecz także bacznie przyglądano się wszystkim pracownikom firmy w Polsce

Wywiad naukowo-techniczny w PRL, wchodzący w skład Służby Bezpieczeństwa, stanowił elitarną jednostkę szpiegującą na rzecz polskiego oraz sowieckiego przemysłu. Organicznie zespolony z KGB realizował zadania, które miały wpłynąć na wyścig technologiczny między ZSRS, jego satelitami a krajami zachodnimi. Wygranym miał być oczywiście „Wielki Brat”. Jedną z najważniejszych sfer pracy wywiadu naukowo-technicznego był przemysł farmaceutyczny. SB interesowała się zachodnimi koncernami pracującymi nad szczepionkami, farmaceutykami oraz półfabrykatami. Na celowniku SB znalazł się m.in. Pfizer, dziś koncern powszechnie znany w Polsce z eksperymentu medycznego przeciwko COVID-19. Wcześniej firma miała na swoim koncie sukcesy w postaci wypuszczenia na rynek penicyliny, a także kwasu cytrynowego czy viagry i leków antydepresyjnych, jak np. Zoloftu. Pfizer obecny był w Polsce od 1959 r., kiedy w Warszawie otworzył jednoosobowe przedstawicielstwo.

Wywiad zaczął zajmować się farmaceutykami w latach 60. XX w. Mirosław Sikora, autor kompendium na temat działań wywiadu naukowo-technicznego w Polsce, pisał, że na większą skalę rozwinęto współpracę z Ministerstwem Przemysłu Chemicznego i Lekkiego w połowie lat 70. XX w. Dopiero na początku lat 80. XX w. wprowadzono w życie pomysł „wykorzystania wywiadu do sprowadzenia szczepów antybiotyków, leków, substancji czynnych i technologii, z myślą nie tylko o ich użyciu w gospodarce PRL, ale też o eksporcie, generującym dewizy” – pisał wspomniany Sikora.

Do głównych zadań funkcjonariuszy wywiadu oraz ich źródeł informacji należało sprowadzanie do Polski na



Pracownica w laboratorium firmy Pfizer w Folkestone w Anglii, 16 lipca 1957 r.

FOT. CHARLES E. ROTKIN/CORBIS/VCC/GETTY IMAGES



zamówienie konkretnych firm, szczególnie Zjednoczenia „Polfa”, całych linii technologicznych i produkcyjnych, które wykorzystywano w Polsce lub odsprzedawano czy ofiarowano ZSRS oraz innym krajom tzw. demokracji ludowej. Proceder ten z biegiem lat był coraz powszechniejszy i skuteczniejszy w wykonaniu polskiego wywiadu, co pozwalało zaoszczędzić ogromną ilość środków finansowych oraz obchodzić sankcje nakładane na licencje przez państwa zachodnie.

KRYPTONIM DOKSA

Na ile skutecznie wykonywano zlecenia ministra przemysłu chemicznego, świadczyła sprawa o kryptonimie Doksa, dotycząca produkcji wibramycyny (doksy-cykliny), czyli półsyntetycznego antybiotyku z grupy tetracyklin mającego szerokie zastosowanie w leczeniu różnych chorób, w tym układu oddechowego czy boreliozy. „Doksa” była realizowana przez wywiad naukowo-techniczny (Wydział V Departamentu I MSW) na zlecenie Zjednoczenia „Polfa”. Wywiad miał zdobyć opis technologiczny całego procesu produkcji wibramycyny, charakterystykę podstawowej aparatury do jej produkcji, określić jakość i źródła pochodzenia podstawowych surowców, dokonać bilansów materiałowych i energetycznych, a także – opcjonalnie – dostarczyć opis problematyki utylizacji odpadów i ścieków.

W planie realizacji zadania wspomniano, że własna wydajność procesu technologicznego, którym posługiwała się „Polfa”, oceniana była na 30 proc. W rzeczywistości wynosiła jednak 23 proc., a po zakończeniu trwającej modernizacji sięgać miała 27 proc. Posiadano także inną linię, na licencji Pfizera, o wydajności 50 proc., lecz w czasie jej stosowania trzeba było używać ciekłego fluorowodoru, co generowało sporo kłopotów technicznych. Osiągnięcie poziomu Pfizera bez stosowania ciekłego fluorowodoru pozwalałoby „uniknąć kłopotliwej inwestycji przy jednoczesnym zachowaniu wydajności i jakości Pfizera” – jak pisano w analizach wywiadowczych.

Warto wspomnieć, że na wibramycynę i technologię jej produkcji wywiad naukowo-techniczny, we współpracy z Ministerstwem Przemysłu Chemicznego, zwracał uwagę najwyższych dygnitarzy partyjnych w Polsce już w 1979 r. W raporcie dyrektora Departamentu I MSW Jana

Słowikowskiego wyrażano zainteresowanie najnowszą technologią produkcji wibramycyny o wydajności 40 proc. i próbę jej sprowadzenia do Polski. Chodziło o pokrycie zapotrzebowania na ten antybiotyk, wyeliminowanie importu i tym samym zaoszczędzenie tak potrzebnych dewiz.

Wywiad rozpoczął działania w czerwcu 1984 r. na zlecenie ministra przemysłu chemicznego i lekkiego wykonującego prośbę Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa”. Sprawę prowadził mjr Krzysztof Markiewicz. Na piśmie skierowanym do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka zachowały się podpisy kolejnych szefów pionów – Władysława Pożoga i Henryka Jasika. Szacunkowe koszty wynosiły 60 tys. dol., refundacja zaś 85 tys. dol. Po ocenie możliwości dotarcia do zakładów Pfizera przez agencję polskiego wywiadu oceniono, że współpracownik rozpracowania operacyjnego „Santa” miał możliwości zrealizowania zadania za 60 tys. dol. Na marginesie dodajmy, że nie tylko wywiad prowadził takie rozpracowanie, i to w dodatku pod takim samym kryptonimem. Sprawa operacyjnego sprawdzenia pod kryptonimem Santa prowadzona była również przez Wydział VI Departamentu V MSW, który zajmował się, eufemistycznie mówiąc, nieprawidłowościami w gospodarce, w rzeczywistości jednak prowadził bezpardonową walkę ze strukturami podziemia solidarnościowego w zakładach pracy. Przedmiotem zainteresowania SB były nieprawidłowości w „zakresie zakupu z II obszaru płatniczego, przede wszystkim ze szwajcarskiej firmy farmaceutycznej »Sandoz«” występujące w Zjednoczeniu „Polfa”, Biurze „CIECH-u Polfy”, Warszawskich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa” oraz Biurze Pełnomocnika do spraw Programu Operacyjnego „Zdrowie”. To jednak temat na oddzielną historię.

Wracając do wibramycyny – wstępnie oceniono, że proponowana przez agenta propozycja technologiczna była warta zainteresowania, a inne źródła nie dawały żadnej możliwości sprowadzenia jej do Polski. W sprawę zaangażowano oficerów rezydentury rzymskiej „Larma” (mjr. Zbigniewa Filipiuka) oraz „Disa” (szefa rezydentury mjr. Macieja Dubiela), który zorganizował spotkanie „Larma” z „Santą” – takim skrótem myślowym posługiwano się w aktach.

Władysław Pożoga, prosząc Ministerstwo Przemysłu Chemicznego i Lekkiego

■ (MPChIL) o opinię odnośnie do ewentualnej technologii i jej ceny, pisał, że nie będzie ona zawierała sposobu utylizacji odpadów i ścieków, a koszt jej sprowadzenia miał wynosić 90 tys. dol. Ministerstwo zgodziło się na tę cenę, tym bardziej że podobna cena znajdowała się w piśmie wysłanym z Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa” do MPChIL, gdzie potwierdzono duże zainteresowanie nadesłanym opisem technologicznym. W piśmie tym znalazła się informacja, że „w/w materiały nie muszą zawierać opisu postępowania dotyczącego ochrony środowiska”.

Niewątpliwie „Santa” dobrze wykonał swoją robotę, więc pozostawało już tylko przekazać stosowne dokumenty do Polski. W czerwcu 1984 r. „Larm” spotkał się z „Santą” w Szwajcarii i otrzymał od niego 50 stron formatu A4 technologii otrzymywania wibracy. Następnie przekazał ją „Dotanowi” (płk Marian Pastuszek, I sekretarz ds. konsularnych, rezydent w Bernie), który miał ją wyekspediować pocztą dyplomatyczną z Berna w sierpniu; miała ona przylecieć do Polski wraz z pracownikiem rezydentury w Bernie. Materiały trafiły do Polski jednak wcześniej – już 25 lipca 1984 r. resort spraw wewnętrznych przekazał je do MPChIL. W końcu października miała nastąpić wypłata pieniędzy „Sancie” za zrealizowanie zadania.

OFERTA DLA NRD

W lipcu 1984 r. polski wywiad wysłał pismo do Stasi z pytaniem, czy służby NRD byłyby zainteresowane nabyciem technologii produkcji wibracy przy użyciu fluorowodoru. Dziesięć dni później strona polska wysłała Niemcom specyfikację techniczną tego procesu. Na odwrócie tej informacji znalazła się notatka sporządzona przez jednego z oficerów wywiadu: „W ramach rozmów dotyczących przedłużenia licencji Polfa Tarchomin otrzymała od Pfizera technologię produkcji wibracy przy użyciu HF [pisownia oryginalna] z użyciem HF [czyli ciekłego fluorowodoru – przyp. S.L.]. Z Polfy uzyskano za pośrednictwem KO Buras i przekazano do NRD – ponieważ od RO »Santa« uzyskano technologię bez użycia HF, wydajną i bardziej opłacalną w naszych warunkach. Przekazanie nie narusza interesów naszego przemysłu z uwagi na to, że nie eksportujemy wibry do NRD, a urucho-

mienie przez NRD instalacji zdolnej wyprodukować tyle, żeby mogli eksportować wibrę do ZSRR, nie jest możliwe”. I dopisek: „Ocena NRD (oryginał w spr Buras) – materiał bardzo wartościowy”.

Wynikało z tego jednoznacznie, że Polacy, wzbogaceni o nową technologię, starą zaoferowali NRD, w dodatku mając świadomość, że strona niemiecka nie będzie w stanie eksportować wibracy do ZSRR. Tym samym nie byłoby konkurencją.

Zadanie zakończono 27 października wypłatą 60 tys. dol., które odebrał „Larm”. Warto dodać, że w dokumentacji sprawy zachował się opis technologiczny. Sprawę ostatecznie wyrejestrowano w styczniu 1987 r. jako nienadającą się do celów szkoleniowych, a dostęp do niej ściśle limitowano.

PRACOWNICY POD OBSERWACJĄ

Pfizer był szpiegowany nie tylko przez polskich oficerów wywiadu poza granicami kraju, lecz także bacznie przyglądano się wszystkim pracownikom firmy w Polsce. Ślady takich operacji można odnaleźć w aktach pozostawionych przez Służbę Bezpieczeństwa.

W sierpniu 1980 r. kontrwywiad (czyli Departament II MSW) był zainteresowany kontaktami osób związanych z Pfizerem na terenie Rzeszowa. Jak opisywano w raportach Wydziału „B” KWMO w Rzeszowie (pion zajmujący się obserwacją), do stolicy Podkarpacia przyjechał samochodem należącym do Pfizera Adam Kazanowski, pracownik tej firmy. Kazanowski zamieszkał w hotelu Rzeszów i był pod stałą obserwacją. Niestety, nie wiadomo, jak zakończyła się ta obserwacja i jakie materiały chciano uzyskać, gdyż brakuje dalszej dokumentacji tej sprawy.

Znacznie więcej dokumentów zachowało się w sprawie obserwacji Charlesa Cheovarta, dyrektora technicznego Pfizera z Oddziału Europy Wschodniej. Funkcjonariusze SB nadali mu pseudonim Arle i rozpoczęli inwigilację 8 kwietnia 1987 r. Tym razem obserwacja wykonywana była na zlecenie Wydziału V Departamentu I MSW, a zatem wywiadu naukowo-technicznego. Rozpoczęto ją od hotelu Victoria w Warszawie, miejscu, gdzie zazwyczaj zatrzymywali się obcokrajowcy przyjeżdżający do stolicy.

Jak wynika z zapisów inwigilacji Cheovarta, już w Victorii spotkał się on

najprawdopodobniej z dwoma innymi pracownikami Pfizera, którym przekazał bliżej nieokreśloną dokumentację, a następnie wraz z kierowcą pojechał do Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa” przy ul. Fleminga 2 w Warszawie. Po opuszczeniu „Polfy” Belg pojechał do Pfizera na Lektykarską 9, a stamtąd do Instytutu Badawczo-Rozwojowego „Biotechnologia” przy ul. Starościńskiej 9. Kolejnym miejscem odwiedzonym przez Cheovarta był Instytut Leków przy Chełmskiej, gdzie skierował się do Zakładu Chemii Analitycznej.

Następnego dnia funkcjonariusze raportowali, że Belg wybrał się do Drwalewskich Zakładów Przemysłu Bioweterynaryjnego, gdzie przebywał przez kilka godzin. Zleceniodawca obserwacji, czyli Wydział V Departamentu I MSW, nie dociekał, co Belg robił w środku, gdyż funkcjonariusze SB odstąpili od wejścia na teren obiektu. Można założyć, że tę informację uzyskiwano od innych źródeł informacji.

Wydaje się, że przedmiotem zainteresowania służb był ewentualny fakt kontaktowania się z Belgiem osób podejrzanych o prowadzenie działań wywiadowczych na terenie Polski. Jedyną osobą, z którą stale spotykał się Belg, była kobieta, z którą kończył każdy dzień w jednym z warszawskich mieszkań (zapis w raporcie brzmiał: „Znanej jednostce zlecającej zadanie”, co być może sugerowało jej związki z SB). Jak wynika z kolejnych zapisów, musiała być ona związana z tarchomińską Polfą, gdyż wchodziła na teren tego zakładu, o czym informowali funkcjonariusze Wydziału „B”. Obserwacja Belga urwała się 17 kwietnia 1987 r. i trudno dociec, jaki był jej finał i – co najważniejsze – jaką wiedzę posiadał SB.

Działania Służby Bezpieczeństwa wobec Pfizera były tylko fragmentem akcji prowadzonych przez polski wywiad wobec zachodnich firm farmaceutycznych. Wspomniany wyżej Mirosław Sikora pisał o wykorzystywaniu w trakcie działań operacyjnych tzw. nielegalów (uspioną agenturę gotową do wykorzystania), którzy mieli być umieszczani w firmach zajmujących się produkcją leków. Niezmierzonym celem pozostawało zdobywanie technologii bezprawnymi metodami, aby zmniejszyć liczbę wydawanych dewiz, co było niezmiernie ważne w trudnej sytuacji gospodarczej Polski w latach 80. XX w.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Nowość o powstaniu

Wreszcie coś do studiowania o powstaniu warszawskim. W zalewie publikacji na ten temat (na ogół na coraz niższym poziomie) szczególnie należy wyróżnić relację pamiętnikarską ppłk. Józefa Rokickiego, komendanta głównego Narodowej Organizacji Wojskowej, a w powstaniu dowódcy obrony Mokotowa i p.o. dowódcy 10. Dywizji Piechoty AK.

Książka ta (w mocno okrojonym formacie) wyszła po raz pierwszy w Hanowerze w 1949 r. Z oczywistych względów była poddana mocnej autocenzurze. Teraz otrzymaliśmy pełną wersję, wzbogaconą o dodatkowe materiały, które zachowane zostały w maszynopisach, oraz wywiady i artykuły z lat późniejszych. A całość w świetnym opracowaniu Krzysztofa Kosińskiego. Rzecz została wydana przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej w ubiegłym roku.

Podpułkownik Rokicki – jako komendant główny NOW – przez scalenie tej organizacji z AK (w 1942 r.) wprowadził do niej więcej żołnierzy i oficerów niż wszystkie inne organizacje konspiracyjne. Do tego w skład Wojskowej Służby Kobiet weszła potężna Narodowa Organizacja Wojskowa Kobiet. Jak zostali potraktowani oficerowie NOW w AK? Odsuwani od dowodzenia, niedopuszczani do awansów i odznaczeń, jednak pozostali do końca lojalni. Rokicki nie otrzymał w AK ani

jednego awansu... W 1945 r. wielu z nich nie zaprzestało walki, tworząc podstawy (obok NSZ-AK) antykomunistycznego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW), zmagającego się przez wiele lat z kolejną okupacją.

Nie mamy takich relacji z powstania, w dodatku napisanych wkrótce po wojnie, które powinny być złożone przez wyższych oficerów AK. Wspomnienia dowódcy AK gen. „Bora” są ogólnikowe i bardzo powierzchowne, inni zaś okazali się „niepiśmienni”.

Wspomnienia Rokickiego obejmują prawie cały okres okupacji: lata 1939–1944. Zawierają bardzo wiele istotnych szczegółów i dygresji. Są tam charakterystyki największych organizacji podziemnych, ale przede wszystkim całościowy opis NOW i jej działalności.

Kapitałna uwaga o BCH powinna dać do myślenia wszystkim hagiografom tej organizacji, która inaczej wygląda w świetle Wikipedii i powojennych opracowań, a inaczej w dokumentacji własnej z okresu okupacji i dokumentacji innych ugrupowań. Ale tak to już jest, że historię piszą zwycięzcy, a Stronnictwo Ludowe w 1945 r. przeszło do obozu współtworzącego tzw. Polskę Ludową.

Rokicki przytacza rozmowę (z lat 1941–1942) z Władysławem Kiernikiem, który na pytanie, dlaczego ludowcy nie tworzą własnej siły zbrojnej, odpowiedział: „Niech się na-przód endecki wykrwawia!”. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Chrzest Jagiełły

Nie wiadomo, kto pierwszy wystąpił z propozycją unii polsko-litewskiej, jednak obie strony uznały to za znakomity pomysł. Realizacja projektu nasuwała jednak duże trudności, z których najważniejszą był fakt narzeczeństwa Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem. Andegawenka na wawelskim tronie zamierzała dotrzymać zobowiązań, narzeczonego znała bardzo dobrze i kochała go dziecinną jeszcze miłością. Małżeństwo Jadwigi z Wilhelmem było korzystne też dla Krzyżaków, którzy bardzo obawiali się unii polsko-litewskiej. Dlatego zakon rozpuszczał po Europie plotki, że młodzi są już po ślubie i polska królowa w żadnym wypadku nie może wyjść za Jagiełłę, gdyż popełni w ten sposób bigamię.

Polityka miała jednak swoje prawa, jako pierwsza argumentacji polskich możnowładców uległa Elżbieta Bośniaczka. Wyraziła zgodę na małżeństwo córki, popierał ją w tym papież wyjątkowo zainteresowany chrystianizacją Litwy. Gorzej było z Jadwigą, która odmówiła poślubienia Jagiełły, zamierzając wyjść za mąż za Wilhelma. Doszło nawet do tego, że gdy Habsburga przepędzono z Wawelu (podobno uciekł spuszczonej przez okno w koszu na bieliznę), to dziewczynka chwyciła jakiś topór i w bezsilnej złości zaczęła rąbać zamknięte drzwi zamkowe, chcąc połączyć się z narzeczoną. Bez

skutku i młodziutka królowa musiała poświęcić swoją miłość dla celów politycznych.

Negocjacje z Jagiełłą przebiegały bardzo sprawnie, obie strony chciały dojść do porozumienia, zatem szybko uzgodniono wszelkie szczegóły. Ostatecznie akt unii podpisano na zamku w Krewie w sierpniu 1385 r.

Jagiełło przyjął chrzest 15 lutego 1386 r., trzy dni później ożenił się z Jadwigą, a dwa tygodnie później został koronowany na króla Polski. Polska od tej pory miała dwóch królów (Jadwiga była królową, a nie królową), zresztą Andegawenka cieszyła się większym autorytetem, była córką poprzedniego króla i wcześniej została koronowana. Ponadto słynęła z urody, do Krakowa zjeżdżały się tłumy rycerstwa, aby ją zobaczyć i złożyć jej hołd. To dzięki niej miasto to stało się jedną z najważniejszych stolic Europy.

Rekompensowała sobie w ten sposób niezbyt rudy związek z Jagiełłą. Małżonkowie mogli się zgadzać w sprawach politycznych, jednak w życiu prywatnym nie układało im się. Kronikarze zanotowali, że często miały miejsce „wzajemne spory i niechęci”, dochodziło też do „poróżnień”. Znaką dyskrete dziejopisów tamtej epoki, oznaczać to musiało, że Jadwiga i Jagiełło kłócili się często i czasami w ogóle nie rozmawiali ze sobą. Cena, jaką Jadwiga musiała zapłacić dla dobra kraju i chrześcijaństwa, była bardzo wysoka. ©

Przedwojenna polska wyprawa
wysokogórska w Andy FOT. NAC

Biało-czerwoni na dachu świata



Tomasz Zbigniew Zapert

Polski himalaizm narodził się latem 1939 r. O zapomnianej ekspedycji opowiada nowo powstały film pt. „Kłątwa góry. Śladami pierwszych zdobywców”

Himalaizm w biało-czerwonych barwach wedle buńczucznych zamierzeń jego prekursora Adama Karpińskiego miał rozpocząć się – mówiąc potocznie z „wysokiego C”. Rozważano atak na Mount Everest, najwyższy szczyt kuli ziemskiej, przymerzano się również do pokonania K2, uchodzącego za najtrudniejszy do zdobycia wierzchołek globu. „Akar” – jak

określano w środowisku górskim Karpińskiego (ojca Jacka, inżyniera, pioniera informatyki w skali międzynarodowej) – był nie tylko marzycielem, lecz także człowiekiem nad wyraz przedsiębiorczym. Być może gdyby nie wielki kryzys ekonomiczny przełomu lat 20. i 30., Polacy zaatakowaliby Czomolungmę już w międzywojniu. Niestety, potencjalny prywatny dobrodziej przedsięwzięcia splajtował i plan pozostał w sferze snów.

Karpińskiego to nie zraziło, toteż kiedy II Rzeczpospolita zaczęła wychodzić z gospodarczej zapaści, rzucił wyzwanie K2. Skrupulatne starania dyplomatyczne dotyczące organizacji karkołomnego zamierzenia nie przyniosły rezultatu. Ale operatywny Karpiński okazał się na niekorzystną wersję wydarzeń przygotowany. W zanadrzu trzymał myśl o kolejnym wyzwaniu. Cel stanowił „zaledwie” siedmiotysięcznik (7434 m). I właśnie ów wariant rezerwowi – znacznie skromniej-

szy finansowo, co było chyba kluczowe – wcielono w życie.

WIELKA CZWÓRKA

Po gruntownej selekcji wybrano kwartet śmiałków. W roli lidera występował oczywiście Karpiński (42 lata). Ponadto skład tworzyli: Stefan Bernadzikiewicz (32 lata), inżynier mechanik, taternik i polarnik; Jakub Bujak (34 lata), konstruktor lotniczy, narciarz i alpinista. Czwartym kandydatem był zrazu Witold Paryski (30 lat), lekarz, przewodnik i ratownik tatrzański. W ostatniej chwili ustąpił jednak miejsca Januszowi Klarnerowi (29 lat). Roszcza wzbudziła niemałe kontrowersje, ponieważ ten ostatni był wysokogórskim żółtodziobem. Dysponował jednak atutem kardynalnym: pieniędzmi przekazanymi himalaistom in spe (ich budżet ciegie nie był dopięty) przez swego wpływowego i ustosunkowanego ojca, Czesława – ministra, senatora i bankowca.

Wiosną 1939 r. „wysoka czwórka” – jak pisała prasa warszawska – wyjechała z Polski do Indii. Podróżowali koleją i statkiem. Na miejscu dołączył do nich lekarz i oficer łącznikowy w jednej osobie, czyli brytyjski major J.R. Foy. Pomógł wybrać spośród ludności tubylczej tragarzy. Karawana wystartowała 14 maja 1939 r. Po przebyciu 180 km dotarła do podnóża Nanda Devi East.

Warto dodać dwa słowa o akcesoriach. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że Karpińskiego zainspirowała... cebula. Zaprojektował bowiem okrycie warstwowe dla siebie i kolegów. Ponadto jego autorstwa były mrozo- i wodoodporne namioty, specjalne plecaki, jak również „rakobuty”, gwarantujące przychyczność na skutych lodem i pokrytych śniegiem bezdrożach. Sprzęt wysokogórski produkowano w tamtej epoce przede wszystkim chałupniczo, ciągle eksperymentując.

Kuriozalnie brzmi informacja, że himalaiści oprócz atrybutów specjalistycznych oraz pożywienia, medykamentów, notatnika, lornetki, aparatu fotograficznego taszczyli ze sobą... mechaniczny gramofon wraz z kolekcją płyt. Jednak w tak ekstremalnych, stresujących, a nierzadko traumatycznych warunkach należało jakoś rozładowywać napięcie i pielęgnować kondycję mentalną. Mamy zatem prawo domniemywać, że w bazie obozowej zapewne słyhać było rzewne tony ówczesnych szlagierów. Na przykład tanga „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?”, przeboju ostatniego przedwojennego karnawału, podczas którego Karpiński et consortes oglądali pod Giewontem FIS, jak definiowano wtedy narciarskie mistrzostwa świata, skądinąd zakończone spektakularną klęską naszej reprezentacji narodowej – ale to temat na kiedy indziej.

Zdobycwców Nanda Devi East wyznaczyła medycyna. Karpińskiego dopadły dolegliwości gastryczne, nękała go też migrena, toteż pozostał w bazie pod opieką lekarską. Bernadzikiewicz osłabł podczas wspinaczki, więc zawrócił. W rezultacie „biało-czerwony” proporczyk zatknęli na szczycie Bujak z nowicjuszem Klarnerem.

FATUM

Wspinacze zachęcani powodzeniem, eksponowanym medialnie od Tokio do

Buenos Aires i stanowiącym wspaniałą wizytówkę polskości, postanowili zaatakować jeszcze niższy pobliski wierzchołek – Tirsuli (7074 m). Tym razem stopę na nim usiłovali postawić Karpiński z Bernadzikiewiczem. Niespełna 900 m poniżej celu rozbili namiot. Mieli w nim przeczekać noc, a o poranku ruszyć do ataku. Niestety, w trakcie snu duet pogrzebała lawina lodowo-śnieżna. Pomimo poszukiwań ciała nigdy nie odnaleziono. Ot ludzki los, niemniej lokalne plemiona zinterpretowały wypadek zgoła inaczej. Według ich wierzeń każdy, kto zmąci spokój bogini śmierci Kali, patronującej Nanga Devi East, umrze w tragicznych okolicznościach, jego zwłoki zaś przepadną. I właśnie taka jest geneza



Adam Karpiński, prekursor polskiego himalaizmu FOT. ALAMY/PAP

tytułu filmowego dokumentu. Projekt autorstwa Dariusza Żaluskiego i Oswalda Rodrigo Pereiry zwyciężył w pierwszej edycji konkursu na dokument, organizowany w ramach Festiwalu Kultury Narodowej „Pamięć i Tożsamość”.

Rzekome fatum dotknęło i pozostałą dwójkę wspinaczy. Klarner z Bujakiem po bezskutecznym przeczesywaniu lawiniska podążyli w drogę powrotną. Per pedes, a następnie autobusem dotarli do Bombaju. Dopiero tam zorientowali się, jak bardzo obroty koła historii przyspieszyły. Czym prędzej wsiedli na pokład

statku płynącego do Europy. Wiadomość o wybuchu drugiej wojny światowej zastała ich na Morzu Czerwonym. Wyszli w Egipcie, po czym poprzez Aleksandrię, Stambuł oraz Bukareszt trafili – 11 września – do Lwowa.

WOJNA ZAMIAST GÓR

Klarner zdążył jeszcze powąchać prochu, biorąc udział w kampanii wrześniowej. Wzięty do niewoli niemieckiej uciekł z niej. Walkę kontynuował w szeregach Armii Krajowej. Podczas powstania warszawskiego odniósł obrażenia. Po wojnie prowadził w Sopocie stację obsługi aut i motocykli, potem zarządzał na warszawskiej Pradze warsztatem metalowym. Był zatrzymywany, przesłuchiwany i inwigilowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Jesienią 1949 r. wyszedł ze swojego mieszkania na Saskiej Kępie i zaginął. Prowadzone przez rodzinę poszukiwania spełzyły na niczym.

Natomiast Bujak miesiąc czekał we lwowskim mieszkaniu swoich rodziców na żonę i córkę, które miały tam dotrzeć łada dzień, ewakuując się z Warszawy. Jednak po agresji Sowiec zdecydował się opuścić ojczyznę. Wspólnie z paroma przyjaciółmi przedostał się via Karpaty na Węgry. W grudniu 1939 r. był już w Paryżu, zasilając polskie siły zbrojne, lecz władze postanowiły wykorzystać jego umiejętności na wojennym zapleczu. Dostał posadę w brytyjskiej zbrojeniówce. Modernizował napędy odrzutowców, nic dziwnego, że wpadł w oko służb wywiadowczych. Po zakończeniu wojny usiłował sprowadzić do Anglii rodzinę. Latem 1945 r. razem z koleżanką udał się na urlop na Kornwalii. Zamierzali penetrować miejscowe klify. I tam ich trop się urywa. Lapidarna notka zachowana w aktach policyjnych sugeruje utonięcie, ale dowodów na to brak. Wciąż figurują na liście osób zaginionych, uznanych za zmarłe.

Przed czterema laty – w 80. rocznicę zdobycia Nanda Devi East – nasi himalaiści powtórzyli wycieczkę swoich poprzedników. W ekipie znalazł się Jan Lenczowski, wnuk Jakuba Bujaka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Premierę filmu „Kłtwa góry. Śladami pierwszych zdobywców” zaplanowano na 25 lutego w warszawskim kinie Iluzjon. Film trafi też na antenę Telewizji Polskiej.



Piotr Włoczyk

Słynny amerykański dziennikarz śledczy ogłosił, że to USA stoją za wysadzeniem rurociągów Nord Stream. Trudno nie zauważyć jednak w tej sprawie wielu znaków zapytania

Odkąd tylko świat obieżyła informacja, że na powierzchni Bałtyku niedaleko Bornholmu pojawiły się olbrzymie bąble, zwolennicy wersji o sprawstwie Ameryki przywoływali tę konferencję jako kluczową poszlakę. Podczas wizyty kanclerza Olafa Scholza w Waszyngtonie 7 lutego 2022 r. dziennikarka Reutersa zapytała Joego Bidena o los Nord Stream 2 w obliczu rosyjskiego zagrożenia wiszącego nad Ukrainą.

„Jeżeli Rosja dokona inwazji, to znaczy czołgi i żołnierze przekroczą granicę Ukrainy, nie będzie już Nord Stream 2. Zakończymy go” – powiedział Biden, zupełnie nie przejmując się tym, że stoi obok niego kanclerz. Niemcy zawiesiły wprawdzie proces certyfikacji ukończonego we wrześniu poprzedniego roku NS2, ale jego przyszłość wciąż – przynajmniej ze strony współfinansujących go Niemców – była otwartą kwestią.

Gdy dziennikarka dopytała prezydenta USA, jak Amerykanie mieliby to zrobić, skoro to Niemcy kontrolują ten projekt, Biden odpowiedział krótko: „Obiecuję pani, że będziemy to w stanie zrobić”.

Znawcy tematyki energetycznej pamiętają jednak, że Biden wcale nie był pierwszy, jeżeli chodzi o tak daleko idące groźby ze strony Amerykanów. Trzy tygodnie wcześniej, w połowie stycznia 2022 r., Victoria Nuland, podsekretarz stanu ds. politycznych, powiedziała w czasie rozmowy z dziennikarzami: „Chcę jasno postawić tę sprawę. Jeżeli Rosja zaatakuje Ukrainę, w ten czy inny sposób, Nord Stream 2 nie zostanie uruchomiony”.

Od niedawna wszyscy, którzy uważali, że to faktycznie USA stały za atakiem na Nord Stream, mają na to dużo lepszy dowód niż powyższe cytaty czy słynny



NORD STREAM PIPELINE GAS LEAKS

Bałtycka zagadka

już tweet Radosława Sikorskiego: „Thank you, USA”.

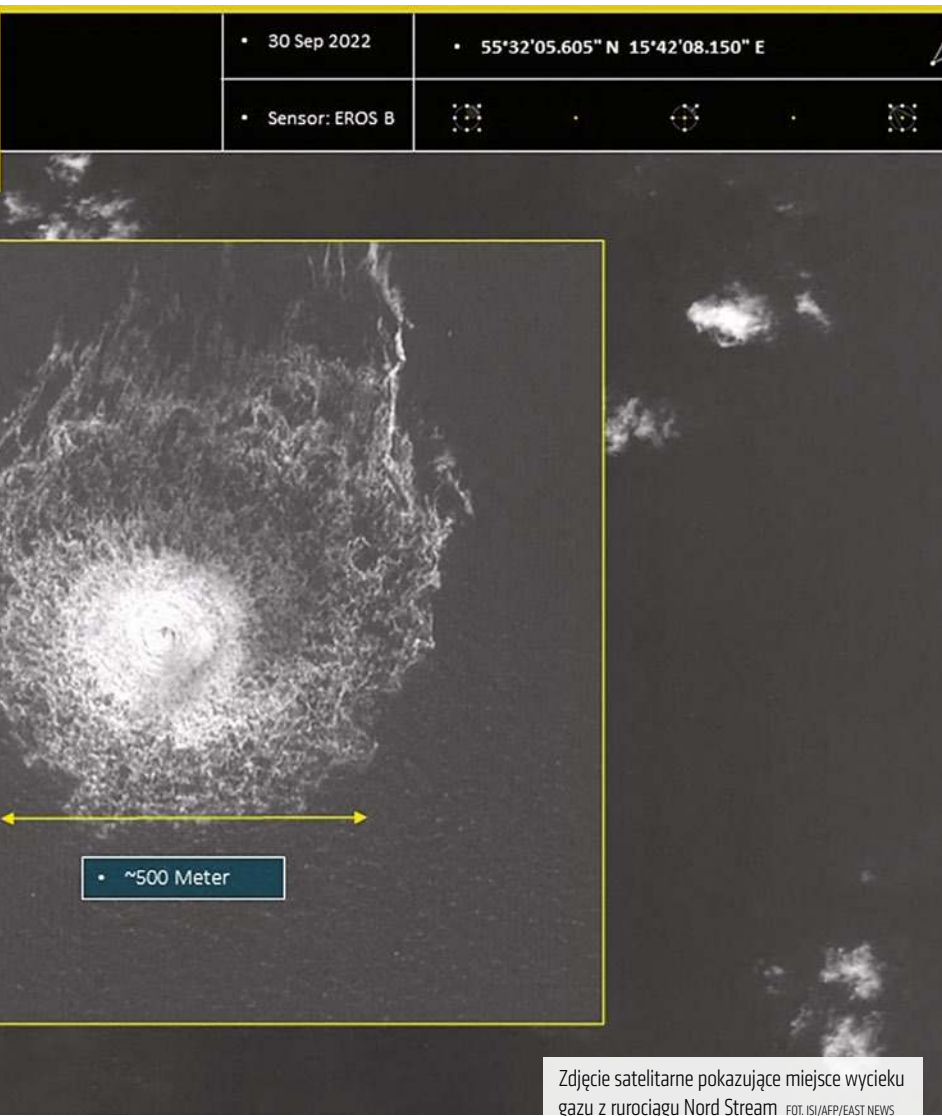
Seymour Hersh, legenda amerykańskiego dziennikarstwa śledczego, opublikował 8 lutego na swoim blogu tekst, w którym przekonuje, że rozerwanie rur Nord Streamu było finałem operacji, którą Waszyngton przygotowywał ponad 9 miesięcy. Osiemdziesięcioletni

dziś Hersh zdobył sławę w 1969 r., publikując przełomowy tekst na temat amerykańskiej zbrodni w wietnamskiej wiosce My Lai (rok później dostał za niego Nagrodę Pulitzera), więc siłą rzeczy jego artykuł wzbudził duże zainteresowanie, i to nie tylko w środowisku eksperckim. Trzeba też przyznać, że ten długi artykuł czyta się jak świetny thriller polityczny.

LOT POSEJDONA

Źródło rządowe, na które powołuje się w tekście Hersh, twierdzi, że Białym Dom zaczął się przygotowywać do wysadzenia gazociągów już w grudniu 2021 r., dwa miesiące przed pełnoskalową agresją Rosji. Biden chciał w ten sposób nadrobić stracony czas. Jeszcze w maju 2021 r. świeżo upieczony prezydent USA zniósł

„Jeżeli Rosja dokona inwazji, to znaczy czołgi i żołnierze przekroczą granicę Ukrainy, nie będzie już Nord Stream 2. Zakończymy go” – powiedział prezydent USA Joe Biden



Zdjęcie satelitarne pokazujące miejsce wycieku gazu z rurociągu Nord Stream FOT. ISI/AFP/EAST NEWS

sankcje nałożone na NS2, czym rozwścieczył Republikanów. Biały Dom liczył wówczas jeszcze, że uda się ułożyć relację z Rosją, do czego niezbędni byli Amerykanom Niemcy, którym tak bardzo zależało na ściąganiu ze Wschodu taniego gazu.

Gdy jednak oczywiste się stało, że Rosjanie zamierzają poszerzyć siłą swoją strefę wpływów i rzucają tym samym wyzwanie USA, Biden – według źródła Hersha – miał zmienić zdanie w sprawie gazociągów na dnie Bałtyku i postanowił na dobre rozwiązać ten problem.

W tej wersji wydarzeń kluczową postacią jest Jake Sullivan, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, który z polecenia prezydenta miał objąć kierownictwo nad operacją permanentnego wyłączenia gazociągów. Od początku dyskusje prowadzili

do jednego wniosku: najlepszym wyjściem będzie wysadzenie Nord Stream. Źródło Hersha przekonuje, że nie były to łatwe rozmowy, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeżeli Rosjanie zdobędą konkretne dowody na udział Amerykanów, to będzie to dla nich casus belli.

Jak w dobrej powieści szpiegowskiej akcja przenosi się następnie do bazy wojсковей, gdzie ludzie Sullivana wyszukują wśród nurków najlepszych z najlepszych. Miejscem tym jest Centrum Nurkowe i Ratownictwa U.S. Navy w Panama City na Florydzie. Szkolenia, które się tam odbywają, obejmują m.in. niszczenie słuz kanałów, przecinanie podwodnych kabli lub podpinanie się pod nie w celu podsłuchiwania komunikacji, a także niszczenie rurociągów.

„Centrum w Panama City, które mieści drugi największy kryty basen w Ameryce, było najlepszym miejscem do rekrutowania najlepszych i jednocześnie najbardziej małomównych absolwentów szkoły nurkowania, którzy latem zeszłego roku zrobili w końcu, 260 stóp pod powierzchnią Morza Bałtyckiego, to, co im kazano” – pisze Hersh.

Według jego źródła Amerykanie wciągnęli do operacji Norwegów na w pełni partnerskich zasadach. Ta część tekstu Hersha jest o tyle wiarygodna, że Norwegia to faktycznie jeden z najbardziej zaufanych sojuszników USA, gdzie Amerykanie mają bardzo ważne instalacje, m.in. bazę okrętów podwodnych,

W grupie planującej operację cały czas miały być widoczne ogromne obawy o zachowanie planów w absolutnej tajemnicy

które pozwalają z bliska przyglądać się rosyjskiej flocie bazującej w północnych portach.

W grupie planującej operację cały czas miały być widoczne ogromne obawy o zachowanie planów w absolutnej tajemnicy. „Istniał też biurokratyczny powód, dla którego polegano na absolwentach szkoły nurkowej w Panama City. Nurkowie wywodzili się z marynarki wojennej i nie byli członkami amerykańskiego Dowództwa Operacji Specjalnych. Tajne operacje wykonywane przez tych ostatnich muszą być bowiem zgłaszane do Kongresu i przedstawiane zawczasu przywódcom Senatu i Izby Reprezentantów – tzw. Gangowi Ośmiu. Administracja Bidena robiła wszystko, co w jej mocy, by zabezpieczyć się przed przeciekami” – pisze Hersh.

Według niego Norwegowie zaproponowali, by przeprowadzić operację w trakcie corocznych ćwiczeń BALTOPS, które w czerwcu 2022 r. miały się odbyć w pobliżu duńskiego Bornholmu. Aby jeszcze lepiej zamaskować podłożenie ładunków wybuchowych, ogłoszono, że w trakcie BALTOPS 22 dojdzie do zawo-

na czas. Według Hersha to Norwegowie wybrali miejsce uderzenia, a cała operacja została przeprowadzona z pokładu ich okrętu.

Źródło Hersha twierdzi, że początkowo ładunki wybuchowe miały zostać odpalone w „tradycyjny” sposób – z 48-godzinny opóźnieniem. Jednak tuż przed rozpoczęciem operacji Biały Dom miał stwierdzić, że tak mały odstęp czasu między ćwiczeniami a eksplozją będzie zbyt podejrzany. Trudno sobie wyobrazić, by decydenci przez kilka miesięcy lub choćby tygodni uważali, że 48-godzinne opóźnienie to dobry pomysł i dopiero na ostatniej prostej zrozumieli, że trzeba znacznie wydłużyć czas od podłożenia ładunków do wybuchu.

Dziennikarz przekonuje czytelników, że 26 września samolot norweskiej marynarki wojennej P-8 Poseidon zrzucił w pobliżu Bornholmu boję, która aktywowała ładunki.

KWESTIA JAKOŚCI

Na ile wiarygodna jest wersja przedstawiona przez Hersha? Pierwszoplanowym problemem jest fakt, że bazuje ona jedynie na jednym źródle, do czego reszta otwarcie przyznaje się sam autor. To z kolei tłumaczy też, dlaczego tak sensacyjny tekst ukazał się na jego blogu, a nie na pierwszej stronie jednej z największych światowych gazet. O ile jego teksty sprzed wielu lat (pisał m.in. dla „The New York Times” i „The New Yorker”) wciąż uważane są za wzór dziennikarskiego rzemiosła, o tyle tego samego nie można powiedzieć już o artykułach, które publikował w ciągu kilku ostatnich lat. W 2015 r. Hersh napisał tekst obalający oficjalną amerykańską wersję na temat likwidacji Osamy bin Ladena. Ten weteran amerykańskiego dziennikarstwa śledczego próbował dowieść w nim, że administracja Obamy starała się zatuszować bardzo niewygodną dla Waszyngtonu prawdę: Pakistańczycy mieli przez lata wodzić Amerykanów za nos w sprawie najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie. Zdaniem Hersha Pakistańczykom już w 2006 r. udało się schwytać bin Ladena, którego następnie przetrzymywali w areszcie domowym, traktując go jako zakładnika. Sensacyjnie brzmiący tekst spotkał się jednak z dość powszechną krytyką – wersja Hersha miała dużo wię-

cej dziur niż oficjalna opowieść Białego Domu. Bardzo wątpliwy pod względem jakości był też tekst Hersha uwalniający syryjskiego dyktatora Baszszara al-Asada od odpowiedzialności za użycie przeciw cywilom broni chemicznej i przerzucenie jej na rebeliantów.

Biały Dom oczywiście zaprzeczył tezom Hersha, nazywając je „kompletną fikcją”. Z drugiej strony Rosjanie w naturalny sposób przedstawiają doniesienia dziennikarza jako prawdę objawioną. Rzecznik Władimira Putina wezwał społeczność międzynarodową do otwarcia śledztwa w sprawie „bezprecedensowego ataku na międzynarodową infrastrukturę krytyczną”. Jak powiedział Dmitrij Pieskow: „Nie sposób zostawić tego bez wskazania osób odpowiedzialnych za to i ukarania ich”. Do tekstu Hersha odniósł się także Siergiej Ławrow. „To zaczęło

O ile teksty Hersha sprzed wielu lat uważane są za wzór dziennikarskiego rzemiosła, o tyle tego samego nie można powiedzieć już o artykułach, które publikował w ciągu kilku ostatnich lat

zagrozić monopolistycznej pozycji wielu amerykańskich korporacji. Trzeba więc było to jakoś zrujnować, i to dosłownie” – skomentował rosyjski minister spraw zagranicznych. Hersh dostał nawet zaproszenie od deputowanych do Dumy, by osobiście opowiedział rosyjskim parlamentarzystom o swoich ustaleniach, ale dziennikarz odmówił. Jeżeli to rzeczywiście Amerykanie odpowiadają za rozerwanie gazociągów Nord Stream, to zrobili to na tyle sprawnie, że Rosjanie nie byli w stanie do tej pory znaleźć dowodu, który wskazywałby na ich winę. Jeszcze do niedawna bowiem Moskwa za podmerskie wybuchy winiła Brytyjczyków.

Najnowszy tekst śledczy Hersha poddawany jest mocnej krytyce, ale jednak część amerykańskich publicystów, szczególnie po prawej stronie, zdaje się (tym razem) w pełni ufać warsztatowi autora. „Tyle tu szczegółów, że to niemożliwe,

żeby to była nieprawda. To jest jak najbardziej prawdziwe” – stwierdził jednoznacznie Tucker Carlson, gwiazda Fox News.

Nie ulega wątpliwości, że Amerykanie byli zainteresowani trwałym wyłączeniem z użytkowania Nord Stream, i to zarówno pod względem bezpieczeństwa (odcienienia przepływu łączącej Niemców z Rosjanami), jak i z powodów czysto ekonomicznych – amerykański gaz skroplony staje się alternatywą dla rosyjskiego niebieskiego paliwa. Równocześnie jednak eksperci wciąż nie wykluczają rosyjskiego sprawstwa. Moskwa mogła bowiem poświecić rurociągi warte miliardy euro, by pokazać swoją determinację i zastraszyć Europę przed zbliżającą się wielkimi krokami zimą. Wszyscy pamiętamy przecież obawy o to, czy nie zabraknie zimą paliwa. Wersję o rosyjskim sprawstwie uprawdopodobnia do pewnego stopnia fakt, że zniszczono trzy z czterech nitek rurociągów Nord Stream. Rosjanie mogli w ten sposób zostawić sobie furtkę do dalszego sprzedawania gazu Europie, a z drugiej strony Amerykanie mogli oszczędzić czwartą nitkę na „czarną godzinę” dla Niemców, gdyby jednak zaopatrzenie w gaz pochodzący z innych kierunków nie było tak proste.

Śledczy ze Szwecji i z Danii stwierdzili, że wybuchy były bez wątpienia aktem sabotażu, ale nie wskazali winnych. Również niemiecka prokuratura na razie nie stawia nikomu zarzutów. Wersję Hersha do pewnego stopnia mogą uprawdopodobniać ustalenia „The Washington Post”. Jak informował pod koniec grudnia ten dziennik, 23 wysokich rangą dyplomatów oraz przedstawicieli wywiadów z dziewięciu krajów zachodnich, z którymi rozmawiali dziennikarze gazety, stwierdziło, że nie powinno się szukać winnych zniszczenia gazociągów Nord Stream na wschodzie.

„Teraz, po kilku miesiącach śledztwa, wielu urzędników prywatnie mówi, że najpewniej nie powinno się winić Rosji za atak na rurociągi Nord Stream” – donosi „The Washington Post”.

W tekście Hersha znalazło się tyle konkretnych szczegółów, że możemy być pewni, iż wielu dziennikarzy śledczych podąży tymi tropami, i okaże się, czy rzeczywiście warto czasem stawiać wszystko na jedno źródło.

ZABILI GO, BO CHCIAŁ POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO

Niemiecka prokuratura postawiła policjantowi zarzut nieumyślnego zabójstwa. Latem 2022 r. został wezwany na teren placówki młodzieżowej w Dortmundzie. Tam 16-latek, emigrant z Senegalu, stał z nożem przy ścianie i groził, że się zabije. Dwóch policjantów strzeliło do niego z paralizatorów, ale gdy nie reagował, trzeci policjant oddał do niego serię z pistoletu maszynowego. Nastolatek zginął.

„ŻYDÓWKA” Z DZIADKIEM Z WEHRMACHTU

Nowa kongresmenka z Florydy (USA), Anna Paulina Luna, w kampanii wyborczej podkreślała, że wychowała się w żydowskiej rodzinie i przedstawiała jako „mesjanistyczna Żydówka”. Śledztwo „Washington Post” ujawniło, że nie tylko nie ma na to żadnych dowodów, lecz także, że dziadek

kongresmenki był emigrantem z Niemiec i w latach 40. ubiegłego wieku służył w Wehrmachcie.

PROCES O ZWROT OD PROSTYTUTKI

Mężczyzna z Enköping w Szwecji zaskarżył prostytutkę do sądu. Uznał, że zapłacił jej zaliczkę za usługę seksualną, ale kobieta nie spełniła jego wszystkich żądań. Dlatego poprosił o zwrot. Sąd rejonowy orzekł, że kobieta może zatrzymać pieniądze. Argumentował, że osoba, która popełnia przestępstwo, nie może żądać odzyskania pieniędzy, które w jego efekcie straciła.

SKAZANA ZA INFORMACJĘ

Dziennikarka RusNews Maria Ponomarienko została skazana przez sąd w Barnaulu na sześć lat kolonii karnej za to, że napisała w mediach społecznościowych, iż w ostrzelanym teatrze w Mariupolu zginęli ludzie. Sędzia uznał to za „rozpowszechnianie fałszywych informacji o wojsku”. ©©

Łukasz Zboralski

ZAMIENNIKI „KOBIETY” I „MĘŻCZYZNY”

Ponieważ mówienie „kobieta” lub „mężczyzna” jest „podkreśleniem heteronormatywnych poglądów”, naukowcy z Kanady i USA w ramach wspólnego projektu językowego (Ecology and Evolutionary Biology Language Project) próbują ustalić, co można wypowiadać zamiast tych słów, by nie być poświadczonym o posiadanie poglądów na istnienie dwóch płci. Wśród propozycji pojawiły się sformułowania zastępcze: „producent jajeczek” oraz „producent nasienia”.

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Warszawa jak Berlin Zachodni



JACEK PRZYBYLSKI

Amerykański Air Force One znów wylądował w Warszawie. 21 lutego, niemal równo rok po inwazji Rosji na Ukrainę, Joe Biden wygłosił przemówienie do Polaków. „To jest historyczny moment. Nigdy wcześniej prezydent USA nie był w Polsce dwa razy w ciągu jednego roku. To jest ogromny zaszczyt” – zapowiadał amerykański ambasador, sygnalizując, że jego szef przekaze tej części Europy, Ukraincom oraz światu, że USA nie zostawi Ukrainy samej sobie.

To może być kluczowe przemówienie Bidena. Warto jednak

pamiętać, że w ostatnich trzech dekadach nad Wisłą lądowali wszyscy prezydenci USA z obu opcji politycznych. Proamerykańska Polska nie pierwszy raz zdała bowiem egzamin jako ważny sojusznik USA. Usłyszymy więc znów, jak jesteśmy ważni, bohaterscy i wyjątkowi. Takie formułki niewiele kosztują, a im więcej chorągiewek, tym lepsze ujęcia w kampanii za oceanem.

Oczywiście dobrze, że w czasach wojny u naszych granic Polska ma ważne miejsce na radarze USA. Ważne, że Biden osobiście przejmuje się bezpieczeństwem tej części Europy. I że

Warszawa odgrywa dziś symboliczną rolę niczym Berlin Zachodni w czasach zimnej wojny. Jeszcze lepiej, że za deklaracjami obrony „każdego centymetra NATO” idzie obecność w Polsce ponad 10 tys. żołnierzy USA. I to właśnie na konkretnych, a nie na symbolach, powinni się skupiać polscy politycy. W tak ważnym momencie muszą zabiegać – pamiętając o dysproporcjach w potencjale obu krajów – o polskie interesy, o jak najszybsze dostawy sprzętu i o pilną aktualizację planów NATO na wypadek rosyjskiego ataku. ©©

2022-12-12 14:09

Ręka Moskwy w Tbilisi



Maciej Pieczyński

Gruzja prowadzi politykę wielowektorową i dryfuje w stronę Rosji. Dlatego jej władze nie zamierzają zaniechać represji wobec Saakaszwilego. On sam zaś nie jest takim ideałem, jak go w Polsce malują

Więzienny szpital. Wycieńczony Micheil Saakaszwili siania się na nogach. Nie jest w stanie o własnych siłach przejść kilku metrów. W końcu przewraca się na własne łóżko. Tak wygląda nagranie z października 2022 r., upublicznione niedawno przez telewizję CNN. Już wcześniej w Internecie pojawiały się inne filmy, ilustrujące fatalny stan jego zdrowia, a lekarze alarmowali, że życiu więźnia może zagrażać niebezpieczeństwo. Wiele wskazuje na to, że był celowo podtruwany. W grudniu 2022 r. prawnicy Saakaszwilego opublikowali wyniki badań medycznych. Amerykański

toksykolog David Smith, analizując próbki włosów i paznokci, wykrył ślady metali ciężkich, w tym arsenu i rtęci. Smith ostrzegł wówczas, że bez odpowiedniego leczenia istnieje ryzyko śmierci.

Saakaszwili przebywa w gruzińskim więzieniu od 2021 r. Kilka razy wznawiał i przerywał głodówkę. Kilka miesięcy spędził w więzieniu, po czym trafił pod straż do szpitala miejskiego Vivamedi. Jego sprawą zajęła się rzeczniczka praw obywatelskich Gruzji Nino Lomdżaria. Na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku zostało przeprowadzonych kilka odrębnych badań, w tym z udziałem zagranicznych lekarzy. Diagnozy były różne – według jednej wykryto 20, według innej aż 36 różnych jednostek chorobowych. W tym zanik mięśni, depresję, anemię, zaburzenia poznawcze czy generalne wyniszczenie organizmu. Od momentu pozbawienia wolności Saakaszwili schudł ponad 40 kg. Lekarze ostrzegali, że jeśli nic się nie zmieni, to zostało mu od dwóch do trzech miesięcy życia. Z kolei gruziński premier Irakli Garibaszwili wyraził przekonanie, że były prezydent w rzeczywistości cierpi tylko na jedną chorobę: „brak chęci odbicia kary za popełnione przez siebie

przestępstwa”. Jego zdaniem Saakaszwili po prostu symuluje.

8 grudnia 2022 r. Nino Lomdżaria złożyła wniosek do sądu o odroczenie kary więzienia ze względu na zły stan zdrowia. W rozprawie chciał wziąć udział sam zainteresowany. Nie był jednak w stanie pojawić się na sali sądowej, a nie wyrażono zgody na zdalny udział. Saakaszwili po raz kolejny ogłosił więc głodówkę. Szybko ją jednak przerwał w reakcji na rezolucję Parlamentu Europejskiego, wzywającą władze w Tbilisi do umożliwienia mu leczenia za granicą. Tego samego dnia służba więzienna opublikowała wiele nagrań z ukrytej kamery. Widać na nich, jak wyraźnie zdenerwowany pacjent rzuca przedmiotami, kłóci się z lekarzami i pielęgniarkami. „Nagrania dowodzą, że Saakaszwili kłamie, aby utrudnić egzekwowanie sprawiedliwości i wprowadzić w błąd opinię publiczną i partnerów międzynarodowych” – oświadczyła oficjalnie gruzińska służba więzienna. Zdaniem zwolenników Saakaszwilego publikacja nagrań była naruszeniem prawa pacjenta do prywatności. Również Lomdżaria stała po stronie więźnia, argumentując, że na filmikach nie widać żadnych dowodów, jakoby pacjent symulował.

Pod koniec stycznia współpracownicy Saakaszwilego poinformowali, że trafił na oddział intensywnej terapii. Zaprzeczyły temu jednak władze szpitala. Na początku lutego sąd ostatecznie odrzucił wniosek o zawieszenie wykonania wyroku, argumentując, że raport o stanie zdrowia polityka nie zawierał wiarygodnych informacji.

OD REFORM DO NAPAŚCI

Saakaszwili to barwna i niejednoznaczna postać. Jeden z przywódców rewolucji róż, która doprowadziła do objęcia przez Gruzję prozachodniego kursu. Jako prezydent nie tylko brutalnie rozprawiał się z opozycją i niezależnymi mediami, lecz także przeprowadzał odważne reformy. Zredukował biurokrację, likwidując pięć ministerstw z 18, zderegulował gospodarkę, sześciokrotnie zmniejszając liczbę licencji potrzebnych dla biznesu.

Jego strategicznym celem było wejście Gruzji do NATO. W kwietniu 2008 r. państwa sojuszu zadeklarowały, że w przyszłości na pewno to nastąpi. Kilka miesięcy później przynajmniej na jakiś czas dążenia te przekreśliła wojna z Rosją, która do akcesji nie zamierzała dopuścić. Bezpośrednią przyczyną agresji był jednak konflikt między Tbilisi a Abchazją i Osetią Południową. Oba regiony oderwały się od Gruzji tuż po rozpadzie ZSRS, a ich separatystyczne dążenia popierała we własnych interesach Moskwa. Saakaszwili dał się sprowokować Putinowi i pierwszy zaatakował zbuntowaną Osetię Południową. W odpowiedzi Rosja uderzyła na Gruzję, którą jednoznacznie poparły Polska i kraje bałtyckie.

Ostatecznie Moskwa politycznie wygrała. Gruzja, co prawda, obroniła niepodległość, ale Abchazję i Osetię straciła raczej bezpowrotnie. Oddaliła się też perspektywa członkostwa w NATO – nie tylko z powodu nieuregulowanych granic, lecz także dlatego, że gruziński prezydent okazał się politykiem nieprzewidywalnym, podatnym na prowokacje.

EMIGRANT

Po zakończeniu drugiej kadencji Saakaszwili wyemigrował na Ukrainę. Został szefem rady reformatorów przy Poroszen-ce oraz gubernatorem obwodu odeskiego. Później jednak zaczął wszystkich wokół oskarżać o korupcję, pokłócił się z prezydentem i przeszedł do opozycji. Poroszen-

W 2021 r. Saakaszwili schował się w kontenerze na pokładzie promu płynącego do Gruzji z Ukrainy

ko odebrał Saakaszwilemu obywatelstwo ukraińskie, które wcześniej sam mu nadał. Ukraiński paszport otrzymał ponownie w 2019 r., z rąk Zełenskigo. Z kolei gruzińskie obywatelstwo stracił już w 2015 r.

W 2021 r. postanowił zaryzykować, wrócić do swojej pierwszej ojczyzny i podjąć walkę o władzę. Schował się w kontenerze z żywnością na pokładzie promu płynącego z ukraińskiego portu nad Morzem Czarnym do gruzińskiego miasta Poti. W ten sposób po wielu latach wrócił do Gruzji, aby wesprzeć swoją partię – Zjednoczony Ruch Narodowy – w wyborach samorządowych. Został aresztowany za nielegalne przekroczenie granicy. Z miejsca trafił za kratki na podstawie dwóch ciężących na nim prawomocnych wyroków za nadużycie władzy z czasów, gdy był prezydentem. Pierwsza dotyczy brutalnego pobicia posła opozycji, który krytycznie wypowiadał się o życiu prywatnym i o budowie nowej rezydencji ówczesnej głowy państwa. Pobicie miał zlecić sam Saakaszwili. Drugi wyrok ma związek z zabójstwem pracownika banku. Zamieszanych w tę sprawę funkcjonariuszy MSW Saakaszwili ułaskawił bez wymaganego prawem zasięgnięcia opinii Rady Konsultacyjnej. W pierwszej sprawie sąd wydał wyrok trzech lat więzienia, w drugiej – sześciu.

Ponadto przeciwko Saakaszwilemu toczy się jeszcze kilka innych postępowań. Grożą mu kolejne lata odsiadki za: brutalne rozpędzenie antyrządowych protestów w 2007 r. (przy użyciu broni gładkolufowej), defraudację pieniędzy publicznych (miał je wydać m.in. na kurację odchudzającą w szwajcarskiej klinice), rzekome opozycyjnej telewizji Imedi (rzekomo nawoływała do obalenia władzy) oraz konfiskatę majątku jej właściciela.

FLIRT Z KREMLEM

Zdaniem wielu komentatorów gruzińskie władze represjonują Saakaszwilego nie tylko w ramach walki z opozycją, lecz

także na zlecenie Moskwy. Były prezydent ma być ofiarą zemsty Putina. Od 2012 r. w Tbilisi rządzi partia Gruzkańskie Marzenie, założona przez prorosyjskiego oligarchę Bidzinę Iwaniszwilego. Oficjalnie ugrupowanie deklaruje aspiracje unijne i euroatlantyckie.

W marcu 2022 r. Gruzja wraz z Ukrainą i Mołdawią złożyła wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej. W praktyce jednak prowadzi wielowektorową politykę, licząc na profity ze współpracy zarówno z Zachodem, jak i z Rosją. Z jednej strony potępiła inwazję na Ukrainę. Po ogłoszeniu przez Putina mobilizacji setki tysięcy Rosjan uciekło do Gruzji. Z drugiej strony Tbilisi nie przyłączyło się do zachodnich sankcji. W czasie wojny wzrósł import towarów z Rosji. Pogłębia się też uzależnienie gospodarcze od północnego sąsiada. Ponadto władze Gruzji nie zezwoliły na wylot gruzińskich ochotników na front ukraiński. W odpowiedzi Zełenski odwołał ambasadora z Tbilisi. Premier Garibaszwili z kolei oskarżył Kijów o próbę wciągnięcia Gruzji do wojny. Na zlecenie Zełenskigo „zadanie” to miał jakoby wykonać właśnie Saakaszwili.

Uwzięcie kontrowersyjnego, ale prozachodniego polityka, a już szczególnie skandaliczny sposób traktowania więźnia, to też ogromna przeszkoda na drodze do UE i NATO. Być może jednak gruzińskie władze zdają sobie sprawę, że perspektywa integracji z Zachodem i tak jest bardzo odległa, a przybliżające ją reformy mogą być kosztowne społecznie. Dlatego nie mogą sobie odmówić ani rozprawy z groźnym przeciwnikiem politycznym, ani flirtu z Kremlem. Ponadto Gruzini mogą się obawiać zemsty Putina i powtórek z 2008 r. Zachód jest daleko, a Rosja – u bram. Rosja wciąż oficjalnie wroga, bo stosunki dyplomatyczne pomiędzy Tbilisi a Moskwą pozostają zerwane. Ich wznowienie oznaczałoby akceptację utraty Abchazji i Osetii Południowej.

Sami Gruzini zdają się mieć podobnie „wielowektorowe” poglądy co ich obecne władze. Według sondaży 75 proc. społeczeństwa chce wejść do NATO, 88 proc. – do UE. Przy tym jednak aż 62 proc. opowiada się za dialogiem z Rosją.



Jacek Przybylski

Rzecznik generalny TSUE Anthony Michael Collins wydał długo oczekiwaną opinię w sprawie zaciąganych przez Polaków kredytów frankowych. Po jego słowach tzw. frankowicze i ich prawnicy otwierali szampany. W dużo gorszych nastrojach byli bankierzy. Osłabił się złoty, a prezes PFR ostrzegł, że Polska może grozić kryzys gospodarczy

Kredyt może być darmowy. To najważniejszy wniosek z wydanej 16 lutego opinii rzecznika generalnego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który ogłosił, że „po uznaniu przez sąd umowy kredytu hipotecznego za nieważną ze względu na nieuczciwe warunki konsumenci mogą dochodzić od banków roszczeń wykraczających poza zwrot świadczeń pieniężnych”. Innymi słowy – kredytobiorcy mają prawo domagać się od banków odsetek za opóźnienie w zwrocie świadczeń.

Anthony Michael Collins przypomniał, że unijne prawo nie określa, jakie są skutki stwierdzenia, że umowa konsumencka staje się prawnie nieistniejąca po usunięciu z niej nieuczciwych warunków. „Do sądów krajowych należy ustalenie, w oparciu o prawo krajowe, czy konsumenci mają prawo dochodzić tego rodzaju roszczeń oraz, jeżeli tak jest, rozstrzygnięcie o ich zasadności” – zaznaczył rzecznik generalny TSUE.

Jednocześnie Anthony Michael Collins jest zdania, że takiego prawa w stosunku do konsumenta nie mają natomiast banki. W szczególności nie mogą dochodzić od kredytobiorców roszczeń wykraczających poza zwrot przekazanego im kredytu i zapłatę odsetek za opóźnienie od chwili wezwania do zapłaty. Jak bowiem zauważył rzecznik generalny TSUE, bank nie może czerpać korzyści z sytuacji powstałej na skutek własnego bezprawnego działania.



Opinia warta

– Ta opinia była jeszcze korzystniejsza, niż osobiście oczekiwałem. I jest to na pewno przełom z punktu widzenia banków, które nie wiadomo dlaczego wbrew stanowisku Komisji Europejskiej czy polskiego rządu tak długo upierały się, że należą się im pieniądze za korzystanie z kapitału – mówi „Do Rzeczy” prezes Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu Arkadiusz Szczęśniak.

NADCHODZI FAŁA POZWÓW

„Opinia Rzecznika jest bardzo istotna, ponieważ przeważnie pokrywa się z wyrokiem Trybunału Sprawiedli-

wości UE. Chociaż finalne orzeczenie poznamy dopiero w połowie 2023 r., dzisiejsze stanowisko zdradza, że będzie ono najprawdopodobniej korzystne dla Kredytobiorców. Dotychczasowa linia orzecznicza TSUE także opowiadała się po stronie Frankowiczów. Nie ma więc powodów, by Kredytobiorcy zwlekali ze składaniem pozwów o unieważnienie umów z bankami. Wielu z nich obawiało się wchodzenia na drogę prawną z obawy przed roszczeniami” – tłumaczy w przesłanym „Do Rzeczy” komentarzu radca prawny, CEO Szołajski Legal Group, Marcin Szołajski. „Dzisiejsza opinia



miliardy

i przyszły, prawdopodobnie korzystny, wyrok TSUE z pewnością przyczynią się do kolejnej fali pozwów sądowych ze strony Frankowiczów. Należy zgodzić się z Rzecznikiem Generalnym TSUE, że dyrektywa konsumencka nie stoi na przeszkodzie dochodzeniu dodatkowych roszczeń przez konsumentów ponad zwrot wpłaconych rat. Wynika to jednoznacznie z dyrektywy konsumenckiej, która ma szczególnie chronić konsumentów. Rzecznik Generalny TSUE Anthony Collins słusznie uznał, że bankom nie należy się żadne dodatkowe wynagrodzenie poza zwrotem przekazanej

kwoty kredytu. Jak potwierdza Rzecznik Generalny – bank nie może czerpać korzyści na skutek swojego bezprawnego działania. Opinia Rzecznika w mojej ocenie słusznie chroni konsumentów i odrzuca roszczenia banków, albowiem celem dyrektywy jest zniechęcenie banków do stosowania wobec konsumentów nieuczciwych warunków” – przekonuje Marcin Szołajski.

GRA O OGROMNĄ STAWKĘ

Oczywiście opinia rzecznika generalnego TSUE to jeszcze nie wyrok TSUE. Ten ostatni ma być znany w tym roku,

najprawdopodobniej latem. Gra toczy się o ogromną stawkę. Potencjalne straty polskiego sektora bankowego wynikające z niekorzystnego dla nich orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE idą bowiem nie tylko w dziesiątki miliardów, ale mogą – w zależności od przyjętego wariantu – przekroczyć 100 lub nawet 200 mld (!) zł.

Eksperci UKNF już w 2021 r. oszacowali skutki finansowe w zależności od poszczególnych wariantów rozstrzygnięć sądowych. Według wariantu „upadek umowy ze zwrotem kapitału, ale bez rozliczenia kosztu” – w wariantcie tym „bank w toku wzajemnych rozliczeń odzyskuje pierwotnie wypłacony kapitał kredytu, jednakże z zastosowaniem historycznego kursu CHF/PLN. W związku z tym wartość tego kapitału jest niejednokrotnie niższa od bieżącej wyceny kredytu w bilansie banku (tej, która była przedmiotem zaprzestania ujmowania w bilansie). Bankowi nie przysługują roszczenia z tytułu zwrotu kosztu kapitału. Kredytobiorca może skutecznie dochodzić roszczenia o zwrot wszystkich świadczeń, które poniósł na rzecz banku w związku z wcześniej zawartą umową, wobec której orzeczono upadek” – szacowany koszt dla polskiego sektora bankowego wynosiłby 101,5 mld zł.

Koszt wariantu „upadek umowy bez zwrotu kapitału oraz jego kosztu” – w którym „bank nie otrzymuje wstecznie żadnych świadczeń od kredytobiorcy, kredytobiorca zaś może skutecznie dochodzić roszczenia o zwrot wszystkich świadczeń, które poniósł na rzecz banku w związku z wcześniej zawartą umową, wobec której orzeczono upadek” – został zaś w opracowaniu opublikowanym przez Urząd Komisji Nadzoru Finansowego w 2021 r. oszacowany aż na 234 mld zł (słownie: dwieście trzydzieści cztery miliardy złotych). Jednocześnie tzw. wariant ugodowy – zgodnie z którym walutowy kredyt mieszkaniowy jest rozliczany od daty uruchomienia, tak jak kredyt złotowy – urzędnicy KNF w odpowiedzi na pytania skierowane do nadzoru przez Izbę Cywilną Sądu Najwyższego szacowali wówczas jedynie na 34,5 mld zł.

UKNF już w 2021 r. informował, że wartość funduszy własnych banków biorących udział w badaniu sprawozdawczym według stanu na dzień

■ 31 grudnia 2020 r. wyniosła 171,4 mld zł, a po dokonaniu korekty o wielkość zawiązanych rezerw na spory prawne: 180,5 mld zł. To zaś oznacza, że w razie realizacji wariantu, w którym dochodzi do upadku umowy bez zwrotu kapitału i jego kosztu, fundusze banków nie pozwolą na pokrycie całości kosztów – ostrzegali urzędnicy KNF, zauważając jednocześnie, że realizacja wariantu „Upadek umowy ze zwrotem kapitału, ale bez rozliczenia kosztu” wiązałaby się z uszczupleniem funduszy własnych banków o 56 proc.

Po ogłoszeniu w ubiegłym tygodniu opinii rzecznika generalnego TSUE prawdopodobieństwo ziszczenia się czarnych scenariuszy dla banków wydaje się stosunkowo wysokie. Przedstawiciele sektora ostrzegają, że skrajnie korzystne dla frankowiczów rozstrzygnięcie przez Trybunał miałyby nie tylko mocno uszczuplić kapitał banków w Polsce, który w związku z tym wyrokiem musiałyby zawiązać ogromne rezerwy, lecz wręcz zachwiać stabilnością niektórych banków i doprowadzić do wybuchu nad Wisłą potężnego kryzysu gospodarczego, m.in. dlatego, że polskie banki de facto straciłyby możliwość kredytowania inwestycji.

Przed takim wariantem ostrzegał w czwartek prezes Polskiego Funduszu Rozwoju. – Interpretacja TSUE grozi poważnym kryzysem makroekonomicznym, ponieważ zgodnie z szacunkami KNF takie rozwiązanie to jest ponad 200 mld zł, które na koniec musieliby zapłacić wszyscy podatnicy – zauważył Paweł Borys, dodając, że kilka banków znalazłoby się w bardzo trudnej sytuacji i „musiałoby być ratowane naszymi pieniędzmi”.

– Niekorzystny wpływ tego typu wypowiedzi na polską gospodarkę już widać po kursie złotego, który się osłabił, widać po spadku kursów banków. Pomijam kwestię, że wszystkie banki, które byłyby obciążone takimi kosztami, nie byłyby w stanie finansować wzrostu akcji kredytowej, czyli finansować de facto gospodarki. Konsekwencje byłyby bardzo poważne i zapłaciłbyś za nie wszyscy – zauważył prezes PFR Paweł Borys, przekonując, że rząd oraz Komisja Nadzoru Finansowego powinny przeanalizować wypowiedzi rzecznika generalnego TSUE i znaleźć rozwiązanie, które nie doprowadzi do wybuchu w Polsce kryzysu makroekonomicznego.

– Uważam, że nie jest sprawiedliwe obciążanie kosztami tego rozwiązania wszystkich podatników – stwierdził prezes PFR. Jego zdaniem sprawiedliwym społecznie rozwiązaniem byłoby zrównanie w prawach kredytobiorców złotych i walutowych. Oznaczałoby to, że kredyt frankowy byłby przewalutowywany i rozliczany w taki sposób, jakby od początku zaciągnięty był w złotych. Wspomniany wyżej wariant ugodowy kosztowałby ok. 34,5 mld zł, czyli byłby do udźwignięcia przez polski sektor finansowy (w 2021 r. UKNF szacował, że „ugody” pochłonęłyby 19 proc. funduszy własnych banków).

O tym, jak ważny jest to problem, świadczy fakt, że w październiku ubiegłego roku do Luksemburga osobiście pofatygował się szef Komisji Nadzoru Finansowego, aby przedstawić argumenty w tej sprawie i próbować przekonać sędziów TSUE, aby nie zabraniali bankom dochodzenia zapłaty za kapitał. „Zanegowanie możliwości dochodzenia przez banki wynagrodzenia za korzystanie z kapitału może doprowadzić do załamania polskiego systemu finansowego” – ostrzegał wówczas przewodniczący KNF Jacek Jastrzębski.

W ubiegłym tygodniu rzecznik generalny TSUE Anthony Michael Collins stwierdził jednak, że argument dotyczący stabilności rynków finansowych w Polsce jest bez znaczenia w kontekście wykładni dyrektywy 93/13, która ma na celu przede wszystkim ochronę interesów konsumentów.

SĄDNE DNI DLA BANKÓW?

„Rzecznik Generalny wskazał, że Dyrektywa 93/13 nie reguluje tego, jak powinny rozliczyć się strony umowy o kredyt indeksowany, jeśli zostanie ona uznana za nieważną. Dlatego odpowiedzi na pytanie, czy konsument może żądać od banku zwrotu kosztów korzystania z zapłaconych rat, poszukiwać należy w prawie krajowym. Jeśli prawo krajowe dopuszcza takie roszczenie konsumenta, to Dyrektywa nie stoi temu na przeszkodzie. Co do roszczeń Banku Rzecznik wskazał, że Dyrektywa 93/13 stoi na przeszkodzie tym roszczeniom. Jest to stanowisko sprzeczne z wyrokiem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie C-395/21 i w sprawach połączonych C-349/18, C-350/18 oraz C-351/18, zgodnie z którymi prawo

krajowe decyduje o skutkach nieważności umowy” – czytamy w komentarzu przesłanym „Do Rzeczy” przez Związek Banków Polskich.

„Puls Biznesu”, jeszcze zanim swoją opinię wygłosił rzecznik generalny TSUE, poinformował z kolei, że trwają już prace nad ustawą frankową, która ma zabezpieczyć polski sektor bankowy na wypadek niekorzystnego dla banków rozstrzygnięcia TSUE. Według informacji „Pulsu Biznesu” zgodnie z ustawą banki musiałyby przedstawić frankowiczom opcję przewalutowania na złote (na zasadach opisanego wyżej „wariantu ugody”). Jeszcze kilka lat temu, gdy kurs franka szwajcarskiego nagle wystrzelił w górę – przez co nagle frankowicze zaczęli niespodziewanie płacić więcej niż ostrożni złotówkowicze – wielu posiadaczy kredytów walutowych chętnie poszło na ugodę, w której całe ryzyko walutowe biorą na siebie banki. Dziś wcale nie jest to takie pewne, ponieważ w sądach zdecydowanie więcej spraw wygrywają konsumenci niż przedstawiciele banków. Prawo nie może zaś zmusić kredytobiorcy do przyjęcia propozycji banku. Konsument mógłby więc pozostać przy kredycie frankowym albo skierować sprawę do sądu. Według „Pulsu Biznesu”, aby zapobiec ziszczeniu się tego ostatniego scenariusza i masowo kierowanych spraw wobec banków, ustawodawca rozważa wprowadzenie specjalnego podatku od bezpodstawnego wzbogacenia, który wynosiłby 100 proc. różnicy między tym, co zyskałby konsument, gdyby poszedł na ugodę z bankiem, a tym, co udałoby mu się wygrać w sądzie. Batalie prawne przeciw bankom nagle straciłyby więc sens. Czy w polskim porządku prawnym takie rozwiązanie jest w ogóle możliwe?

– Na razie to jedynie spekulacje dziennikarskie, bo nikt nie potwierdza, że rzeczywiście ktoś pracuje nad tego typu ustawą. Oczywiście nie ma podstaw prawnych do tego, aby w takich przypadkach obciążać konsumentów podatkiem od wzbogacenia. Same banki przy każdej okazji straszą, że wpadną w gigantyczne tarapaty, tymczasem mimo rekordowych rezerw zawiązanych w ubiegłym roku przez sektor finansowy banki pochwały się rekordowo dobrymi wynikami – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy” wiceprezes Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu Marek Rzewuski.

© All rights reserved



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM„Dziesiątka”
PMM czy PDT?

W Polsce „przedsiębiorcze państwo” staje się faktem. I to – zwłaszcza ostatnio – z każdym rokiem coraz bardziej. Czy dla polityków budujących to „przedsiębiorcze państwo” to powód do dumy czy wręcz przeciwnie? Czy będą się nim chwalić czy odwrotnie – zarzucać konkurentom politycznym, że to raczej oni chcą do cna upaństwowić Polskę?

W opublikowanym przez Warsaw Enterprise Institute raporcie pt. „Twórcza destrukcja kontra przedsiębiorcze państwo. O konkurencji w Polsce” jego autor Damian Olko wykazuje, jak drastycznie ostatnio ograniczana jest u nas konkurencja – z fatalnymi tego dla polskich konsumentów skutkami.

Damian Olko wskazuje 10 kluczowych sposobów ograniczania w Polsce konkurencji: „Najważniejsze ingerencje państwa, ograniczające lub zniekształcające konkurencję w ostatnich latach, to m.in. (1) powrót do nacjonalizacji firm (de facto); (2) wzrost kontroli państwa nad sektorem bankowym; (3) marginalizacja publicznego rynku kapitałowego, (4) ekspansja działalności państwowych podmiotów dostarczających finansowanie; (5) zakazy: handlu ziemią rolną, handlu w niedziele; (6) regulacje sektorowe typu »apteka dla aptekarza«, »ustawa odległościowa« ograniczająca inwestycje w OZE; (7) wspieranie państwowych monopolii; (8) wysokie subsy-

dia dla wybranych sektorów; (9) podatki sektorowe (bankowy, handlowy, cukrowy i inne) czy też (10) preferencje podatkowe dla wybranych sektorów lub rodzajów działalności (np. ulgi i preferencyjne stawki podatkowe dla programistów”.

I teraz pytanie: Czy to jest rzeczywiście „dziesiątka” Morawieckiego, z której szef rządu jest dumny – uznając, że jego celem jest właśnie budowanie „przedsiębiorczego państwa”, które odgrywa kluczową rolę w gospodarce Polski? A korzystając ze swej politycznej przewagi, siłą rzeczy – czasami świadomie, a czasami niejako „przy okazji” – ogranicza wolność działania firmom prywatnym?

Czy przeciwnie – premier Morawiecki podążanie tą drogą uważa za złe, a jeśli się jego rządowi przytrafiło, to jako uboczny skutek walki z kolejnymi kryzysami? I na domiar jest przekonany, że wizja ta bardziej pasuje do jego konkurenta – byłego (i przyszłego?) premiera Donalda Tuska?

W każdym razie Olko w swym raporcie dowodzi, że po przeprowadzeniu głębokich reform zwiększających konkurencję – w tym cofnięciu wielu decyzji z ostatnich lat – gospodarka Polski w ciągu 10 lat mogłaby zwiększyć swą produktywność aż o 10–14 proc. Czy to mogłaby być nowa „dziesiątka” Morawieckiego? Albo nowa „dziesiątka” Tuska? A może kogoś jeszcze innego, jeśli żaden z nich się do niej nie przyzna? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTATrzaskowski
na froncie
zielonej komuny

Nie dziwi mnie, że Rafał Trzaskowski próbuje zlekceważyć publikację „Dziennika Gazety Prawnej”, dotyczącą raportu napisanego jakiś czas temu dla klubu C40, skupiającego prezydentów i burmistrzów miast z całego świata. Raport – przypominam – stawia postulaty takie jak drastyczne ograniczenie prawa do podróży lotniczych, do posiadania samochodu czy jedzenia mięsa. Wszystko to w imię walki o klimat. Dla Trzaskowskiego to w tej chwili problem wizerunkowy.

Trzaskowski powiada: „Ej, ale to tylko jakieś tam opracowanie, w dodatku sprzed kilku lat, które nie jest naszym programem, więc jakie to ma znaczenie?”. Otóż ma – kapitalne. Ten raport jest kwintesencją zielonej komuny, która coraz śmielej i brutalniej wkracza do naszego codziennego życia m.in. w postaci polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Między wierszami w takich opracowaniach można wyczytać, że ludzie przecież nie będą chcieli dobrowolnie obniżyć swojego poziomu życia i zrezygnować z takich nabytych w ciągu ostatnich dekad możliwości, jak tanie podróżowanie po całym świecie. A skoro tak, to trzeba ich będzie

po prostu wziąć za mordę i przymusić. Klimatystyczni fanatycy od jakiegoś już czasu podrzucają pomysły, aby w razie potrzeby zerwać z głupimi demokratycznymi przesadami, które utrudniają i spowalniają wdrażanie zielonej komuny.

Nie jest przypadkiem, że właśnie taki raport ideolodzy z Uniwersytetu w Leeds (bo nie sposób nazwać autorów raportu „naukowcami” – z nauką nie ma to nic wspólnego) przygotowali akurat dla C40. To reakcja na oczekiwania tego gremium. Taka linia jest w tym gronie akceptowana i dla niego naturalna. Jeśli spojrzeć na politykę miejską, którą prowadzi warszawski ratusz pod kierownictwem Rafała Trzaskowskiego – wszystko się zgadza. Nie ma tu większego znaczenia, że samo miasto w polskim łańdźie prawnym nie może tak radykalnie ograniczyć praw obywateli. Może jednak na rzecz takich ograniczeń na centralnym szczeblu działać i im sprzyjać.

Sama obecność Trzaskowskiego w C40 dowodzi, że ta linia mu pasuje, że ją akceptuje. Wystarczy zresztą poczytać, co deklaruje organizacja na swojej stronie internetowej: to radykalna klimatystyczna ideologia, a wspomniany raport idealnie się w nią wpisuje. ©©

Twój dom z ekopaszportem



Jakub Wozinski



Wprowadzany pod koniec kwietnia wymóg posiadania świadectwa energetycznego dla wszystkich budynków to zaledwie wstęp do lawiny wydatków, które Polacy będą musieli ponieść w związku z wdrażaniem unijnego programu „Fit for 55”

Testowane w czasie pandemii „paszporty covidowe” odeszły na szczęście w niepamięć (choć niestety nie we wszystkich krajach), lecz niebawem wszyscy będziemy musieli zabiegać o posiadanie nowych certyfikatów, tym razem dla naszych budynków mieszkalnych. Zgodnie z porozumieniem osiągniętym w październiku ubiegłego roku przez Radę Europejską do 2050 r. wszystkie istniejące na terenie całej wspólnoty budynki mają stać się zeroemisyjne. Wstępem do tego ma być wielka akcja nadania oceny charakterystyki energetycznej wszystkich budynków mieszkalnych.

NIEMAŁE KOSZTY

Począwszy od 28 kwietnia, w życie wchodzi nowelizacja ustawy o charakterystyce energetycznej budynków oraz ustawy Prawo budowlane. Do tej pory świadectwa energetyczne musieli zdobywać jedynie właściciele budynków mieszkalnych powstałych po 2009 r. Oznacza to, że już niebawem Polacy masowo zgłoszą się do firm, które będą wystawiały certyfikaty określające, jakie jest zapotrzebowanie danego budynku na poszczególne rodzaje energii. Każdy budynek ma docelowo uzyskać wzorem

sprzętu AGD odpowiednią ocenę energochłonności od A do G.

Nowy obowiązek będzie się oczywiście wiązał z niemałymi wydatkami, ponieważ koszt uzyskania „paszportu energetycznego” będzie wynosił co najmniej 300 zł w przypadku mieszkań oraz 500 zł dla domu jednorodzinnego (stawki w dużych miastach są zdecydowanie wyższe). Uciążliwość nowych przepisów polega jednak głównie na tym, że każdorazowa wymiana okien, klimatyzacji czy grzejników będzie wymagała wystawienia nowego świadectwa. Wraz ze zbliżaniem się do zeroemisyjnego punktu kulminacyjnego w 2050 r. unijne przepisy będą także stopniowo podnosić wymagania w zakresie klasy energetycznej budynków, co w praktyce będzie pociągało za sobą konieczność płacenia za kolejne świadectwa nawet co kilka lat (obecnie wedle ustawy ważne są 10 lat). Jakby tego było mało, od 28 kwietnia nawet wynajmując mieszkanie, trzeba będzie pozyskać świadectwo energetyczne oraz poinformować o tym w ogłoszeniu. Wymóg ten jest wręcz absurdalny, gdyż wedle obowiązujących przepisów dotyczy nawet najmu krótko-terminowego.

Gdyby narzucone nam przepisy sprostawały się wyłącznie do wprowadzenia

obowiązkowych świadectw energetycznych, można byłoby mówić jedynie o kosztownej urzędniczej fanaberii. O wiele bardziej istotne jest jednak to, co kryje się za całym projektem o nazwie „zeroemisyjność 2050”. Do większości Polaków, którzy w badaniach opinii społecznej pozostają wciąż najbardziej prounijnym narodem na kontynencie, najprawdopodobniej nie dociera wciąż to, jak wielką rewolucję będzie oznaczała konieczność uzyskania najwyższej, zeroemisyjnej klasy energetycznej dla nieruchomości do połowy obecnego wieku.

POLSKA W REMONCIE

Według różnych szacunków nawet 80 proc. budynków w Polsce będzie musiało zostać zaadaptowane do nowych standardów. Oznacza to ogromne wydatki na termomodernizację, wymianę pieców, instalację pomp ciepła i wiele innych zabiegów, które biurokraci uznają za sprzyjające walce z ociepleniem klimatu. Obliczono, że budownictwo generuje dziś w Polsce 11 proc. całej emisji dwutlenku węgla, a jeśli cel zeroemisyjności ma zostać zrealizowany już do 2040 r., to trzeba ograniczyć emisję całego sektora aż o połowę.

Oczywiste jest, że aby sprostać temu realizowanemu w niezwykle forsownym



FOT. ADAM STOK

liczba pozwoleń na emisję ma stopniowo maleć aż do zera. Obserwując, w jaki sposób kształtowały się ceny na tym specyficznym „rynku” w ostatnich kilku latach, można mieć w zasadzie pewność, że na początku kolejnej dekady czeka nas lawinowy wzrost kosztów.

NIEUŚWIADOMIONA REWOLUCJA

Do tej pory spośród wszystkich elementów unijnych starań o osiągnięcie zeroemisyjności stosunkowo największe kontrowersje wzbudzał projekt zakazu sprzedaży aut spalinowych do 2035 r. W rzeczywistości równie wielką siłą rażenia mają plany związane z rewolucją w zakresie całego budownictwa. Wciąż stosunkowo niewiele osób ma świadomość choćby tego, że powstające w całej Unii od 2029 r. domy będą musiały obowiązkowo posiadać odpowiednią, uregulowaną przepisami instalację fotowoltaiczną.

W praktyce wszystko to oznacza nie tylko konieczność poniesienia gigantycznych kosztów, lecz także daleko idącą ingerencję w prywatną własność. Bez względu na to, jak zapatrujemy się na teorię o antropogeniczności globalnego ocieplenia, już wkrótce będziemy musieli urządzić nasze domy i mieszkania według ściśle określonych przez biurokratów standardów dotyczących m.in. użycia materiałów budowlanych czy też nawet rozplanowania pomieszczeń.

Wielkie zmiany w budownictwie przyczynią się głównie do tego, że posiadanie własnego domu czy mieszkania będzie wiązało się z coraz większymi kosztami, którym wiele osób nie sprostą i sprawi tym samym, że wzrośnie rynek wynajmu. Tak jak w innych obszarach zielonej rewolucji, także w budownictwie premiowany będzie schemat faworyzujący w jaskrawy sposób głównie wielki kapitał. Jeśli dodatkowo uwzględnimy to, że do 2050 r. czeka nas analogiczna rewolucja w transporcie, rolnictwie i całym przemyśle, to nietrudno zauważyć, że jej koszty społeczne będą wręcz ogromne.

Wprowadzenie systemu obowiązkowych certyfikatów energetycznych może także budzić niepokój dlatego, że w sposób całkowicie zbędny rozszerza zakres wiedzy urzędników o naszym stanie posiadania. Wydanie „ekopaszportu” wiąże się przecież ze spisem niemałej części domowego sprzętu i wyposażenia.

Uzyskane w ten sposób dane nie tylko będą następnie służyły jako podstawa do dalszego urabiania nas wedle zeroemisyjnej modły, lecz także odsłonią przed oczami urzędników jeszcze większą część naszej prywatności, o którą w czasach wiecznie malejących limitów płatności gotówkowych czy drobiazgowych spisów powszechnych i tak coraz trudniej.

NA KOLANACH PRZED ZEROEMISYJNOŚCIĄ

Rozsmakowana w rozdawaniu publicznych pieniędzy ekipa rządząca najwyraźniej nie dostrzega wspomnianych tu zagrożeń, a wręcz przeciwnie, z przyjemnością wypełni kolejny „kamień milowy” zrównoważonego rozwoju. Bruksela obiecała Polsce, że będzie największym beneficjentem Społecznego Funduszu Klimatycznego, i choć od dłuższego czasu widać wyraźnie, że wypłacanie unijnych środków stało się elementem wielkiego politycznego szantażu, to rząd nie potrafi z tego faktu wyciągnąć odpowiednich wniosków.

Polityczne koszty wielkiej rewolucji w budownictwie będą tym samym nawet większe niż finansowe. Nad całym procesem przekształcania Polski w zeroemisyjny raj na ziemi czuwać będzie wszak Komisja Europejska, stale monitorująca postęp w zakresie realizacji zaaprobowanego przez siebie Krajowego Planu ds. Energii i Klimatu. Wprowadzanie kolejnego mechanizmu kontroli tak znacznej części naszej gospodarki oraz powiązanie go z tak wielkimi funduszami to wręcz prośenie się o jeszcze większe kłopoty.

I rzecz nie mniej ważna – sporym powodem do niepokoju jest także postępująca certyfikacja całej naszej rzeczywistości. Ekopaszporty naszych domów i mieszkań to kolejny element wielkiej rewolucji polegającej na cyfryzacji naszej prywatności i jej optymalizacji zgodnie z życzeniami wielkiego biznesu. Wielki projekt zeroemisyjnej rewolucji to przecież okazja do ogromnego zarobku dla dostawców zeroemisyjnych technologii i rozwiązań. Raz wprowadzone certyfikaty energetyczne staną się bez wątpienia przedmiotem licznych manipulacji, a kryteria „czystej energii” jeszcze nieraz zostaną zmienione w imię „jeszcze bardziej czystej energii” czy też „najczystszej z energii”.

tempie programowi, Polacy będą musieli sięgnąć bardzo głęboko do kieszeni. Kary przewidziane za brak świadectw energetycznych i niespełnianie norm mają być surowe i wynosić co najmniej kilka tysięcy złotych. Jeszcze głębiej do kieszeni obywateli sięgnie jednak państwo, które na realizację programu zeroemisyjności będzie musiało przeznaczyć zawrotne sumy. Sam tylko program „Czyste Powietrze” ma kosztować w ciągu 10 lat aż 103 mld zł. Rządowi właśnie dlatego tak bardzo zależy na odblokowaniu środków z Krajowego Planu Odbudowy, ponieważ zobowiązał się przeznaczyć w jego ramach ok. 3,5 mld euro na renowację budynków zgodnie z nowymi standardami.

Najbardziej zatrważającym elementem zielonej rewolucji w budownictwie wydaje się jednak utworzenie tzw. małego EU ETS. Począwszy od 2027 r., wszyscy obywatele Unii Europejskiej będą musieli płacić za emisję CO₂ ze swoich budynków. Obowiązek ten zostanie formalnie przerzucony na dostawców energii, lecz w praktyce koszty ponosić będą sami obywatele poprzez wyższe rachunki. Tak jak w przypadku „dużego EU ETS” przewidziany jest początkowy ulgowy okres, w którym poszczególne państwa dostaną „darmową” pulę pozwoleń, lecz później

TEST „DO RZECZY”: OBROTOWA KAMERA IP EZVIZ HB8 2K+

Wytrzymała bateria, dobra jakość obrazu, możliwość monitorowania dużego obszaru, sprawnie działająca funkcja wykrywania ruchu z funkcją automatycznego śledzenia intruza – to największe zalety bezprzewodowej, obrotowej kamery chińskiej firmy Ezviz.

Biała, obrotowa kamera w plastikowej obudowie – uzbrojona w obiektyw o jasności f/1.6, czteromegapikselowy sensor oraz prawdziwą czujkę PIR – umożliwia monitorowanie dużego obszaru, automatycznie rejestrując nagrania w rozdzielczości 2560 x 1440.

Obraz jest ostry i wystarczająco szczegółowy nawet w trybie nocnym (testowany model umożliwia wyświetlanie kolorowego obrazu nawet po zapadnięciu zmroku). Po wykryciu intruza kamera wysyła powiadomienia na smartfon/tablet. Urządzenie może również automatycznie aktywować głośną syrenę i dwa migające reflektorki, aby odstraszyć potencjalnego włamywacza. To wyjątkowo ważna zaleta – zwykle kamery umożliwiają bowiem zdobycie dowodu przestępstwa (i np. wizerunku zamaskowanego włamywacza), podczas gdy modele takie jak HB8 ułatwiają zapobieżenie włamaniu. Podobnie jak wiele innych kamerek IP, HB8 2K+ pozwala również na komunikację dwukierunkową. Można

więc np. z dowolnego miejsca na świecie poprosić kuriera o przerzucenie paczki przez płot.

Największym plusem testowanego modelu jest jednak zasilanie baterijne, które pozwala zainstalować kamerę w dowolnym miejscu na elewacji lub nawet kilkadziesiąt metrów od domu (w zależności od mocy sygnału wi-fi) bez konieczności prowadzenia przewodu zasilającego.

Według producenta wbudowany w kamerę akumulator pozwala na pracę nawet do 210 dni na jednym ładowaniu (przy założeniu, że kamera będzie rejestrowała obraz średnio przez pięć minut dziennie). Nasz test trwał krócej, ale rzeczywiście Ezviz HB8 potrafi długo pracować na własnym zasilaniu bez konieczności doładowywania. Czas pracy na baterii można dodatkowo zwiększyć, podłączając do kamery panel słoneczny (trzeba go dokupić oddzielnie), dzięki czemu jeszcze rzadziej trzeba będzie wspinać się po drabinie, aby doładować kamerę.

Obudowa jest odporna na deszcz, śnieg czy mróz. Podczas testów temperatura na zewnątrz spadała poniżej 20 st. C, a kamera



nadal działała bardzo dobrze. Dodatkową zaletą testowanego modelu jest pamięć wewnętrzna eMMC o pojemności 32 GB. Wady? Wprawdzie funkcja wykrywania ruchu działa bardzo dobrze, ale oprogramowanie Ezviz

w przeciwieństwie do niektórych produktów konkurencji nie umożliwia konfiguracji automatycznych powiadomień w zależności od kategorii wykrytego obiektu (np. człowieka, samochodu lub zwierzęcia). Na szczęście można ustawić detekcję sylwetki, dzięki czemu kamera będzie alarmować, gdy wykryje człowieka, ale daruje nam powiadomienia o biegającym w tę i z powrotem psie. Aby umożliwić długie działanie na baterii, kamera nie nagrywa obrazu w trybie ciągłym, a jedynie rejestruje wykryte zdarzenia.

Mimo tych minusów Ezviz HB8 2K+ dobrze sprawdza się jako kamera IP do domowego monitoringu. Ważne jest również to, że dedykowana aplikacja jest darmowa i nie wymaga zakupu abonamentu. Cena testowanego modelu wynosi ok. 700 zł. ©©

Jacek Przybylski

SMARTWATCH I SŁUCHAWKI W JEDNYM

FOT. MATERIAŁY PRASOWE
Huawei Watch Buds. Tak nazywa się innowacyjny inteligentny zegarek od chińskiego producenta, w którym pod otwieraną pokrywą znajdują się dwie identyczne słuchawki douszne TWS (True Wireless), przyczepione do spodu magnetycznej pokrywki. Każda słuchawka waży zaledwie 4 g, a wymiary takiej pchełki to 21,8 x 10,3 x 10,3 mm. Producent zapewnia jednak, że udało mu się zmieścić w takim maleństwie pełnozakresową membranę, generującą dobry, pełen detali dźwięk. Model Watch Buds wyposażono w duży wyświetlacz AMOLED o przekątnej 1,43 cala i rozdzielczości 466 x 466. Jak typowy smartwatch, urządzenie wyposażono w ponad 80 trybów treningowych, funkcję monitoringu snu

oraz pomiaru natlenienia krwi oraz tętna. Zegarek polską premierę miał w ubiegłym tygodniu. Cena wynosi 2299 zł, ale do końca lutego obowiązuje promocja, która pozwala nabyć też gadżet taniej.

IKEA SPRAWDZI POWIETRZE

Vindstyrka to nowy inteligentny monitor jakości powietrza zaprezentowany przez szwedzkiego producenta. Urządzenie o minimalistycznym skandynawskim wzornictwie na niewielkim ekranie pokazuje wyniki pomiaru pyłu zawieszonego w powietrzu o średnicach cząstek do 2,5 µm, a także temperaturę oraz wilgotność. IKEA zapowiada, że czujnik będzie mógł również komunikować się z aplikacją IKEA, a także z innymi urządzeniami w domu, czyli np. samodzielnie uruchomi oczyszczacz powietrza, jeśli stężenie szkodliwego pyłu będzie zbyt wysokie. Premiera zapowiadana jest na wiosnę. Cena nie jest jeszcze znana. ©©

Jacek Przybylski





ANNA POPEK Z D. CHRZUZI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZI

SIOSTRY GOTUJĄ

Gołąbki po lwowsku

Nasi dziadkowie ze strony mamy przyjechali na Śląsk ze Lwowa i tu znaleźli swój dom. Przez długi czas myślałyśmy, że kresowy smak i klimat to już zamknięta przeszłość, aż do momentu, gdy trafiłyśmy pod Radziejowicami, a konkretnie w Kuklówce Radziejowickiej, do prawdziwego polskiego, kresowego dworu. Mieści się tam Muzeum Lwowa i Kresów i każdy gość jest tam mile widziany. Miejsce jak z bajki!

Dwór wita gości sentencją: „Bóg stworzył Człowieka, Człowiek – rodzinę, Rodzina – Ojczyznę. Jam Dwór Polski, co strzeże Tego mężnie”. Gdy tylko przekraczamy próg domu, rozumiemy, że to prawda. Nagromadzenie autentycznych, przywiezionych z Kresów pamiątek i artefaktów jest ogromne! Każdy przedmiot ma swoją historię, o której wspaniale opowiada gospodyni Aleksandra Biniszewska. Notabene prapraprawnuczką gen. Łukasza Biegańskiego, adiutanta Kościuszki pod Racławicami.

W dworze ważny był układ pomieszczeń. Nam bardzo spodobał się antyszambur, czyli przedpokojopoczekalnia. Niedaleko antyszamburu w dworze w Kuklówce znajduje się alkierz kawowy – nieduży pokój, gdzie pito kawę i gdzie można było swobodnie palić, nie przeszkadzając damom. W tym jednym miejscu zamknięta jest historia wielkich bitew, czynów patriotycznych, historia obyczajów, kultury stołu, historia literatury i – co najważniejsze – historia polskiej rodziny.

Pani Ola, okazując nam prawdziwą polską gościnność, poczęstowała nas gołąbkami po lwowsku.



sku i ten przepis przekazujemy także wam. Wszystkie proporcje podajemy na oko – tak jak pamiętamy zresztą z rodzinnego domu.

• grzyby suszone • ziemniaki
• boczek • cebulka • kapusta
• 1 jajko • koperek • sól • pieprz do smaku

Grzyby płuczemy, zalewamy gorącą wodą i gotujemy. W tym czasie wytapiamy z boczku skwarki, ale – uwaga – wrzucamy je na zimną patelnię, którą stopniowo rozgrzewamy. Gdy skwarki będą już zrumienione, wrzucamy do nich cebulkę pokrojoną w kostkę i szklimy. Wyłączamy gaz. Gotujemy kapustę wydrążonym głąbem na dół. Gdy zaczyna bulgotać, wyjmujemy ją, ale nie wylewamy kapuścianego wywaru! Ziemniaki gotujemy, przepuszczamy przez praskę, aby stanowiły jednolitą, dobrze roztartą masę.

Grzyby, boczek, cebulkę mielimy w maszynce do mięsa bądź bardzo drobnutko kroimy i mieszamy z ziemniakami i jednym całym jajkiem. Taką masą faszerujemy liście kapusty, które powinny być lekko sprężyste, by dobrze owinęły farsz. Układamy w garnku i zalewamy wywarem z grzybów wymieszanym z wywarem z kapusty. Można dodać do tego pokrojone w paski inne warzywa – np. marchew. Koniecznie całość solidnie posypać świeżym lub suszonym koperkiem – daje specyficzny, właściwy dla tej potrawy smak. Na koniec, gdy

gołąbki się podgotują, a kapusta stanie się miękka, zalewamy potrawę śmietaną 18-procentową. Podajemy na rodowych talerzach :). © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Morderstwo so British

Należę do ginącego gatunku, który słabo znosi filmy opatrzone ostrzegawczym napisem: „Przemoc, wulgarny język”. Zwłaszcza to drugie, bo do bitki na ekranie człowiek już się przyzwyczaił. Jednym słowem – lubię spędzić godzinę przed telewizorem, nie słysząc co drugiego słowa f.c.k w jedynie słusznym polskim przekładzie. Taką gwarancję daje tylko angielski serial kryminalny.

Jego składniki to po pierwsze: angielska prowincja. Po drugie: prowadząca śledztwo osoba – starsza, nieefektowna, uparta, przenikliwa, wzbudzająca jednak sympatię. Obok niej pomocnik, jej przeciwieństwo: przystojny, ale bystrością niedorównujący szefowi. Po trzecie: ludność miejscowa i jej malownicze typy. Wszystkie te składniki zawiera serial „Morderstwa w Midsomer”.

Serial „Sprawy inspektora Morse’a” potrzebowałby odrębnej laudacji, gdyż jest to dzieło wybitne, nie tylko w swojej klasie, i jeżeli coś zasługuje na (głupawe) określenie „kultowy”, to właśnie „Morse”. Wymienionym wyżej miasteczkiem i miejscem akcji jest w tym serialu Oxford. Podziało, i to jak! Ludzie przyjeżdżają do Oxfordu nie



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

dla słynnego uniwersytetu, ale żeby zobaczyć miejsca, gdzie bywali Morse i jego towarzysz Lewis. („Tu leżał trup” – mówią turyści, przechadzając się nad kanałkiem). Producenci nie oparli się pokusie nakręcenia sequela i tak powstały „Endevour: sprawy młodego Morse’a” oraz „Lewis”. Oba świetne, ale to już nie to.

Kreacja Johna Thawa jako starego Morse’a jest niezrównanym dokonaniem aktorskim. Stworzył on postać samotnego, niezbyt sympatycznego, wybitnie przenikliwego i nieprzejednanego policjanta, który kocha Wagnera i kocha się w kobietach, zawsze nieszczęśliwie. Żałuję, że nie spotkał mnie na swojej drodze, poszłabym za nim jak w dym. Ryczałem jak bóbr, kiedy umarł. Zarówno „Morse”, jak i „Midsomer” podszyte są humorem i ironią very British. W tym towarzystwie pełzający grozą serial „Broadchurch”, z imponującą parą: Davidem Tennantem i Olivią Loleman, odbija powagę i głębokim psychologizmem.

Teraz wiele oczekuję od serialu „Vera”, który właśnie zaczęliśmy oglądać. Mam nadzieję, że się nie zawiodę, w każdym razie wszystkie niezbędne powyższe składniki tu są. © ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koźlak kontra turbina

ZSRER, czyli Związek Socjalistycznych Republik Europejskich, zastawia nam na siłę pola rządami obrzydliwych i niepodlegających degradacji turbin wiatrowych, które zastąpić mają w polskim krajobrazie nasze swojskie wiatraki. Tych ostatnich zresztą jest niewiele, poza zachowywanymi w skansenach i relikdami zaadaptowanymi na restauracje czy agroturystykę. A przecież jeszcze przed drugą wojną światową wiatrak był stałym elementem krajobrazu wsi i miasteczek polskich.

Młyn wietrzny pojawił się u nas późno. Jak podaje Bohdan Baranowski w „Polskim młynarstwie”, dopiero pod koniec XIII w. mamy pierwsze wzmianki o wiatrakach z okolic Pomorza Zachodniego. Rozpowszechniały się powoli, najpierw w Wielkopolsce i na Kujawach, gdzie funkcjonowały już na początku kolejnego stulecia. W połowie XVI w. odnotowane są także na północnym Mazowszu, niestety dawne dokumenty i lustracje nie odróżniają ich od zwykłych młynów wodnych. Jeden młyn w zachodnich województwach przypadał wówczas średnio na ok. 300 mieszkańców. Bohdan Baranowski przyjmuje, że na ziemiach obecnej Polski znajdowało się pod koniec XVI stulecia ok. 12 tys. młynów wodnych i wiatraków, których najmniej było na południu kraju – w województwach krakowskim, sandomierskim i ruskim. W Krakowie pierwszy zbudowano dopiero w 1714 r.!

Prawdziwa moda na wiatraki nastąpiła jednak pod koniec XVIII w. W Poznaniu do 1785 r. nie było ani jednego, a w 1793 r. odnotowano już sześć. Historycy przyjmują, że pod koniec stulecia, zapewne przed ostatecznym upadkiem Rzeczypospolitej, na jej ziemiach zachodnich działało ok. 6 tys. wiatraków.



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

Jak wyglądały? Badacze są na ogół zgodni, iż były prawie takie same jak zachowany w skansenach typ zwany koźlakiem. To prosty wiatrak o konstrukcji szkieletowej, obity deskami, a jego nazwa wywodzi się stąd, że jest osadzony na tzw. koźle, czyli sworzniu z bali, który umożliwia konstrukcji obracanie się i nastawianie wiatraka w zależności od kierunku wiatru. Do czego z kolei służy specjalny drąg wystający poza konstrukcję i zwany „dyszlem”. Różnice pomiędzy średniowiecznymi koźlakami a tymi budowanymi od XVIII w. polegały na tym, że w dawnych typach koźli nie był niczym osłonięty. Wiatrak wyglądał jak budka osadzona na postumencie. W późniejszych wersjach koźli znajdował się we wnętrzu budowli osłonięty z zewnątrz przez deski i konstrukcję młyna. Taki koźlak stanowił najprostszy typ wiatraka, w Polsce zachowało się ich najwięcej; jeśli spotkamy jakiś w skansenie lub muzeum, to najczęściej jest to właśnie ten typ, zbudowany zwykle pod koniec XIX w.

Kolejnym wiatrakiem, który jednak pojawił się u nas dopiero w XVIII w., był tzw. holender. Rozpowszechnił się głównie w Prusach Królewskich i na Północnym Mazowszu. Jest to młyn wietrzny murowany z kamienia lub cegły, całkowicie nieruchomy. Obraca się jedynie górna, drewniana część konstrukcji, w której osadzone są śmigła – zwana „czapą” lub „hełmem”. Po wielu takich budowlach

pozostały dziś murowane ściany, które – pozbawione drewnianych elementów – zdają się być wieżami czy silosami, a to w rzeczywistości pozostałości wiatraków. „Holendry” reprezentowały wysoki poziom wiedzy technicznej – czapa osadzona była na łożyskach, mechanizmy umożliwiały przemiał nie tylko zwykłej mąki, lecz także śrutę na paszę dla zwierząt i regulację rozstawu kamieni młyńskich. Kiedy pierwsze wiatraki tego typu pojawiły się w Warszawie – na Marymoncie i Młocinach pod koniec XVIII w. – budziły tak wielką sensację, że mieszkańcy całymi tłumami udawali się, aby je oglądać. Niezwykłą ciekawostką było to, że konstrukcję zmodyfikowano w połowie stulecia, dodając do czapy Holendra mały wiatraczek przypominający tylne śmigło dzisiejszego helikoptera, który pomagał obrócić ją zgodnie z kierunkiem wiatru. Dziś czasem szczególnie ten umyka rekonstruktorom dawnego budownictwa. Całkowicie zachowany wiatrak holenderski z tylnym śmigłem możemy oglądać np. w Rogierówku pod Poznaniem.

Wcześniejszą wersją holendra stał się tzw. paltrak. Był to koźlak, osadzony wszakże nie na koźle, ale na solidnej podmurówce, a cała konstrukcja obracała się – podobnie jak czapa – na łożysku. Dzięki temu stawała się bardziej stabilniejsza i odporna na wichury niż łatwy do wywrócenia koźlak osadzony na pojedynczym sworzniu.

Jak znaleźć miejsca, gdzie niegdyś powołane były wiatraki? Jest to bardzo proste – przedwojenne mapy, tzw. setki w skali 1 do 100 tys., pokazują zwykle dokładnie ich usytuowanie. Wystarczy tylko porównać je ze współczesnym zdjęciem satelitarnym. ©



DEKAMERONKI

Hipokryzja elit

JERZY KARWELIS

Portal Military.com doniósł, że wśród wojskowych pilotów tzw. medyczne incydenty wzrosły o 1,7 tys. proc. W czasie pandemii. Wzrost nie został zainicjowany samymi przypadkami covidowymi, ale raczej późniejszymi reperkusjami spowodowanymi reakcją na COVID.

Pierwszy element to dług zdrowotny, bo dostępność do lekarzy zmniejszyła się w COVID, nawet w przypadku lotników, którzy mają obowiązek okresowych badań kontrolnych. Ale główny wysyp „incydentów” można zauważyć w okresie, w którym ruszyły szczepionki.

Siedem i pół tysiąca procent to niezła korelacja i to dość istotna. Dlaczego tego jest tak sporo? Ano dlatego, że wszyscy piloci mieli ostro egzekwowany obowiązek szczepienny i te odłożone skutki zaczęły następować wśród sporej grupy, gdyż i cywilni, i wojskowi piloci poddali się szczepieniom gremialnie, pod rygorem utraty pracy. To wcale nie oznacza, że piloci są jacyś chorowici. To tylko oznacza, że gdyby przebadać jakąś inną grupę zawodową przymuszaną do szczepień (np. wojskowych), to wyszłoby podobnie.

Wśród pilotów cywilnych też mieliśmy spory wzrost zachorowań, łącznie z zaszłabięciem za sterami. Ale, mimo tych rewelacji, nikt nie chce nazwać rzeczy po imieniu. A widać, że coś jest

na rzeczy. Otóż okazuje się, że milionerzy, którzy mają lub wynajmują prywatne odrzutowce, sprawdzają, czy piloci byli zaszczepieni, i takich... nie biorą na pokład. Nie chcą latać z tymi, którzy wzięli „najlepiej przebadaną szczepionkę świata”.

To musi być absurdalnie ciekawe. No, bo np. setki takich bogaczy wybrało się ostatnio (ręcz jasna, ekologicznymi) odrzutowcami do Davos, gdzie nie dość, że rozprawiali o konieczności poświęceń się dla klimatu, to jeszcze deliberowali o paszportach szczepionych, oddaniu władzy nad zdrowotnym światem WHO czy o dobrodziejstwie szczepień. A jednocześnie ich samoloty pilotowali lotnicy szury, płaskoziemscy antyszczepionkowcy.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że mamy do czynienia ze światową hipokryzją, podczas której jedne normy są wprowadzane dla mas maluczkich, a drugie nie obowiązują wprowadzających. Mechanizmem wprowadzającym tę zasadę w czasie COVID był rozsiewany strach. Dziś, kiedy ludziom już COVID spowszedniał, takie rzeczy są możliwe tylko wtedy, kiedy elity są pewne, że nie trzeba się nawet tłumaczyć z tej dwoistości podejścia. A to zakłada, że po drugiej stronie nie ma już opinii publicznej. Ta została skutecznie spacyfikowana. I wydaje się, przynajmniej elitom, że jest to proces nieodwracalny. ©©



#WARTO

Synod bez krzyża

JAN POSPIESZAŃSKI

W niedzielę 12 lutego zakończyło się spotkanie w Pradze, które było ostatnim etapem prac kontynentalnej fazy Synodu o synodalności. Dwustu przedstawicieli z Europy obradowało... w hotelu i tam też odprowadzane były msze święte. Czy nie można było znaleźć klasztoru, kościoła, gdzie są właściwe warunki do pracy takiego gremium, a jednocześnie byłaby godna przestrzeń dla liturgii? Już pierwszego dnia delegatka Francji zauważyła, że organizatorzy pomyśleli o cateringu, rzutniakach, nagłośnieniu, ale zapomnieli o kaplicy Adoracji Najświętszego Sakramentu. Ten niby „drobny szczegół” więcej mówi o władzach Synodu niż sążniste analizy.

W zaprezentowanym dokumencie roboczym zawarta jest cała modernistyczna agenda dotycząca większej roli kobiet w Kościele i „ponownego przemyslenia” kwestii diakonatu i kapłaństwa kobiet. Sporo jest o mniejszościach seksualnych nazwanych tu „osobami queer” (!), a także postulacie wyświęcania żonatych mężczyzn. W tekście, owszem, pojawiają się kwestie zachowania niezmiennego doktryny Kościoła, obrona rodziny i małżeństwa, a także ostrzeżenia, by Kościół nie ulegał duchowi czasu (co zawdzięczamy m.in. delegacjom z Polski i Ukrainy), ale końcowa forma będzie opracowana przez komitet redakcyjny i Bóg wie, co się w niej jeszcze znajdzie.

Polscy delegaci krytykowali dziwaczny wieloznaczny język dokumentu. Synodalna nowomowa jest mało precyzyjna – mówi się ciągle o „inkluzywności”, o różnorodności, którą należy postrzegać jako zaletę, słyszymy, że jedność nie oznacza uniformizmu, a przecież pod te nieprecyzyjne pojęcia każdy może sobie podłożyć inną treść. Siostra Mirona pyta, gdzie tu jest Dekalog, gdzie prawda o grzechu i nawróceniu. Przedstawiciel Ukrainy, ksiądz biskup Radosław Zmitrowicz, porównał tekst podsumowania tej fazy Synodu do Ewangelii, która zatrzymuje się przed Golgotą. Nie ma w tym dokumencie ani słowa o ułomnej naturze człowieka, nie ma nic o ludzkim grzechu i odkupieńczej misji Chrystusa. W „synodalnym obrazie” Jezus Chrystus naucza, rozmnaża chleb, przywraca wzrok, uzdrawia, nawet wskrzesza, ale nie umiera za nasze grzechy. A przecież to my, ludzie, przybiliśmy Go do krzyża. Najdoskonalsze ówczesne prawo rzymskie, najdoskonalszy system religijny – żydowska Synagoga i głos ludu – skazały Jezusa na śmierć.

Uczestnicy zwracają uwagę, że idea synodalności, naśladując ludzki, demokratyczny system, stoi na głowie. Nie wychodzi od ludzi, od dołu, ale jest narzucana z góry. Podobnie tekst podsumowania. Gdyby delegaci naprawdę mieli demokratycznie głosować nad przyjęciem dokumentu roboczego, przepadłby w pierwszym czytaniu. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERTOK

Bezmięsny program Rafała

Być może przez nie-dopatrzenie jakieś poznałszy wreszcie program PO, jeśli Rafał Trzaskowski jest z Platformy, a zdaje się, że jest. Stop. W skrócie: okazało się, że obywatel „Jaki pan jest wysoki” jako szef Warszawy zapisał Warszawę do grupy stu postępowych miast, które mają cele tak postępowe, że nie można informować o nich warszawiaków. Stop. Są tam dla obywateli miast dwa cele: progresywny i ambitny. Według progresywnego człowiek warszawiak będzie jadł rocznie 16 kg mięsa (teraz je ok. 70), a według ambitnego w ogóle nie będzie jadł mięsa, podobnie z nabiałem. Stop. Rocznie będzie mógł kupić osiem sztuk albo trzy sztuki nowych ubrań, a podróżować samolotem będzie mógł raz na trzy lata i mniej niż 1500 km w obie strony. Stop. W sumie to prosty powrót do czasów realnego komunizmu: mięsa nie było, ubrań nie było i paszportów też dla zwykłego obywatela nie było. Stop. Jak Trzaskowski z ferajną jeszcze porządzi, to po mięso miastowe jeździć będą na wsie z partyzanką ostrożnością i pod osłoną nocy. Stop. Oznacza to, że pracę stracą setki tysięcy ludzi. Stop. Kogo to obchodzi? Progresywna lewica się bawi i już. Stop.

Trwa operacja „Salami”, czyli odkrawanie Polski z Polski po plasterku. Stop. Operację z dużą skutecznością przeprowadza Komisja Europejska, która teraz

pozwala Polskę do Trybunału Sprawiedliwości za rzekome naruszenie prawa przez nasz Trybunał Konstytucyjny, który uznał wyższość polskiej konstytucji nad prawem Unii. Stop. Komisja chce, żeby polska konstytucja się nie liczyła. Stop. Jeśli tak by się stało, to Polska straci suwerenność, najważniejsze decyzje dotyczące Polski będą podejmowane w Brukseli i Berlinie, a my będziemy musieli się podporządkować. Stop. Bardziej to wyrafinowane niż rozbiory przeprowadzane siłą wojska, ale niewola ta sama. Stop.

„Gazeta Wyborcza” jako nosnik postępu raczy nas czasem zaskakującymi obyczajówkami. Stop. Tym razem się dowiedzieliśmy, że jest sobie kobieta Sarah, która ma męża i chłopaka, a wszyscy to akceptują. Stop. Trójkąty to jednak nic nowego, pełno tego w literaturze, ale – jak uczy doświadczenie – nie są to zbyt trwałe związki, ponieważ ich głębokość nie tkwi w emocjach. Stop.

WKalifornii uniewinniono mężczyznę, który po pijanemu prowadził auto. Stop. Przyłapany przez żonę w łóżku z kochanką dowiedział się, że żadna z nich nie akceptuje takich trójkątów. Stop. Mężczyzna tłumaczył, że uciekał samochodem przed dwoma furiami. Stop. Ława przysięgłych uznała, że wściekłe kobiety są gorsze od karabinu maszynowego i trzeba zwiewać w każdy możliwy sposób. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Finezja, która ubogaca

Małgośka, mówią mi, twoja psychoprawica nie spocznie, zanim nie utopi w łyżce wody Sikorskiego. To raczej sam Sikorski idzie na dno z szybkością „Titanica”, co zresztą staje się widowiskowe, choć ma też spory potencjał kiczu. Pan Sikorski przyjmuje z całkowitą powagą pozę niewinnej ofiary, bo liczy na to, że ludziom mylą się słowa „legalne” z „moralne”. Twitter daje mu nieskończone możliwości, by się miotać, wyprowadzać niecelne ciosy na oślep i finalnie się błazić, do czego zresztą już zdążył nas przyzwyczaić. Trudno sobie wręcz wyobrazić, jak nudna byłaby scena polityczna bez pana Radka, coś pewnie jak cyrk bez klaunów. W polityce, tak jak w cyrku, potrzeba ludzi, którzy choć nie umieją błyszczeć umiejętnościami, to brawurowo sięgają pocieszny zamęt i odstawiają numery, testując, kiedy publika zawyje najgłośniej.

Czasem tworzą przy tym neosemantyzmy, czyli wyprawiają nowe znaczenia dla starych słów. Trzeba jednak poczekać na finał kontroli CBA, a wtedy się dowiemy, czy słowa „doradzać”, „konferencja” – tak często używane przez Sikorskiego – nabrały nowego ciekawego znaczenia. Uczmy się finezji językowej od wrogów, bo tylko tak mogą się nam na coś przydać. Mnie np. wielokrotnie zawiódł zmysł finezji, przez co budżet domowy bardzo ucierpiał.

Pamiętam, jak 12 lat temu, gdy jeszcze prowadziłam firemkę projektową, rysując i kaligrafując dla firm i instytucji, ktoś zadzwonił do mnie z propozycją wypisania dyplomów. Prosta sprawa, w końcu kaligrafowałam w 20 stylach dyplomy honoris causa dla uniwersytetów i dla Polskiej Akademii Nauk. W kameralnej kawiarni podszedł dwóch tęgich panów i położyli przede mną stosik czystych dyplomów ukończenia studiów wyższych (SGH, o ile pamiętam). Jeden z nich powiedział, że brzydko piszą, więc można im pomóc, a przy tym sporo zarobić. Pociemniało mi w oczach, ale zerwałam się i uciekałam z jakimś piskiem oburzenia. A przecież mogłam najpierw zapytać, czy nie chodzi tu przypadkiem o konsultację, jak podnieść ich kwalifikacje w kaligrafowaniu piórem, jak udoskonalać dukt pisma (na całkiem przypadkowo opieczętowanych już wydrukach dyplomów).

Dlaczego niby nie wolno połączyć funkcji nadwornego kaligrafa z byciem doradcą nie do końca transparentnej „fundacji” paru osiłków, o obniżonych standardach w liternictwie? Mogłam wystawić legalną fakturę na usługę i po bożemu odprowadzić podatek. Tyle że ja nie umiem doradzać za grube pieniądze i w wątpliwej sprawie. Stąd mój akces do ludzi zwanych pieszczotliwie przez Sikorskiego „psychopravicą”. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Przyzwyczajenie

Jadąc metrem, liczę czasem procent osób zagłębionych w śledzeniu swoich smartfonów. Na ogół jest to grubo ponad połowa. Wśród młodzieży jest to zdecydowana większość. Przyzwyczailiśmy się kontaktować ze światem przez mały ekran. W metrze trudno zresztą o inny kontakt. W telewizji jedni zauważają, że jakaś pani odeszła z grupy Szymona Hołowni, choć nie bardzo wiadomo czemu, inni zaś denerwują się rzekomymi występami ministra Czarńka. Nasze życie to proza, tyle że czytana co drugie słowo.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że za granicą trwa wojna. Niedobrze, ale za granicą. Może jednak

czajamy się do wojny na Ukrainie. Wojna jak to wojna. Cóż poradzić? Robimy, co trzeba, pomagamy, komu się da, rząd stara się, jak może. Wszystko jest w jakimś porządku. Jesteśmy nawet dumni z tego, że pomagamy, że stanęliśmy na wysokości zadania mimo niedobrej często pamięci o relacjach polsko-ukraińskich.

Może bliżsi jesteśmy empatii wobec Ukraińców niż afrykańskie kacyki ściskające dłoń Siergieja Ławrowa lub chińskie i indyjskie sfinksy nieczułe na nic poza swoim interesem lub irańscy ajatollahowie wysyłający żołdakom Putina śmiercionośne drony w imię Allaha. Z pewnością bliżsi jesteśmy też

docierali nieraz na linię frontu, od wolontariuszy, którzy ofiarowali swą pomoc, rozwijając niezbędne do życia środki na miejsce, ale większość z nas wojnę odczuwa czysto teoretycznie i stopniowo się do niej przyzwyczajamy.

Tymczasem miliony naszych sąsiadów nie mogą się jeszcze przyzwyczaić do tego, że stracili dom, że ich bliscy spoczywają w grobach Buczy, Irpienia czy Mariupola, że niektórzy z nich przeżyli przed śmiercią straszne rzeczy. Jak długo będzie pamiętać to, co widziała wolontariuszka, która wyciągała rannych z kolumny samochodów osobowych ostrzelanych przez rosyjską artylerię, odłączając małą dziewczynkę od umierającej matki wśród setek trupów w popalonych autach? Jak długo będzie brzmiał krzyk ginących w zawałonych domach Dniepra, Słowiańska, Kramatorska czy Bachmutu? Co przeżyli ci, którzy przeżyli, ale odnaleźli zwłoki swych bliskich, ze związanymi z tyłu rękami i śladami tortur? Co będzie pamiętać kobieta, która przeżyła z oderwaną nogą pięć godzin na mrozie, zanim przyszedł ratunek? Albo mężczyzna torturowany przez wiele dni przez rosyjskich zbirów w nieopalonej piwnicy? Co czują miliony Ukraińców kryjący się w schronach i tylko czekających, czy nie spadną na nich zawalone domy? Co może myśleć i czuć ojciec zgwałconej córki, gdy słyszy Putina śmiejącego się, że Ukraina to „ślicznotka”, którą trzeba „odpowiednio potraktować”. Co czują setki tysięcy matek i żon, których mężczyźni walczą i giną w strasznych warunkach na froncie? Jedyne pamięć o tym wszystkim może ożywiać racjonalne działania dyplomatyczne władz i stała gotowość do pomocy. ©

Miliony naszych sąsiadów nie mogą się jeszcze przyzwyczaić do tego, że stracili dom, że ich bliscy spoczywają w grobach Buczy, Irpienia czy Mariupola, że niektórzy z nich przeżyli przed śmiercią straszne rzeczy

ktos stojący obok w metrze ma inne odczucia? Może to kobieta, która boi się odebrać telefon, bo jest Ukrainką, która ma bratanka na froncie i w każdej chwili może się dowiedzieć najgorszego. Już był parę razy ranny, a jeszcze przed wojną tłumaczył jej, że nie będzie się żenił, żeby nie miał kto po nim płakać...

Przyzwyczajenie jest rzeczą naturalną. Przyzwyczajamy się do rytualnych ruchów, do pracy, do szkoły czy na zakupy. Przyzwyczailiśmy się do błahych informacji, które nabierają dla nas wielkiego znaczenia. Warszawiacy przyzwyczajają się nawet do tego, że ich władze rozkopały miasto, obrzydzając mieszkańcom poruszanie się po nim. Przyzw-

rozumienia tragedii Ukraińców niż ludzie Europy Zachodniej, którzy z niepokojem myślą o tym, że w wyniku wzrostu cen, wywołanego wojną, temperatura w ich mieszkaniach spadnie być może do 18 st. C. W świadomości tych ludzi równie ważne, a może ważniejsze od wojny na Ukrainie jest to, w jakim wieku pozwolić dzieciom na stosunki seksualne, wybór płci i eutanazję, a także czy da się zakwalifikować aborcję jako prawo człowieka, bo ciągle jakieś elementy faszystowskie w tym przeszkadzają.

Niemniej czy możemy sobie tu, w Polsce, naprawdę wyobrazić, co się dzieje za naszą wschodnią granicą? Mamy wiele relacji od dzielnych reporterów, którzy

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dziś ludzie nie czytają wiadomości, a jedynie przeglądają – ktoś czyta tytuł i uważa, że wie wszystko. Trzeba się do tego dostosować albo się przegra. Wygra ten, kto umie mówić krótko. Trump wygrał w 2016 r. dzięki tweetom. I dlatego potem zablokowali mu konto – jego krótka forma była bardziej skuteczna niż wywody przeciwników. Czytaj ze zrozumieniem. Czytaj każde słowo. Nawet pojedyncze.

Morawiecki mówi (na Polsacie): Ukraina i Europa wygrały tę wojnę. Z Niemcami lub bez nich.

WC: Co to znaczy? Że Europa jest już OFICJALNIE w stanie wojny z Rosją? Dotychczas unikaliśmy oficjalnego wypowiedzenia wojny. Kto upoważnił Morawieckiego do takich słów? Unia? NATO?

Sekretarz generalny NATO: Jedyną metodą pokonania Rosji jest dalsze wspieranie militarne Ukrainy.

WC: Skoro JEDYNĄ metodą pokonania Rosji jest militarne wspieranie Ukrainy, to znaczy, że sekretarz generalny uważa sankcje wobec Rosji za metodę nieskuteczną – bo cokolwiek zrobimy innego, to i tak JEDYNĄ metodą pokonania Rosji jest wspieranie militarne Ukrainy. Inne metody są po nic.

W Internecie ciekawy postulat: Wiatraki budować w miastach, bo to miasta potrzebują najwięcej prądu. Nie będzie trzeba stawiać drogich linii przesyłowych, a bloki na warszawskim Wilanowie są niskie. Między blokami,



FOT. W. CEJROWSKI / DZIENIKARSKA WISCIENSKA

nad rzekami i na zieleńcach Warszawy postawmy wiatraki. A pola uprawne zostawmy na uprawy. Wiatraki są przecież całkowicie nieszkodliwe dla nikogo i niczego, więc mogą stać tuż koło domu. No chyba że jednak są szkodliwe i nie powinny w ogóle stać?

TV: Biden odwiedzi wyłącznie nasz kraj. Na Polsce skupia się cała uwaga świata.

Amerykańska ambasada chce, by powitały go tłumy.

WC: To tak jak za czasów Breżniewa, gdy musiały witać go tłumy.

TV: Rosną przypadki prób samobójczych u dzieci od 11. do 15. roku życia. Przyczyny – zagubienie, samotność, brak oparcia w rodzinie, depresja.

WC: Za lockdown odpowiada premier Morawiecki. OSOBIŚCIE.

Morawiecki dogadał się z Żelenskim odnośnie do odbudowy na Ukrainie – teren, który przypadł Polsce, jest bez bogactw naturalnych i pusty; nadaje się do wypasu krów. W Wielkiej Brytanii Żelenski podpisuje glejty na tereny przemysłowe zasobne w żelazo, węgiel i stali.

Polska za zaangażowanie w wojnę dostanie tyle samo, co w Iraku i Afganistanie; to samo, co za bitwę o Anglię.

TVN: Co czwarty Amerykanin uważa, że USA za dużo pomaga Ukrainie.

WC: Skoro TVN podaje tę informację, to oznacza, że pokój się zbliża. Ziemia rozdana, forsą na zbrojenia wydana, można zarządzić pokój z Ruskimi.

Fundacja [...] otrzymała od ministra edukacji 5 mln zł.

WC: Żadna fundacja ani organizacja POZARządowa nie powinna nigdy dostawać żadnej forsą od rządu. Jeżeli obywatel chce się dobrowolnie dorzucić, to jego sprawa osobista i prywatna. Ale jeżeli nie chce, to zabieranie mu forsą przymusowo (w formie podatków) i przekazywanie fundacjom jest nieetyczne i powinno być prawnie zakazane.

Sondaż: 82 proc. Polaków jest zdania, że rząd nie powinien mieć prawa kupowania nieruchomości dla organizacji pozarządowych.

WC: W demokracji większość powinna mieć głos decydujący. W demokracji rząd nie ma nic do gadania – w demokracji rząd ma jedynie SŁUCHAĆ NARODU i wykonywać jego polecenia. No ale... nie mamy demokracji. Nie mieliśmy jej od roku 1989 ani przez chwilę. Mieliśmy pozory.

TVP1: Sikorski otrzymuje 100 tys. dol. rocznie od Emiratów Arabskich. Mówi, że to za konsultacje. Każdy europoseł UE otrzymuje miesięcznie 50 tys. zł. To miało uchronić przed korupcją.

WC: Takie myślenie jest idiotyczne. Jeżeli poseł dostaje 50 kafi, to łapówki po prostu będą

wynosiły więcej. Jeżeli dorzucimy posłowi kolejne 50 kafi, wówczas łapówki wzrosną, ale się nie zatrzymają. Dlatego pensje posłów należy zmniejszać i ja proponuję do zera, bo szkoda forsą – nic nie zatrzyma łapówek, a przynajmniej zaoszczędzimy na płaceniu posłom.

Za branie łapówki przez urzędnika przywróciłbym karę śmierci i to nie jest mój pomysł osobisty, lecz przepis z przedwojennej RP. Był taki – kara śmierci za wzięcie łapówki.

Prezes NBP: Inflacja będzie spadała, w grudniu będzie bliska 6 proc.

WC: Na jakim podstawie ten pan wygłasza tego typu tezy? Ma jakieś wyliczenia naukowe? Wie coś o cenach ropy, które będą w grudniu? Trwa wojna, więc nie wie nic o cenach ropy, jakie będą. Czy prezes NBP ponosi jakąkolwiek odpowiedzialność osobistą, gdyby jego przewidywania (wróżby?) okazały się nietrafne? Powinien ponosić, bo na bazie tych jego kalkulacji ludzie robią plany. Jeżeli bierze pieniądze za te swoje wróżby, to powinien stanowczo ponosić odpowiedzialność osobistą i finansową za fuszerkę, czyli jeżeli inflacja w grudniu będzie inna niż 6 proc., to powinien dostać karę. No tak... ale on nie powiedział, który grudzień ma na myśli.

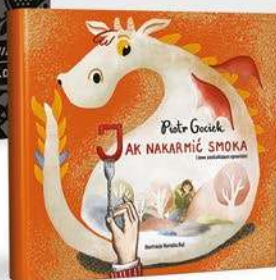
Rosyjska Grupa Wagnera proponuje Ukraińcom spotkanie się w powietrzu. Kto wygra, zatrzyma Bachmut.

WC: Nareszcie jakieś konkrety. Trochę to średnio-wieczne podejście lub jeszcze starsze, biblijne, antyczne, ale oszczędza życie ludzkie i skraca wojny. Pojedynek Dawida z Goliatem zamiast rzezi tysięcy ludzi. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0”
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~983~~ ZŁ

345,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 638 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1943–1953 ZNÓW ZAPOMNIANI

Nie wojna domowa, tylko obrona narodu
przed sowiecką okupacją



KOŚCIÓŁ I KOMUNA – W latach 1945–1950 wzrastał w Polsce terror wobec duchownych i złudzenia prymasa „MARCHLEWSZCZYZNA” – Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli „imperialistycznego agresora” tak jak II RP

POLACY BUDOWALI LIPAWĘ – Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór cara zapadł w II połowie XIX w.

W IMIĘ CELTÓW – Zagorzali separatyści bretońscy założyli podczas drugiej wojny światowej mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

ZŁODOWACENIA W POLSCE – Jeśli bylibyśmy w interglacjale wielkiej epoki lodowcowej, to czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat

BERBERZY NA ISLANDII – W wiekach XVII i XVIII islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę 1 125 000 Europejczyków. Dotarli nawet pod koło podbiegunowe...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**